

Bolecki:
Humanistyka i granty

Borkowska, Gutowski, Supruniuk:
Na kłopoty – NPRH

Borek:
Żyliśmy ponad stan

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 6/2021

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)

Naukowiec czy aktywista?

Str. 26-39



Czakon:
Cyfrowa tożsamość badacza

Karolczak:
Quo vadis UP?

Kulecka:
Niepodległość w dokumentach 1863



20 lat Uniwersytetu Zielonogórskiego

Fotografie: UZ

Czytaj artykuł na str. 14



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Finansowanie pod lupą NIK – <i>Mariusz Karwowski</i>	6
NZS z pomocą białoruskim studentom – <i>Mariusz Karwowski</i>	7
Studenci nobliści – <i>Mariusz Karwowski</i>	8
Szukasz wydawcy? – <i>materiał sponsorowany</i>	9
75 lat krakowskiej uczelni pedagogicznej Polską filologię klasyczną widać w świecie – <i>Mateusz Stróżyński</i>	11
Klimatyczne Centrum – <i>materiał sponsorowany</i>	12
Uniwersytet Zielonogórski jubileuszowo	14

10 lat NPRH

Pat – <i>Grażyna Borkowska</i>	16
Na kłopoty humanistyki – NPRH – <i>Piotr Gutowski</i>	17
Winien i ma – <i>Mirosław A. Supruniuk</i>	18

ROZMOWA FORUM

NPRH zintegrował środowisko humanistyczne – z prof. Włodzimierzem Boleckim, przewodniczącym Rady NPRH, wiceprezesem FNP, rozmawia <i>Piotr Kieraciński</i>	20
--	----

NAUKOWIEC CZY AKTYWISTA

Naukowcy: badacze czy aktywiści – <i>Wojciech W. Gasparski</i>	26
Nauka a polityka – <i>Przemysław Urbańczyk</i>	30
O nauce, która niezaangażowaną być nie może – <i>Jan P. Hudzik</i>	32
Nauka czy polityka – <i>Michał Januszkiewicz</i>	36

ŻYCIE NAUKOWE

Od „punktozy” do tożsamości cyfrowej – <i>Wojciech Czakan</i>	40
--	----

Z laboratoriów

Klimatyczny wachlarz emocji – <i>Mariusz Karwowski</i>	64
Patriotyzm, poświęcenie, jedność – <i>Alicja Kulecka</i>	67
Polskie dziennikarstwo wojenne – <i>Zbigniew Bednarek</i>	71

ŻYCIE AKADEMICKIE

Złożyłem deklarację i chcę się z niej wywiązać – <i>rozmowa z prof. Piotrem Borkiem, rektorem UPK</i>	44
Kto rządzi uniwersytetem? – <i>rozmowa z prof. Kazimierzem Karolczakiem</i>	49
Pożytki z historii – <i>Zbigniew Drozdowicz</i>	53
A za plecami... konceptualizm – <i>rozmowa z prof. Bogdanem Wegnerem, pedagogiem Wydziału Malarstwa i Rysunku UAP</i>	56
Czytelnia czasopism – <i>Aneta Zawadzka</i>	60
Publikuj lub giń Łamanie tekstu jako źródło cierpień – <i>Marek Misiak</i>	61

W STRONĘ HISTORII

Kartki z dziejów nauki w Polsce (238)

Organizacja publiczno-prywatna – <i>Piotr Hübner</i>	74
---	----

OKOLICE NAUKI

Książki

Barbarzyństwo i pustka – <i>Bogdan Bernat</i>	77
Kufer emigranta – <i>Marek Misiak</i>	77
Odtworzyć cudzy głos – <i>Stanisława Filip</i>	78
Sylwetki kobiet słowa – <i>Aneta Zawadzka</i>	78
Życie staruszka – <i>Anna Jawor</i>	79
Książki nadesłane	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Kilka większych uwag o rzeczach małych – <i>Piotr Müldner-Nieckowski</i>	76
---	----

Na marginesach nauki

Kosmoteologia – <i>Leszek Szaruga</i>	80
Projekt okładki – <i>Sławomir Makal</i>	

Wiceprezes PAN w SAPEA

BRUKSELA Prof. Paweł Rowiński, wiceprezes PAN, został zastępcą przewodniczącego rady europejskiej sieci akademii SAPEA. Będzie w niej reprezentował Europejską Federację Akademii Nauk (ALLEA), w której zarządzie zasiada już drugą kadencję. Prof. Rowiński jest hydrologiem i hydrodynamikiem związanym z Instytutem Geofizyki PAN. Jego zainteresowania naukowe skupiają się wokół metod statystycznych w hydrologii, inteligentnej analizie danych, turbulencji rzecznej oraz zmian klimatu. Od 2006 r. kieruje Międzynarodową Szkołą Hydrauliki pod auspicjami International Association of Hydraulic Research oraz Komitetu Gospodarki Wodnej PAN. SAPEA zrzesza ponad sto europejskich akademii i towarzystw naukowych. Jest częścią mechanizmu doradztwa naukowego Komisji Europejskiej. Sieć wspomaga komisarzy w decyzjach dotyczących nauki.



Fot. PAN

Nowy stary wiceprzewodniczący

BRUKSELA Jakub Grodecki został ponownie wybrany na wiceprzewodniczącego Europejskiej Unii Studentów (European Students' Union). Wybory nowych władz odbyły się online. W ich wyniku organizacją kieruje Martina Darmanin z Malty, a drugim, obok Polaka, wiceprezydentem została Brytyjka Zamzam Ibrahim. Wszyscy troje uzyskali reelekcję na swoich stanowiskach po niepełnej kadencji, rozpoczętej 1 stycznia. W takim składzie będą kontynuować pracę w Prezydium ESU do czerwca 2022. Grodecki związany jest z ESU od 2 lat. Uczestniczył w obradach jako delegat Parlamentu Studentów RP, później zasiadał w 7-osobowym Komitecie Wykonawczym ESU. Ukończył studia inżynierskie na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Jest ekspertem Polskiej Komisji Akredytacyjnej ds. studenckich. ESU działa od 1982 roku. Zrzesza 46 stowarzyszeń studenckich z 40 krajów. Reprezentuje ok. 20 mln studentów. Na czele organizacji stało dotąd dwoje Polaków: Agnieszka Socha (1997/1998) oraz Adam Gajek (2018/2019).



Fot. Arch. prywatne

Podlaskie biografie w sieci

SIEDLCE Instytut Historii Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego uruchomił Elektroniczny Słownik Biograficzny Południowego Podlasia i Wschodniego Mazowsza. E-słownik jest cyfrową wersją serii wydawniczej ukazującej się od 2009 roku. W sumie liczy ona pięć tomów. Każdy ma strukturę alfabetyczną i zawiera wykaz skrótów oraz spis biogramów zamieszczonych w dotychczas opublikowanych tomach. Wewnętrzny układ biogramów i zapis bibliografii autorzy wzorują na Polskim Słowniku Biograficznym. Rezultatem dotychczasowych badań, które aktywizują również środowiska regionalistów, jest ponad 400 biogramów wybitnych osobistości z dziejów regionu obejmującego dzisiejsze powiaty: bialski, garwoliński, łosicki, łukowski, miński, radzyński, siedlecki, sokołowski, węgrowski i wołomiński. Cyfrowa wersja słownika (<https://sownik-biograficzny.uph.edu.pl>) umożliwi szybkie wyselekcjonowanie poszukiwanych osób, miejscowości czy haseł rzeczowych. Redaktorem słownika jest dr hab. Józef Piłatowicz, a na liście autorów widnieje blisko 100 nazwisk.

Zmiana na czele KPN

GLIWICE/WARSZAWA Prof. Marek Pawełczyk od 1 czerwca kieruje pracami Komitetu Polityki Naukowej. Zastąpił prof. Annę Chełmońską-Soytę. Nowy przewodniczący jest prorektorem ds. nauki i rozwoju Politechniki Śląskiej. Kieruje Zakładem Pomiarów i Systemów Sterowania w Instytu-

cie Automatyki, z którym związany jest od 1995 roku. Jest specjalistą z zakresu automatyki oraz cyfrowego przetwarzania sygnałów, w szczególności akustycznych i drgań. W styczniu został wybrany na prezydenta International Institute of Acoustics and Vibration. Funkcję tę pełni już po raz drugi, wcześniej w latach 2012–2014. Stoi też na czele Konsorcjum Śląskich Uczelni Publicznych – Silesian Universities Network. KPN jest organem pomocniczym ministra edukacji i nauki. Przeprowadza ewaluację realizacji polityki naukowej państwa oraz opiniuje dokumenty przedstawione przez szefa resortu nauki i szkolnictwa wyższego.



Fot. IS

Doktorat h.c. – prof. Andrzej Chwalba

KRAKÓW Prof. Andrzej Chwalba otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. Uroczyste nadanie godności odbyło się w trakcie obchodów jubileuszu 75-lecia uczelni. Historyka uhonorowano za wybitne osiągnięcia naukowe, organizacyjne i dydaktyczne. Związany jest z Instytutem Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Założył Zakład Antropologii Historycznej, na którego czele stoi do dziś. Na jego dorobek naukowy składają się prace z zakresu mikro- i makrohistorii, dziejów Krakowa, UJ, demografii, urbanizacji, ekologii. Z uznaniem przyjęto jego badania związane z I wojną światową i okresem międzywojennym. Prof. Chwalba jest wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz inicjatorem i organizatorem Kongresu Zagranicznych Badaczy Dziejów Polski. Odbywa się co pięć lat. Kolejny zaplanowano na październik 2022 r.



Fot. Grzegorz Wojda

Doktoraty h.c. na 68-lecie PL

LUBLIN Dwaj kolejni uczeni zostali doktorami honoris causa Politechniki Lubelskiej. Prof. Józef Gawlik z Politechniki Krakowskiej to specjalista z zakresu budowy i eksploatacji maszyn oraz inżynierii produkcji. Główne obszary jego prac badawczych i wdrożeniowych to: technologia obróbki powierzchniowej narzędzi i nadzorowanie procesu obróbki materiałów trudnoskrawalnych. W latach 2005–2008 był rektorem PK. Z kolei prof. Jerzy Merkisz z Politechniki Poznańskiej jest autorytetem w dziedzinie silników spalinowych i motoryzacyjnych zagrożeń środowiska. Kieruje Zakładem Silników Spalinowych. Jego działalność dotyczy zmniejszania negatywnego wpływu transportu na środowisko. Opracował koncepcję oraz metodykę badań emisji związków szkodliwych spalin w rzeczywistych warunkach eksploatacji środków transportu, w których zastosowano silniki spalinowe. Nadanie tytułów było jednym z punktów obchodów 68-lecia lubelskiej uczelni, która ma już 18 doktorów h.c.



Fot. J. Krzyśiak, PP

Doktorat h.c. – prof. Jan Awrejcewicz

TIMIȘOARA Prof. Jan Awrejcewicz został 28 maja doktorem honoris causa Uniwersytetu Politechnicznego w Timișoarze (Rumunia). Uroczystość odbyła się online. To siódmy tytuł d.h.c. dla uczonego z Politechniki Łódzkiej. Kieruje Katedrą Automatyki, Biomechaniki i Mechatroniki na Wydziale Mechanicznym. Prowadzi badania związane z mechaniką, matematyką stosowaną, biomechaniką, automatyką i fizyką. Jego dorobek naukowy obejmuje m.in. ponad 850 publikacji w czasopismach, 54 monografie, 2 podręczniki, 33 redakcje zbiorów prac i 22 książki pokonferencyjne. Jest członkiem Rady Doskonałości Naukowej. Był dwukrotnym laureatem Nagrody Alexandra von Humboldta. Założony w 1920 r. Politechnica Uniwersytet Timișoara na 10 wydziałach kształci ponad 12 tys. studentów.



Fot. PŁ

Doktorat h.c. – prof. Malay Ghosh

KATOWICE Prof. Malay Ghosh, uznany statystyk z Uniwersytetu Florydy, otrzymał 14 maja tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach. Doceniono jego osiągnięcia naukowe w dziedzinie teorii statystyki i jej zastosowań, aktywne popularyzowanie nauki oraz promowanie międzynarodowej współpracy naukowej. Był wielokrotnie gościem cyklicznej konferencji *Survey Sampling in Economic and Social Research*, organizowanej przez Katedrę Statystyki UEK. Jest członkiem m.in. American Statistical Association, Institute of Mathematical Statistics, International Statistical Institute. Był wielokrotnie nagradzany, w tym medalem Jerzego Szwajca-Neymana przez Polskie Towarzystwo Statystyczne (2012 r.). Obecnie jest zatrudniony na stanowisku distinguished professor w Katedrze Statystyki University of Florida.



Fot. UEK

Usuną kosmiczne śmieci

WARSZAWA Inżynierowie z Laboratorium Mechatroniki i Robotyki Satelitarnej Centrum Badań Kosmicznych PAN biorą udział w konstruowaniu ogromnego chwytaka, który usunie z przestrzeni kosmicznej śmieci, takie jak satelity i części rakiet. Będzie się składać z czterech trzymetrowych ramion, każde o 3 przegubach, co umożliwi sprawne manewrowanie. Po złapaniu niebezpiecznego śmiecia i sprowadzeniu go do ziemskiej atmosfery umieszczone na 120-kilogramowym satelicie urządzenie nie powróci na orbitę po kolejne odpadki, ale spłonie wraz z przechwyconym ładunkiem. W CBK PAN trwają eksperymenty w symulowanej mikrograwitacji. Model został umieszczony na stole granitowym – jednym z niewielu tego typu urządzeń w Europie – pozwalającym badawemu obiektowi poruszać się w płaszczyźnie bez tarcia, co wiernie oddaje warunki niezależności panujące podczas manewrów orbitalnych. Pierwsze wykorzystanie chwytaka zaplanowano na 2025 rok.



Fot. Clear Space

Będą przeciwdziałać suszy

WARSZAWA Minister klimatu i środowiska, Polska Akademia Nauk oraz przedstawiciele 15 uczelni: Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, Uniwersytetu Warszawskiego, Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, Politechniki Krakowskiej, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, Politechniki Łódzkiej, Politechniki Częstochowskiej, Uniwersytetu Śląskiego, Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, Uniwersytetu Łódzkiego, Uniwersytetu im. Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, podpisali list intencyjny o współpracy na rzecz pogłębionej analizy działań służących zapobieganiu zjawisku suszy w kraju. Współpraca w ramach porozumienia obejmuje wykorzystanie wzajemnej wiedzy i doświadczeń oraz potencjału naukowo-dydaktycznego. Ważnym jej elementem będą badania nad nowoczesnymi i innowacyjnymi rozwiązaniami oraz technologiami służącymi ograniczeniu skutków suszy i niedoboru zasobów wodnych w kraju. Podpisaniu listu towarzyszyło uruchomienie platformy susza.gov.pl – pierwszej strony w Polsce ujmującej problematykę suszy w kraju w sposób skonsolidowany pod kątem działań administracji rządowej, jak i podległych jej jednostek.

Półwiecze filii US

CIESZYŃ Filia Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie świętuje 50-lecie działalności. Powołano ją 15 maja 1971 r. jako Wyższe Studium Nauczycielskie.



Pierwsze *Gaudeamus* odśpiewano 4 listopada na inauguracji w teatrze im. Adama Mickiewicza w Cieszynie. Od tamtego czasu mury uczelni opuściło ponad 30,5 tys. absolwentów. Obecnie na 12 kierunkach kształcą się 994 studentów. Uczelnia zatrudnia 193 nauczycieli akademickich, w tym 21 prof., 78 dr. hab., 66 dr. i 28 mgr. Cieszyński kampus liczy przeszło 6 ha. W 12 budynkach znajduje się 71 sal wykładowych wraz z pracowniami oraz 2 akademiki, centrum konferencyjne, aula, sala baletowa, sala koncertowa, dwie galerie sztuki, biblioteka, stołówka, kawiarnia i klub studencki. W gmachu głównym usytuowana jest Sala Kameralna, która pełni zarazem funkcję kaplicy ekumenicznej (Jedynej w Polsce, która mieści się w uczelni państwowej). W kompleksie rekreacyjno-sportowym do dyspozycji są: basen, hala, siłownia i boiska. Od 2019 r., w wyniku połączenia Wydziału Artystycznego z Wydziałem Etnologii i Nauk o Edukacji, filia działa jako Wydział Sztuki i Nauk o Edukacji.

Zielony Przyrodniczy

POZNAŃ Na 5 budynkach i 3 akademikach Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu zainstalowane zostaną instalacje fotowoltaiczne. To jedna



z największych instalacji OZE na budynkach użyteczności publicznej w stolicy Wielkopolski. Planowana inwestycja obejmie instalację dachowych modułów fotowoltaicznych oraz – po raz pierwszy w Poznaniu – modułów dachowych samoodśnieżających, świetlików fotowoltaicznych i lameli fotowoltaicznych szkło-szkło montowanych jako żaluzje zewnętrzne. Produkowana energia – 428,80 MWhe/rok – zostanie wykorzystana wyłącznie na użytek obiektów uczelni. W Zakładzie Doświadczalnym UPP w Przybrodzie działa już nowoczesna biogazownia, pozwalająca na zmniejszenie emisji dwutlenku węgla o 6,8 tys. ton rocznie.

Polskie stroje na Expo

ŁÓDŹ Barbara Florczyk, studentka architektury ubioru na Wydziale Technologii Materiałowych i Wzornictwa Tekstyliów Politechniki Łódzkiej,



wygrała konkurs na stroje dla osób obsługujących Pawilon Polski na Wystawie Światowej Expo 2020 w Dubaju. Zainspirowała się polskimi strojami ludowymi. Zaproponowała charakterystyczny ornament zgeometryzowanej formy florystycznej, nawiązującej do haftów na ludowych strojach. Będzie wykonany techniką laserowego wycinania, co przypomina z kolei efekt ludowych wycinanek. Kolorystyka całej kolekcji utrzymana jest w czerwono-białych barwach. Dla kobiet przewidziano także pasek z podręczną skórzaną torebką nawiązujący do góralskiej sakwy. Nowoczesny design pozwala na dowolne komponowanie elementów ubioru ze sobą. Przełożone z ub.r. Expo rozpocznie się w październiku. Będzie to pierwsza Wystawa Światowa zorganizowana w kraju arabskim. Jej hasło to: „Connecting Minds, Creating the Future”.

Zmapują mobilność kopytnych

BIĄŁOWIEŻA Pierwszy na świecie atlas migracji ssaków kopytnych powstanie dzięki międzynarodowemu zespołowi naukowców i ekologów. W inicjatywę włączył się Instytut Biologii Ssaków PAN. Mapa migracji ma zebrać szlaki, po których poruszają się zwierzęta kopytne, by chronić ich populacje przed obecnymi i przyszłymi zagrożeniami, również tymi wynikającymi z wpływu człowieka na środowisko. Z jednej strony, przemieszczanie się zwierząt często ograniczają drogi, linie kolejowe czy kanały, z drugiej – migracja ssaków kopytnych to podstawowy proces ekologiczny sprzyjający dużej liczebności stad. Ponadto podtrzymuje bioróżnorodność i duże populacje drapieżników i padlinożerców, dla których zwierzęta kopytne są bazą pokarmową. Migracje były także czynnikiem, który od wieków tworzył więzi kulturowe między rdzennymi mieszkańcami i lokalnymi społecznościami. Atlas bazować będzie na zbieranych od dawna przez badaczy danych naukowych z różnych kontynentów.

Wykryją fake newsy

WARSZAWA Inteligentne narzędzia detekcji fake newsów i weryfikacji źródeł informacji stworzą naukowcy z Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie oraz Ośrodka Przetwarzania Informacji – Państwowego Instytutu Badawczego. Projekt zakłada zbudowanie zbioru uczącego się oraz bazy faktów, obejmującej przede wszystkim dziedzinę w największym

stopniu dotkniętą fake newsami: ochronę zdrowia, politykę oraz finanse i gospodarkę. Bazy te pozwolą na przeprowadzenie nie tylko analizy stylometrycznej informacji, lecz także umożliwią ich weryfikację faktograficzną i analizę wiarygodności ich źródła. Otrzymane w taki sposób dane posłużą do stworzenia specjalnego algorytmu. Umożliwi on klasyfikację informacji z różnych modeli opartych o uczenie maszynowe. Takie rozwiązanie pozwoli weryfikować fake newsy opublikowane w sieci w języku polskim. Wyniki projektu umożliwią wdrożenie pierwszego w Polsce narzędzia, które pozwala w sposób kompleksowy i całkowicie zautomatyzowany wykrywać fake newsy.

Polsko-brytyjska kooperacja

KRAKÓW/GDAŃSK/POZNAŃ/WARSZAWA Cztery uczelnie podpisały list intencyjny z Imperial College London. Ich współpraca ma na celu stworzenie świadomych i dojrzałych relacji pomiędzy nauką a społeczeństwem. Sygnatariuszami listu są rektorzy Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego oraz Politechniki Warszawskiej. Współpraca z ICL w ramach programu „Science Communication” obejmie w głównej mierze promocję nauki. Będzie polegać na wymianie ekspertyz i pomysłów, mają powstać podcasty promujące interdyscyplinarną naukę, a także pracownie, które mogłyby uzupełniać programy studiów. Inicjatywa skupi się na poszukiwaniu odpowiedzi na wyzwania związane z nauką, m.in. zmiany klimatyczne i COVID-19. The Imperial College of Science, Technology and Medicine to jedna z czołowych uczelni brytyjskich, powołana do życia w 1907 roku. W 2019 r. był to ósmy najlepszy uniwersytet świata w rankingu QS Top Universities.

20 lat minęło

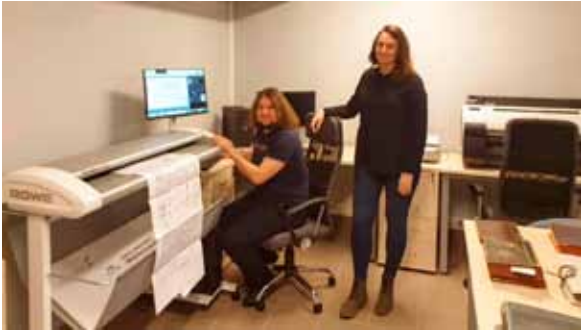
NOWY TARG Podhalańska Państwowa Uczelnia Zawodowa w Nowym Targu kończy 20 lat. Powstała w 2001 roku na wniosek samorządu województwa. Rozpoczynając działalność, oferowała 4 kierunki kształcenia. Dziś ma 14 kierunków studiów I stopnia oraz jednolite studia magisterskie z fizjoterapii. Studenci sześciu kierunków mają możliwość kontynu-



owania nauki i zdobycia tytułu magistra na studiach II stopnia. W latach 2007–2011 wybudowano nowoczesny budynek Centrum Dydaktyczno-Bibliotecznego z aulą, biblioteką, laboratorium chemicznym i pracownią rysunku. Przy bibliotece powstała specjalistyczna Pracownia Digitalizacji. W kwietniu 2013 r. uruchomiono laboratorium geotechniczne Instytutu Inżynierii Środowiska, rok później supernowoczesne laboratorium kosmologii, a 2 lata temu Monoprofilowe Centrum Symulacji Medycznej. W lipcu 2016 r. rektorzy PPUZ i Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie powołali wspólną jednostkę – Podhalański Ośrodek Nauk Ekonomicznych.

Skanują aż miło

SZCZECIN Pracownia Zasobów Cyfrowych Biblioteki Głównej Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie została wyposażona w sprzęt przeznaczony do cyfryzacji zbiorów oraz dorobku naukowego pracowników uczelni. Za ponad 240 tys. zł kupiono skaner



Fot. ZUT

dzielowy do książek oraz rolkowy, który umożliwia rozpoznanie szerokości dokumentu w czasie rzeczywistym, zaawansowaną obróbkę graficzną oraz bardzo wysoką wydajność. Prędkość skanowania czarno-białych dokumentów w skali szarości przy 200 dpi wynosi 23 m/min. Skaner posiada automatyczną regulację wysokości do 30 mm. Digitalizacja umożliwia trwałą archiwizację dokumentów, ich szerokie udostępnienie, zabezpieczy je przed zniszczeniem oraz degradacją. Dokumenty będą miały również zapewniony wysoki standard opisu metadanych do agregacji informacji o zasobach biblioteki w systemach ogólnościatowych. Cyfryzacji poddane będą również publikacje wydawane przez wydawnictwo ZUT.

Nowe laboratorium

POZNAŃ W Instytucie Chemii Bioorganicznej PAN otwarto ogólnodostępne laboratorium genetyki molekularnej PANgen. Oferuje badania ukierunkowane na wirusa SARS-CoV-2. W diagnostyce wykorzystywane są opracowane w jednostce autorskie testy genetyczne MediPAN. W przyszłości oferta zostanie rozszerzona o diagnostykę boreliozy: rekomendowane przez WHO testy serologiczne i polecane do wykonywania zaraz po podejrzeniu wystąpienia boreliozy testy PCR oraz badanie kleszcza na obecność nosicielstwa bakterii z rodzaju *Borrelia* metodą real-time PCR. W marcu 2020 r. naukowcy IChB PAN, chcąc wspomóc przeciętną diagnostykę, dzięki swojej wiedzy, doświadczeniu i zapleczu aparaturowemu błyskawicznie uruchomili Wirusową Grupę Wsparcia wykonującą testy na SARS-CoV-2 przez 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu. Przez kwartał instytut zrealizował blisko 6 tys. testów diagnostycznych.

Odkryli katedrę

SUDAN Badacze z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego odkryli pozostałości prawdopodobnie największego kościoła w średniowiecznej Nubii. Ich zdaniem pełnił on funkcję katedry. Znajduje się w Dongoli, stolicy Makurii, jednego z trzech chrześcijańskich królestw. To jedno z najważniejszych stanowisk archeologicznych w Sudanie, obecnie ubiega się o wpisanie na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Ekspedycja z CAŚ UW pracuje tam od prawie 60 lat. Obecnie w ramach grantu ERC, którym kieruje dr hab. Artur Obłuski. Nowo odkryty budynek mógł być siedzibą arcybiskupa zarządzającego hierarchią kościelną na przestrzeni ponad 1000 km wzdłuż Nilu, pomiędzy I a V kataraktą. Stoi w samym środku cytadeli otoczonej murem o wysokości ok. 10 m i grubości 5 m. To przełomowe odkrycie dla nubiologii. Dotąd za katedrę uważano budynek poza cytadelą. Kolejne sezony wykopaliskowe w Dongoli planowane są na jesień 2021 i zimę 2022 roku.



Wizualizacja: A. Wójcik

Muzealny jubileusz

BIAŁYSTOK Muzeum Historii Medycyny i Farmacji Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku świętuje swoje 10-lecie. W ciągu dekady placówkę odwiedziło 209 289 zwiedzających, którym udostępniono około 10 tys. eksponatów. Z zajęć edukacyjnych skorzystało 43 607 uczniów szkół z całej Polski. Placówka działa w strukturze Samodzielnej Pracowni Historii Medycyny i Farmacji. Zlokalizowana jest w dawnym Pałacu Branickich.

Ekspozycje ukazujące dziedzictwo medyczne Podlasia zlokalizowano w dawnych apartamentach pałacowych medyków oraz stajni hetmańskiej. Muzeum stworzyło unikatową ścieżkę historyczną



Fot. UMB

„Spacer w Przeszłość” po pałacowych piwnicach, opracowało blisko 30 tys. biogramów absolwentów UMB, a w nowej Auli Nobilium zrekonstruowana została dawna sypialnia królewska. Placówka zainicjowała Noc Muzeów na UMB, w której udział wzięło dotąd 53 599 osób. Jej pracownicy byli współtwórcami pierwszego w Polsce Stowarzyszenia Muzeów Uczelnianych.

Za 2 lata Centrum Sportu

BYDGOSZCZ Infrastruktura Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich w Bydgoszczy powiększy się niebawem o Akademickie Centrum Sportu. Prace budowlane ruszą pod koniec tego roku i potrwać 2 lata. Wartość inwestycji przekracza 20 mln zł. ACS powstanie w północnej części kampusu przy ul. Kaliskiego. Nowy budynek dysponował będzie wielofunkcyjnymi boiskami do koszykówki, siat-



kówki, piłki ręcznej czy badmintonu oraz ścianką wspinaczkową. Na drugiej kondygnacji zlokalizowane będą siłownia, sala cardio oraz strefa sauny. W obiekcie znajdują się również sale do fitnessu, tańca, aerobiku, baletu czy rehabilitacji ruchowej. Uniwersytet planuje także budowę zewnętrznej strefy lekkoatletycznej.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Ewa Chojnacka, Iwona Czajkowska-Deneka, Iwona Cieślak, Piotr Karwowski, Marek Kiczka, Danuta Kocurek, Mateusz Lipka, Dorota Rojek-Koryzna, Szymon Różański, Sławomir Rybka, Marcin Tomkiel, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Finansowanie pod lupą NIK

Wraz z wejściem w życie Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce od 1 stycznia 2019 roku zaczęły obowiązywać nowe zasady finansowania szkół wyższych. Zamiast dotacji podmiotowej na działalność dydaktyczną i na utrzymanie potencjału badawczego wprowadzono subwencję, czyli świadczenie publicznoprawne o charakterze bezzwrotnym oraz – w odróżnieniu od dotacji – bezwarunkowym i nieodpłatnym. Zmianom przyjrzała się Najwyższa Izba Kontroli. Audytowi poddano 17 ze 131 uczelni publicznych, w tym 10 akademickich. Najwięcej zarzutów skierowano jednak pod adresem szefostwa resortu nauki.

Kontrola objęła okres od 2018 do końca III kwartału 2020 roku, kiedy sektorem nauki i szkolnictwa wyższego zawiadywał Jarosław Gowin. Zdaniem kontrolerów, nowy system przyczynił się do zapewnienia stabilności finansowej uczelni, jednocześnie zwiększając ich autonomię w wyborze ścieżki rozwoju. Stworzył również szersze możliwości zarządzania uczelniami, ale zarazem utrudnił ministrowi kontrolę nad przekazywanymi środkami. Inspektorzy wytykają urzędnikom, że nie przeprowadzono w resorcie analizy ryzyka i nie określono adekwatnych mechanizmów kontroli, choć wystąpiły ku temu istotne przesłanki. Co więcej, ponieważ projekt nowej polityki naukowej państwa nie został, wbrew ustawie, uchwalony przez rząd do końca marca 2020 r. (dopiero w grudniu przekazano go do konsultacji), może to skutkować niewłaściwym ukierunkowaniem przekazywanych uczelniom środków. Efekty poznamy zapewne po przyszłorocznej ewaluacji.

W latach 2018–2020 sprawdzane przez NIK uczelnie osiągnęły przychody z podstawowej działalności operacyjnej w łącznej kwocie 8185 mln zł, w tym 2696 mln zł w 2018 r., 3219,2 mln zł w 2019 r. oraz 2269,7 mln zł do końca III kwartału 2020 r. Ich zysk netto w omawianym okresie wyniósł 622,2 mln zł. Najwyższy zanotowała Akademia Górniczo-Hutnicza (prawie 240 mln zł). Głównym źródłem przychodów była dotacja podmiotowa oraz subwencja. Udział tych środków w strukturze przychodów wahał się w kontrolowanym okresie między 57–62,7% (Akademia Pedagogiki Specjalnej im. M. Grzegorzewskiej w Warszawie) a 92,7–96,2% (PWSZ w Lesznie).

W roku 2018 w ramach dotacji uczelnie dostały na działalność dydaktyczną 10,3 mld zł, na pomoc materialną dla studentów i doktorantów 1,4 mld zł oraz 223 mln zł na zadania projakościowe. W kolejnych latach dydaktykę i badania finansowano już z subwencji (13,3 mld zł w 2019 i 13,7 mld zł w 2020 r.), zaś dotacja podmiotowa objęła

wsparcie studentów z niepełnosprawnościami. Najwyższą subwencję przyznano uniwersytetom: Jagiellońskiemu (877,5 mln zł w 2019 i 894 mln zł w 2020 r.), Warszawskiemu (820 mln zł; 805,3 mln zł) oraz Akademii Górniczo-Hutniczej (586,3 mln zł; 592 mln zł).

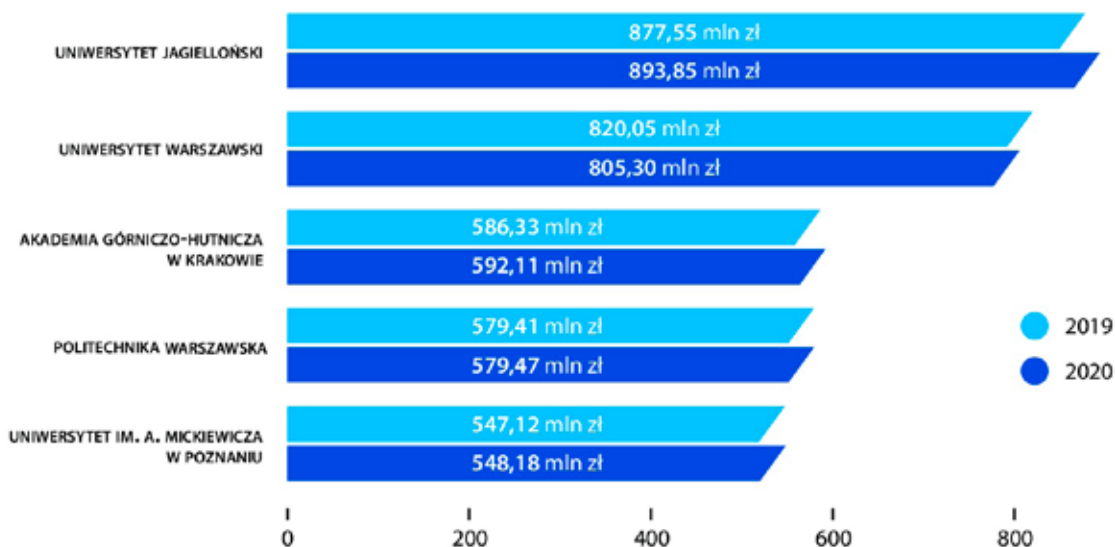
Co do zasady, wydatkowanie tych środków było prawidłowe. W dwóch przypadkach stwierdzono jednak uchybienia. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w sposób niecelowy i niegospodarny wydał 24,8 tys. zł. Z kolei Akademia Wychowania Fizycznego w Krakowie przeznaczyła 19,4 tys. zł na zakupy niezwiązane bezpośrednio z przeznaczeniem i charakterem dotacji, tj. sprzęt fotograficzny, elektroniczny i do rejestracji wizualnej.

Uczelnie, jak zauważają audytorzy, miały spore problemy z absorpcją środków. W ocenie NIK związane jest to z przyznawaniem ich (zwłaszcza zwiększeń subwencji pod koniec roku – w 2019: ok. 1,4 mld zł, do XI 2020 – 41,1 mln zł) bez pełnej analizy danych zamieszczonych w systemie POL-on dotyczących potencjału naukowego i dydaktycznego uczelni oraz ich sytuacji finansowej. Izba zarzuciła ponadto ministrowi, że w 2019 r. w sposób nierzetelny zwiększył subwencje dla czterech uczelni (Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, Akademia Pomorska w Słupsku, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, Politechnika Świętokrzyska) na łączną kwotę 25 mln zł. Podstawą miała być jedynie poprawka wniesiona przez grupę posłów w toku prac nad projektem budżetu.

Decyzją ministra, która znacząco wpłynęła na system podziału subwencji, było ograniczenie w 2020 r. mechanizmu algorytmu projakościowego. Zamiast tego szef resortu zapewnił uczelniom po równo środki na poziomie 98% albo 100% subwencji roku poprzedniego. W efekcie niektórzy beneficjenci otrzymali mniej niż gdyby zastosowano algorytm, który miał gwarantować obiektywne ustalanie wysokości środków przeznaczonych na bieżącą działalność dydaktyczną i badawczą.

W 2020 r. minister przyznał też wybranym uczelniom skarbowe papiery wartościowe w wysokości 889,5 mln zł. W przypadku 10 uczelni (łączna kwota 212 676 tys. zł) podziału dokonano bez przeprowadzenia udokumentowanych analiz dotyczących potrzeb i sytuacji finansowej uczelni, co – zdaniem NIK – było działaniem nierzetelnym.

Raport przynosi pozytywną ocenę dla zainicjowanych i wdrożonych dwóch programów skierowanych do uczelni akademickich („Inicjatywa Doskonałości – Uczelnie Badawcza”, „Regionalna Inicjatywa



Doskonałości”) oraz jednego dla uczelni zawodowych („Dydaktyczna Inicjatywa Doskonałości”). NIK zwróciła jednak uwagę na aneksy do umów, jakie zawarto z uczelniami wyłonionymi w konkursie IDUB. Oprócz zmian wynikających ze sposobu finansowania (zamiast subwencji – skarbowe papiery wartościowe), wprowadziły one m.in. zapis stanowiący, że uczelnie nie są zobowiązane do prowadzenia wyodrębnionej ewidencji kosztów działań. W ocenie kontrolerów stwarza to ryzyko wykazania w ewaluacji śródkresowej oraz końcowej nierzetelnych danych w zakresie środków wydatkowanych na poszczególne działania objęte programem, jak również w zakresie faktycznie poniesionych kosztów na jego realizację.

Inspektorzy przyjrzeni się też strategiom rozwoju w poszczególnych uczelniach. Okazało się, że w większości realizowano te, które

powstały jeszcze przed wdrożeniem nowego prawa, na podstawie nieobowiązujących już przepisów. Poza tym dokumenty przygotowano w sposób, który uniemożliwiał obiektywną ocenę stopnia realizacji przyjętych celów i zadań – nie określano w nich mierników i wskaźników realizacji celów i zadań, ram finansowych i potencjalnych źródeł przychodów, zakładanych efektów oraz systemu monitorowania i ewaluacji strategii. Tak było m.in. w PWSZ w Elblągu oraz w PWSliP w Łomży. Do dnia zakończenia kontroli jedynie Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach oraz Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu opracowały nowe strategie.

Traman

NZS z pomocą białoruskim studentom

O utworzenie specjalnego funduszu na rzecz studentów z Białorusi zaapelowało do europejskich liderów Niezależne Zrzeszenie Studentów. Ze środków tych byłyby tworzone i finansowane miejsca zakwaterowania dla szukających azylu, dodatkowe miejsca na europejskich uczelniach dla chcących kontynuować studia oraz programy stypendialne, bezpłatne kursy językowe i zajęcia pomagające w aklimatyzacji w danym kraju.

– Studenci z Białorusi potrzebują wsparcia całej wspólnoty europejskiej. Ta młodzież będzie tworzyć swoje przyszłe demokratyczne państwo – przekonywał Krzysztof Białas (na fot.), przewodniczący NZS na wspólnej konferencji z szefem KPRM Michałem Dworczykiem.

Minister zapewnił, że Polska ma fundusze pozwalające przyjąć de facto wszystkich zainteresowanych, którzy są zagrożeni represjami ze strony białoruskiego reżimu. W ub.r. utworzony został wart 12 mln euro fundusz „Solidarni z Białorusią”, przeznaczony na pomoc wolnym mediom oraz represjonowanym. Częścią tej inicjatywy jest konkurs „Solidarni z naukowcami”, którego celem jest wsparcie projektów z udziałem naukowców z Białorusi. Na ich sfinansowanie Narodowe Centrum Badań i Rozwoju we współpracy z Narodową Agencją Wymiany Akademickiej przeznaczyło 6,25 mln zł. Nabór wniosków trwa do końca lipca.

– Od 15 lat działa program Konstantego Kalinowskiego, w ramach którego ponad 1700 studentów i pracowników naukowych z Białorusi otrzymało wsparcie i mogło studiować w Polsce. W zeszłym roku zwiększyliśmy jego budżet – przypomniał M. Dworczyk.

Dodał, że białoruscy studenci mogą otrzymywać pomoc z wielu innych programów prowadzonych przez polski rząd. Tylko w ub.r. przyjęliśmy 700 osób, w tym studentów i pracowników naukowych. Szef KPRM wyraził zadowolenie, że również polscy studenci włączają się w tego rodzaju inicjatywy.

Już w grudniu NZS, wraz ze swoim białoruskim odpowiednikiem Zrzeszeniem Studentów Białoruskich, zaapelował do Organizacji Narodów Zjednoczonych o zdecydowaną reakcję, wywarcie wpływu na decydentów i udzielenie niezbędnego wsparcia studentom. Zwrócono się wówczas o interwencję w sprawie aresztowań członków Zrzeszenia Studentów Białoruskich, do których doszło 12 listopada. Władze białoruskie nie uznają podmiotowości ZBS, odmawiając jego rejestracji jako organizacji pozarządowej. „Niezbędne jest wykorzystanie narzędzi politycznych, które w sposób pokojowy będą stanowić efektywną siłę nacisku. (...) Dopuszczenie do nieposzanowania podstawowych praw człowieka tuż za granicą Unii Europejskiej jest fundamentalną porażką światowych liderów politycznych” – napisano wówczas w liście.

Władze Białorusi od kilku miesięcy masowo usuwają z uczelni „politycznych” studentów i wspierających ich wykładowców. Z danych tamtejszego związku studentów wynika, że od września relegowano co najmniej 153 osoby. Odnotowano też prawie pół tysiąca zatrzymań studentów, 121 osób skazano na podstawie kodeksu postępowania administracyjnego, a 44 usłyszały zarzuty karne. Wyroki sądów brzmiały: od 1,5 roku do 4,5 lat pozbawienia wolności. Zarejestrowano także 526 przypadków wywierania presji przez funkcjonariuszy milicji i KGB oraz 307 przypadków nacisku ze strony uczelnianej administracji.

Mariusz Karwowski

Krzysztof Białas, przewodniczący Niezależnego Zrzeszenia Studentów:

Nasi koledzy i koleżanki z za wschodniej granicy jako studenci spotykają się z licznymi represjami ze strony władzy. Wielu z nich zmuszonych jest uciekać za granicę, w tym do Polski. Chcą żyć godnie oraz kontynuować swoją edukację na uczelniach, dlatego przed Europą stoi wyzwanie okazania solidarności z tymi, którzy potrzebują naszej pomocy. Chcemy, aby na poziomie europejskim wypracowano fundusz wspólnotowy, gwarantujący im możliwość pobytu w każdym z krajów UE oraz studiowania na uczelniach, które stworzyłyby dla nich dodatkowe miejsca. Gorąco wierzę, że ci młodzi ludzie będą w przyszłości budować w pełni demokratyczną Białoruś, jednakże teraz zmuszeni są do działania w „podziemiu”. Wyraży solidarności są bardzo ważne, natomiast pilnie potrzeba wypracować realne propozycje wsparcia na poziomie ogólnoeuropejskim. W grudniu ubiegłego roku apelowaliśmy wraz ze Zrzeszeniem Studentów Białoruskich o zdecydowane działania względem tamtejszych decydentów. Zgodnie stwierdziliśmy, że brak reakcji jest zagrożeniem dla zdrowia i życia nie tylko obywateli Białorusi, ale także dla filarów naszej cywilizacji.



Studenci nobliści

Już po raz 13. rozdano Studenckie Noble. W tym roku do konkursu napłynęło 420 zgłoszeń. Spośród nich wyłoniono 86 finalistów. W kolejnym etapie komisja konkursowa, złożona z 33 profesorów polskich uczelni, wybrała 9 najzdolniejszych studentów. Każdy otrzymał po 5 tys. zł.

W kategorii „dziennikarstwo i literatura” wyróżniono **Antoninę Tosiek**, studentkę II roku filologii polskiej (specjalność: kuratorstwo literatury) na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Laureatka pisze wiersze i utwory sceniczne. W ramach projektu „Pierwsza książka wierszem” nakładem Biura Literackiego ukazał się jej debiutancki tom *storytelling*.

W „naukach przyrodniczych i energetyce” nagrodzono **Kacpra Prokopa**, studenta V roku chemii medycznej na Wydziale Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego i stypendystę ministra edukacji i nauki. Współpracuje on z Centrum Inżynierii Materiałowej Łukasiewicz – PORT, gdzie w Zespole Badawczym Syntezy Zaawansowanych Materiałów bierze udział w projekcie dotyczącym warstw 2D, tj. produkcji i analizy grafenu. Był finalistą „Złotego Medalu Chemii”.

W „naukach technicznych” bezkonkurencyjna była **Justyna Pelc**, studentka ostatniego roku zarządzania (specjalność: zachowania i decyzje menedżerskie) na Wydziale Informatyki i Zarządzania Politechniki Wrocławskiej oraz absolwentka dwóch kierunków studiów inżynierskich (automatyka i robotyka; zarządzanie i inżynieria produkcji). Angażuje się w projekty związane z eksploracją kosmosu. Jest liderką wielokrotnie nagradzanej grupy InnSpace. Zasiada w Radzie Studentów przy prezesie Polskiej Agencji Kosmicznej, a także Zarządzie Polskiego Towarzystwa Astrobiologicznego.

Nobla w „sztuce” zdobyła **Katarzyna Nachman**, studentka V roku grafiki na Wydziale Sztuki i Nauk o Edukacji Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. W swoim dorobku ma grafiki, plakaty, ilustracje wierszy. Wygrała międzynarodowy konkurs na plakat Poznań Art Week oraz „Art+” V Przegląd Studencki Cieszyn Tętni Sztuką.

W „naukach społecznych” uhonorowano Michała Gębickiego z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Jako członek drużyny Vis Moot Team Silesia został najlepszym mówcą podczas międzynarodowego konkursu 1st Lviv Pre-Moot. Jest przewodniczącym Studenckiej Poradni Prawnej Koła Naukowego WPiA UŚ w Katowicach,

W „naukach ekonomicznych” doceniono **Szymona Jarosza**, studenta kierunku rachunkowość i controlling w Instytucie Zarządzania Kolegium Nauk o Zarządzaniu i Jakości na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie. Jest on uczestnikiem Programu Szkoła Orłów, w którym prowadzi badania dotyczące złożoności zarządzania organizacjami w warunkach czwartej rewolucji przemysłowej. Otrzymał stypendium ministra edukacji i nauki oraz Santander Universidades dla najlepszych studentów UEK.

W „działalności społecznej” wygrała **Julia Orłowska**, studiująca stosunki międzynarodowe na Wydziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jest współzałożycielką Globalnej Wioski – organizacji młodzieżowej, która za cel obrała pielęgnowanie wrażliwości oraz zrozumienia wobec otaczającego świata. Przewodniczy Kołu Naukowemu Polityki Ekonomicznej i Społecznej.

W kategorii „medycyna i farmacja” zwyciężył **Wojciech Szlasa**, student IV roku Wydziału Lekarskiego na Uniwersytecie Medycznym im. Piastów Śląskich we Wrocławiu. W Katedrze i Zakładzie Biologii Molekularnej i Komórkowej na Wydziale Farmaceutycznym prowadzi prace z zakresu biologii komórki nowotworowej. Jest stypendystą ministra zdrowia za wybitne osiągnięcia naukowe. Pełni funkcję przewodniczącego Koła Naukowego Biologii Komórki Nowotworowej.

W kategorii „fizyka i astronomia” Studencki Nobel trafił w ręce **Jana Chojnackiego** z II roku anglojęzycznego kierunku Physics na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się on zastosowaniem symetrii teorii grawitacji inspirowanych teorią strun do prze-



Justyna Pelc:

To niesamowita nagroda na koniec studiów, bo za miesiąc zostanę absolwentką. Kiedy zaczynałam automatykę i robotykę, nie spodziewałam się, że po kilku latach będę zaangażowana w przemysł kosmiczny i przeżyję przygodę tak naprawdę nie z tej Ziemi. Nie myślałam, że to, co zaczęło się od pracy złożonej na konkurs przez czworo przyjaciół zamieni się w 20-osobową grupę, która działa w całej Polsce i realizuje z sukcesami projekty kosmiczne. Moim ulubionym jest baza na Księżycu Xors. To był pierwszy projekt, przy którym miałam okazję pracować z ludźmi z zupełnie różnych dziedzin – nie tylko konstruktorami, robotykami czy architektami, ale też lekarzami, prawnikami i astrobiologami. Dzięki połączeniu odmiennych doświadczeń udało się stworzyć niezwykle ciekawy i dopracowany projekt habitatu na Księżycu.



Jan Chojnacki:

Interesują mnie teorie opisujące ewolucję bardzo wczesnego Wszechświata. Próbuję ustalić, dlaczego teraz wygląda tak, a nie inaczej. Wraz z czterema kolegami z Wydziału Fizyki UW dowiodłem, że powstawanie wieloświata jest matematycznie nieodzowną częścią modeli inflacji kosmologicznej, wynikających z tzw. asymptotycznego bezpieczeństwa. Stworzyliśmy model numeryczny symulujący ewolucję Wszechświata w okresie inflacji, a wyniki zderzyliśmy ze znanymi, analitycznymi warunkami powstawania wieloświata, motywowanymi rozważaniami teorii strun. Okazuje się, że warunki te nie uwzględniają tunelowania kwantowego przez barierę potencjału inflatonu. Jest to nieznan wcześniej wynik i nieoczywisty mechanizm powstawania wieloświata.



for. Monika Chrusiek

Julia Orłowska:

Działalność społeczna jest od sześciu lat nieodłącznym elementem mojego życia. Traktuję tę nagrodę jako docenienie pewnej idei – łączenia chęci pielęgnowania wrażliwości na cudze potrzeby z popularyzacją wiedzy. W Globalnej Wiosce staramy się zarażać innych ciekawością świata i pomagać zrozumieć problemy społeczności z różnych regionów. W ramach konkursu „Cześć, Europo!”, który współorganizowałam razem z przyjaciółmi z liceum, dzieci będące jeszcze w podstawówce inicjowały swoje pierwsze projekty dla lokalnych wspólnot. Chciałabym, by każde organizowane przeze mnie wydarzenie, kampania bądź projekt sprowadzały się do hasła: warto dzielić się dobrem z innymi ludźmi.

widywań kosmologicznych. Jest współautorem publikacji na łamach „Journal of Cosmology and Astroparticle Physics”.

Konkurs Studencki Nobel organizowany jest przez Niezależne Zrzeszenie Studentów od 2009 r. To jedyny ogólnopolski konkurs stypendialny w pełni tworzony przez organizację studencką. Umożliwia wyróżniającym się studentom prezentację osiągnięć naukowych i artystycznych. Laureaci wybierani są na podstawie takich kryte-

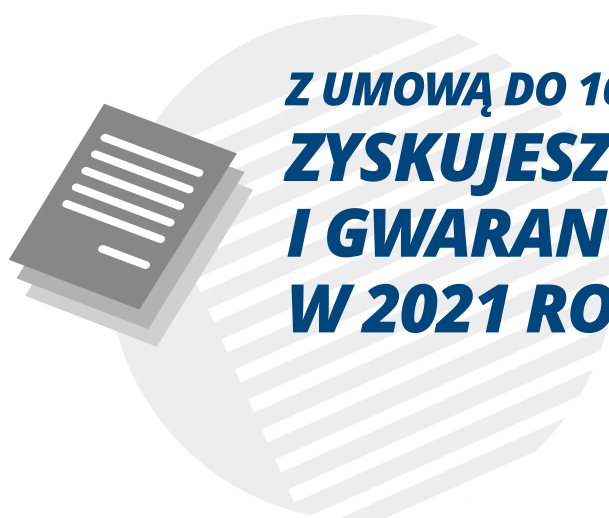
riów jak: oceny ze studiów, aktywność naukowa, społeczna oraz artystyczna, współpraca z prasą naukową oraz działalność w samorządzie studenckim i organizacjach studenckich. W konkursie mogą brać udział zarówno studenci uczelni publicznych, jak i niepublicznych. Konkurs zorganizowano we współpracy z Ministerstwem Edukacji i Nauki.

Mariusz Karwowski

Szukasz wydawcy?

Wydaj monografię lub publikację konferencyjną z PWN!

wycena – niezależni recenzenci – redakcja i skład – proofreading – przygotowanie do druku



**Z UMOWĄ DO 16 SIERPNI
ZYSKUJESZ ARKUSZ GRATIS
I GWARANCJĘ DRUKU
W 2021 ROKU***

publikujz nami.pwn.pl/oferta

70^{lat}  PWN

* Oferta dotyczy publikacji min. 10 arkuszy wydawniczych. Pełna wycena po indywidualnej konsultacji w wydawcę. Więcej informacji na <https://publikujz nami.pwn.pl/oferta>.

75 lat krakowskiej uczelni pedagogicznej

Uniwersytet Pedagogiczny im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie został powołany 11 maja 1946 r. jako Państwowa Wyższa Szkoła Pedagogiczna. W 1954 r. uczelnia formalnie uzyskała status szkoły wyższej, co znaczy, że jej absolwenci po 4 latach studiów otrzymywali dyplom magistra. Od roku akademickiego 1958/1959 studia przedłużono do 5 lat. W 1959 r. WSP otrzymała prawo nadawania stopnia naukowego doktora, a w 1967 r. prawo do przeprowadzania przewodów habilitacyjnych. W 1973 r. uczelnia otrzymała imię Komisji Edukacji Narodowej. W 1999 r. przyjęła nazwę Akademia Pedagogiczna im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, a w 2008 r. uzyskała status uniwersytetu i obecną nazwę.

Strukturę organizacyjną UPK tworzy 5 wydziałów: Nauk Humanistycznych, Nauk Ścisłych i Przyrodniczych, Nauk Społecznych, Pedagogiki i Psychologii oraz Sztuki. Wydziały odpowiadają w uczelni za badania naukowe. Zadania dydaktyczne realizowane są w 23 instytutach: Biologii, Filologii Angielskiej, Filologii Polskiej, Filozofii i Socjologii, Fizyki, Geografii, Grafiki i Wzornictwa, Historii i Archiwistyki, Informatyki, Malarstwa i Edukacji Artystycznej, Matematyki, Nauk o Bezpieczeństwie, Nauk o Informacji, Nauk o Polityce i Administracji, Nauk o Wychowaniu, Nauk Technicznych, Neofilologii, Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej, Pedagogiki Specjalnej, Prawa i Ekonomii, Psychologii, Spraw Społecznych oraz Sztuki Mediów.



UPK posiada uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora w 4 dziedzinach i 13 dyscyplinach. W dziedzinie nauk społecznych doktoryzuje w zakresie: geografii społeczno-ekonomicznej i gospodarki przestrzennej, nauk o bezpieczeństwie, nauk o polityce i administracji oraz pedagogiki. W dziedzinie nauk humanistycznych doktoryzuje w zakresie: filozofii, historii, językoznawstwa i literaturoznawstwa. W dziedzinie nauk ścisłych i przyrodniczych doktoryzuje z matematyki, nauk biologicznych, nauk fizycznych oraz nauk o Ziemi i Środowisku. W dziedzinie sztuki doktoryzuje ze sztuk plastycznych i konserwacji dzieł sztuki. Uniwersytet posiada prawa do habilitowania w 4 dziedzinach w zakresie: nauk o polityce i administracji, historii, językoznawstwa i literaturoznawstwa, nauk biologicznych oraz sztuk plastycznych i konserwacji dzieł sztuki.

W 2019 roku powstała szkoła doktorska, która koordynuje kształcenie doktorantów. Obecnie na UPK doktoryzują się 163 osoby, 59 z nich w szkole doktorskiej i 104 na studiach doktoranckich.

UPK zatrudnia 1562 pracowników, w tym 1093 nauczycieli akademickich i 469 pracowników administracji i obsługi. W gronie pracowników naukowo-dydaktycznych jest 78 profesorów tytularnych, 252 doktorów habilitowanych, 562 doktorów i 201 magistrów.

Na 56 kierunkach kształcą się 11,2 tys. studentów, w tym 8304 na studiach stacjonarnych i 2880 w trybie niestacjonarnym (to prawie 25% ogółu studentów). W kursach podyplomowych uczestniczy aktualnie 380 słuchaczy.

UPK należy do grona 20 uczelni w Polsce, które spełniły warunki udziału w konkursie na uczelnię badawczą. Zapewniły to wyniki ostatniej oceny parametrycznej, w której 5 wydziałów Uniwersytetu Pedagogicznego uzyskało kategorię A, a 2 kategorię B (strukturę uczelni tworzyło wówczas 7 wydziałów). Ten fakt oznacza dodatek do subwencji (liczony od danych za rok 2019) w wysokości 2%, czyli ok. 2,5 mln zł rocznie w latach 2020-2025. Roczny budżet uczelni wynosi ok. 180 mln zł, z czego subwencja to 149 mln, a pozostałe środki UPK musi wypracować samodzielnie.

Uniwersytet dysponuje 13 budynkami w Krakowie oraz obserwatorium astronomicznym na Suhorze w Górcach. Powierzchnia całkowita obiektów uczelni wynosi 74,3 tys. m², a powierzchnia dydaktyczna 22 tys. m².

Ważną częścią infrastruktury uniwersytetu jest system biblioteczny. Jego zasoby liczą 692.320 jednostek inwentarзовych. W Bibliotece Głównej zgromadzono 416.853 jednostek, a reszta znajduje się w bibliotekach jednostek uniwersyteckich. Zbiory książek BG liczą 379.707, a bibliotek systemu 250.394, co razem daje 630.101 woluminów. Biblioteki UPK gromadzą 54.166 czasopism i 8.053 jednostki zbiorów specjalnych. Zapewniają też dostęp do baz danych: Proquest, EBSCO, Web of Science, Scopus, Taylor&Francis, Springer, Elsevier, Wiley, CUP, „Nature” oraz bazy książek elektronicznych IBUK PWN.

PK

Dwie wizje uniwersytetu

Na stronach 44-48 przeczytają Państwo wywiad z prof. Piotrek Borkiem, rektorem Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, a na str. 49-52 rozmowę z prof. Kazimierzem Karolczakiem, rektorem UPK w latach 2016-2020. Każdy z moich rozmówców przedstawia własną wizję uczelni. Żaden z nich nie znał treści wywiadu z drugim.

Piotr Kieraciński

Widać nas w świecie

Dr hab. Mateusz Stróżyński, prof. UAM, dyrektor Instytutu Filologii Klasycznej UAM, mówi o czasopiśmie interesujących dla filologa klasycznego w polskiej bazie referencyjnej.

Filologia klasyczna jest trochę czymś innym w Polsce – gdzie można nas zaliczyć do różnych, wąsko ujmowanych dyscyplin: językoznawstwa, literaturoznawstwa, ale i kulturoznawstwa – a czymś innym za granicą. W tradycji anglosaskiej to co nazywane jest Classics, to bardzo szeroko rozumiane studia nad antykiem. Jest tam i historia starożytna, i archeologia, i historia filozofii starożytnej, część religioznawstwa i teologii oraz to wszystko, co ściśle filologiczne, czyli związane z językami i literaturą piękną. My musimy sobie to uprościć i na przykład badania nad filozofią starożytną, czym ja się zajmuję, zaliczyć do szeroko rozumianego literaturoznawstwa. Badanie starożytnych tekstów w końcu opiera się w jakimś stopniu na metodologii charakterystycznej dla literaturoznawstwa.

Patrząc na listę czasopism, które mogą zainteresować „klasyka” jako miejsce publikacji, musimy to wszystko uwzględnić. Na polskiej liście brakuje czasopism, które w obszarze naszych badań uważane są za istotne. Wyraźnie dominują czasopisma z tzw. „anglosfery”, czyli anglojęzyczne, te wydawane przez wielkie ośrodki badawcze w Stanach Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii (Princeton, Cambridge, Oxford) lub przez największe wydawnictwa naukowe (Brill, Bloomsbury). To ważne czasopisma, jak „Journal of Hellenic Studies”, „Journal of Roman Studies”, „Classical Quarterly”, „Mnemosyne” czy „Classical Philology”, które mają na naszej liście 140 czy 200 punktów. I tak właśnie być powinno. Nie rozumiem jednak, dlaczego „Classical Quarterly” ma 140 punktów, a „Journal of Hellenic Studies” 200. Są to czasopisma, między którymi nie ma żadnej różnicy merytorycznej czy pod względem surowości selekcji tekstów. Oba tytuły są oblegane przez badaczy z całego świata.

Są natomiast czasopisma ważne dla klasyków, ale z kręgów nie anglojęzycznych, czyli na przykład francuskie, włoskie czy niemieckie, które zasługiwałyby na obecność na naszej liście, lub, gdy już na niej są – na wyższą punktację. Z włoskich czasopism „Seminari romani di cultura greca” są w ogóle nieobecne, a „Quaderni Urbinati di Cultura Classica” mają tylko 40 punktów. Znane francuskojęzyczne czasopismo „Latomus” również ma tylko 40 punktów. Do tych czasopism piszą badacze z całego świata, nie tylko z Włoch, Francji czy Belgii. Inny ważny przykład to niemieckie czasopismo „Hermes”, bardzo prestiżowe, z długą historią, w którym można publikować nie tylko po niemiecku, a które na naszej liście ma zaledwie 70 punktów, co jest rażącym kontrastem z takimi czasopismami jak „Classical Quarterly” czy „Mnemosyne”. Nie ma żadnej różnicy – sądzę, że w środowisku filologów klasycznych będziemy co do tego zgodni – między „Hermesem” a wymienionymi wcześniej tytułami anglojęzycznymi. Musimy zatem dołączyć do listy ważne czasopisma włoskie, francuskie i niemieckie oraz doszacować te, które mają zbyt mało punktów. W dziedzinie badań nad świętym Augustynem najważniejsze na świecie jest czasopismo „Augustinian Studies”, które ma na naszej liście 140 punktów (dlaczego nie 200?), podczas gdy porównywalne czasopismo „Augustiniana” ma, po którejś z korekt ministerialnych, 70 punktów, co jest rażącą rozbieżnością, którą trudno uzasadnić różnicą poziomu tych czasopism. Renomowane czasopismo „Vigiliae Christianae”, wydawane przez Brilla, ma nadal tylko 70 punktów.



Fot. Arch. prywatne

Jeśli chodzi o punktację monografii, za absolutny skandal, który jest odporny na korekty, uważam fakt, że takie światowej skali wydawnictwo jak Walter de Gruyter znalazło się na liście I poziomu (80 punktów), razem z lokalnymi wydawnictwami, zamiast na liście wydawnictw II poziomu (dla humanistów za 300 punktów). Podobnie wydawnictwo Springer. Warto przy okazji przypomnieć, że edycja tekstu łacińskiego czy greckiego oraz przekład z tych języków stanowi specyficzną dla filologii klasycznej postać dzieła naukowego. Wymaga szczególnych kompetencji i wiedzy, więc nie można go porównywać z przekładem, powiedzmy, powieści kryminalnej z angielskiego na polski. Ten fakt jest akurat uwzględniany w ewaluacji.

Filologia klasyczna w Polsce w okresie komunizmu rozwijała się w izolacji od nauki światowej. Nasi badacze mieli utrudnione lub uniemożliwione kontakty ze światową czołówką. To się przekładało nie tylko na same badania, ale i na styl oraz charakter naszych czasopism. Pisano po polsku. Znaczna część naszych mistrzów i mentorów do dziś pisze po polsku dla polskich filologów klasycznych, co zapewne wynika z przyzwyczajenia. To tworzy swoisty obieg zamknięty. Ostatnio jednak następuje zmiana – młodsze pokolenie jest bardziej otwarte na świat, chce i zaczyna pisać w językach obcych i publikować za granicą, chce być tam obecne i widoczne. Rozmawiałem ostatnio ze znajomym z Uniwersytetu w Nottingham, który mówił mi, że Polaków widać w międzynarodowym środowisku klasyków: na konferencjach, w czasopiśmie. To pokazuje, że coś się zmieniło. Widać jednak w naszym środowisku podział na tych, którzy preferują publikowanie po polsku w lokalnych czasopiśmie, i tych, którzy wychodzą w świat, publikują po angielsku czy niemiecku. Przyznam, że to, co mam do zaproponowania, publikuję po angielsku i w tym języku myślę o tym, czym się naukowo zajmuję. Czasem publikuję coś po polsku, ale jako dyrektor Instytutu Filologii Klasycznej raczej zachęcam kolegów do publikowania w obiegu międzynarodowym. Rozumiem, że to może być postrzegane jako zerwanie z tradycją, a ja nie jestem w żadnym razie zwolennikiem zrywania z tradycją czy bezrefleksyjnego naśladowania Zachodu. To trudna kwestia i chyba specyficzna dla polskiej filologii klasycznej.

Nasze czasopisma stoją przed tym dylematem: czy podtrzymać tradycję publikowania po polsku, pozostać w swoim kręgu, co nas wyklucza z obiegu międzynarodowego, czy też otworzyć się na świat, publikować po angielsku i w innych językach. Na liście czasopism są obecne polskie periodyki: „Eos”, „Symbolae Philologorum Posnaniensium”, „Meander” – wszystkie z punktacją 70 po korekcie dokonanej przez ministra.

Jest jeszcze druga strona tego medalu. Na naszej liście są czasopisma, których bez żadnej szkody dla badań, dla nauki, moglibyśmy nie brać pod uwagę lub powinny mieć zdecydowanie niższą punktację. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego rosyjskie czasopismo „Philologia Classica” ma 200 punktów! Nie słyszałem o istnieniu tego czasopisma do chwili, gdy powiedziano mi, że jest na liście. Nigdy nie przeczytałem żadnego artykułu naukowego w tym periodyku i nie znam żadnej osoby, która kiedykolwiek by z niego korzystała, zanim znalazło się ono na ministerialnej liście.

Notował Piotr Kieraciński

Technologie produkcji wodoru, monitorowanie ścieków pod kątem obecności w nich wirusów czy wpływ węzłów przesiadkowych na stan powietrza w mieście – tymi między innymi zagadnieniami zajmie się Centrum Badań Zmian Klimatu i Środowiska.



Klimatyczne Centrum

Na obrzeżach Lublina tworzone są węzły przesiadkowe. Docelowo ma ich być siedem. To pętle komunikacji miejskiej połączone z parkingami. Powstają po to, by kierowcy dojeżdżający np. do pracy, mogli zostawić na nich swój samochód i kontynuować podróż trolejbusem, autobusem bądź rowerem. W ten sposób oszczędzają na parkowaniu w centrum, a przy okazji ograniczają swój ślad węglowy i nie zanieczyszczają miasta. Lecz czy rzeczywiście ten system może poprawić jakość powietrza w centrum? I w jakim stopniu? Odpowiedzi przyniosą badania prowadzone w CeReClimEn (Centre for Climate Change and Environment Research), nowej ogólnouczelnianej jednostce Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Ambicje jej twórców, choć głośno się o tym nie mówi, sięgają wysoko – ma to być w niedalekiej przyszłości czołowy ośrodek B+R w zakresie klimatu.

– Będzie skupiać naukowców zajmujących się szeroko rozumianą problematyką zmian klimatu, a więc jednego z największych zagrożeń, z którym mierzy się dziś cały świat. Chodzi nam o szerokie spektrum tych zagadnień – zapowiada prof. Radosław Dobrowolski, rektor UMCS.

Potencjał lubelskiego ośrodka

Klimat i zachodzące w nim zmiany to dziś bardzo modny temat, ale nie podążanie za trendami kryło się za powstaniem Centrum. Bardziej chodziło o wykorzystanie potencjału lubelskiego ośrodka akademickiego, w którym nauki o Ziemi i środowisku zawsze miały silną pozycję. W ostatnim czasie wzmocnioną pozyskaniem prof. Jeana Poesena, czołowego geografa na świecie. Tę dyscyplinę reprezentuje również sam rektor UMCS, z którego inicjatywy narodziła się koncepcja Centrum Badań Zmian Klimatu i Środowiska. Nic zatem dziwnego, że powołanie interdyscyplinarnej jednostki, która zajęłaby się badaniem procesów związanych z systemem klimatycznym Ziemi oraz opracowywaniem skutecznych modeli adaptacji do zacho-

dzających zmian, postawił sobie za punkt honoru. Idea, która pojawiła się dwa lata temu, z czasem ewoluowała i dziś, obok wymiaru środowiskowego, zawiera także elementy społeczne, ekonomiczne czy prawne. To oznacza, że działalność otwartego z początkiem maja CeReClimEn nie ograniczy się jedynie do projektów wdrożeniowych, swoje miejsce znajdą tu też naukowcy prowadzący badania podstawowe.

Planowane jest uruchomienie co najmniej 10 agend badawczo-rozwojowych. Już od pewnego czasu naukowcy UMCS zgłaszają swoje pomysły, które wpisują się w obszar działalności Centrum. Nad technologią wykrywającą koronawirusa w ściekach pracują uczeni z Instytutu Nauk Biologicznych. Dzięki ich rozwiązaniu będzie można określić zagrożenia wirusologiczne ze wskazaniem na konkretne miasta, a nawet ich poszczególne dzielnice. Ścieki zawierają ogromną ilość danych biologicznych, które trzeba odpowiednio przefiltrować. Sęk w tym, że wirus jest tam bardzo rozproszony, więc kluczowe zadanie stanowi skoncentrowanie go, a następnie – za pomocą metod chemicznych – wykrycie, w jakiej ilości występuje w próbce.

Wodór, jako paliwo przyszłości, też znajduje się w orbicie zainteresowania lubelskich naukowców. Choć nad technologią jego produkcji pracuje już wiele ośrodków, to z racji charakterystyki tego nośnika energii, istnieje potrzeba rozwiązań lokalnych, do zastosowania w konkretnym miejscu.



Dno jeziora Rakutowskiego zlokalizowanego w Kotlinie Płockiej w czasie suszy w 2008 roku

Fot. Mariusz Lamentowicz

Taka koncepcja „na miarę” mogłaby stanowić wizytówkę CeReClimEn.

Planowane jest także utworzenie ośrodka zaawansowanego modelowania komputerowego. Symulacje tam opracowane posłużą m.in. do audytu śladu węglowego. Opracowanie takiego systemu, który pozwoli sprawdzić, jak dużo CO₂ powstaje w danym łańcuchu dostaw czy przy produkcji konkretnego artykułu, przyczyni się do podniesienia świadomości, ale i podjęcia konkretnych kroków w kierunku ograniczenia gazów cieplarnianych.

Impuls do działania

Nauka i wdrożenia to niejedne filary, na których opierać się będzie działalność Centrum. Równie istotnym jest misja społeczno-edukacyjna, a więc upowszechnianie wiedzy, projekty edukacyjne, szkolenia czy organizacje eventów popularnonaukowych.

– Funkcjonujemy w pewnym otoczeniu i chodzi nam o to, by podnosić świadomość i mieszkańców, i instytucji w kontekście przedsięwzięć służących ochronie klimatu. Jako środowisko akademickie chcemy dać impuls do działania – przekonuje dr hab. Jan Chadam, prof. UMCS, który stanął na czele Centrum.

Jest praktykiem z długoletnim doświadczeniem w zarządzaniu przedsiębiorstwami i grupami kapitałowymi. Był odpowiedzialny za realizację największych krajowych projektów infrastrukturalnych, m.in. strategicznego terminalu LNG w Świnoujściu wraz z siecią gazociągów, wartego około 8 mld zł. W fotelu dyrektora CeReClimEn widzi się jako menedżer, który połączy środowisko biznesowe z naukowym.

– Bardzo dobrze znam i jedno, i drugie. Myślę, że to, czego potrzebują akademicy, to chłodne, pragmatyczne spojrzenie na ich pomysły badawcze ze strony kogoś, kto zmierzył się z realiami gospodarczymi. Wszystko musi być bowiem oparte na realnych możliwościach pozyskiwania grantów – uważa.

Jednym z celów, jakie sobie stawia, jest zintegrowanie wokół Centrum całego lubelskiego środowiska akademickiego. Skuteczność we wdrażaniu innowacyjnych pomysłów ma z kolei przekonać do współpracy także inne ośrodki. Już teraz chęć prowadzenia wspólnych badań zadeklarowało ponad 50 naukowców.

– Chcielibyśmy podzielić się wiedzą zwłaszcza w zakresie dokumentowania zapisów zmian klimatu w przeszłości w różnych archiwach środowiskowych (paleoklimatologia), a także rozpoznawania wpływu współczesnej zmiany klimatu na pro-

cesy zachodzące obecnie w środowisku – mówi prof. Piotr Stepnowski, biolog, rektor Uniwersytetu Gdańskiego. – Mamy duże doświadczenie w badaniach ekosystemów jeziornych, które w doskonały sposób archiwizują zachodzące zmiany środowiskowe. Obserwujemy dynamikę i kierunki przekształceń tych ekosystemów, które będą miały coraz większe znaczenie dla naszego życia – dodaje uznany autorytet w zakresie badań i ochrony środowiska.

Z kolei prof. Marek Degórski z Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN w Warszawie ma nadzieję, że nowa jednostka stanie się swoistym koordynatorem badań klimatycznych w skali ogólnopolskiej i doprowadzi do połączenia sił naukowców reprezentujących różne dyscypliny.

– Uważam, że to słuszna idea, która ma szansę zjednoczyć badaczy klimatycznych. Chciałbym w ramach tej inicjatywy kontynuować swoje projekty związane z miejskimi wyspami ciepła oraz wpływem fal ciepła na funkcjonowanie naszego organizmu. Dodatkowo zaproponuję tematykę dotyczącą wody, wszak zaczynamy w Polsce mieć problemy z jej zasobami. Jako społeczeństwo musimy się do tych wszystkich zmian adaptować, a wyniki prac takich interdyscyplinarnych zespołów mogą nam w tym pomóc – przekonuje.

Listy intencyjne o współpracy podpisano już także m.in. z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytetem Łódzkim, Komitetem Nauk Geograficznych PAN, Instytutem Agrofizyki PAN w Lublinie, a także z KU Leuven – Katholieke Universiteit Leuven (Belgia), ETH Zurich – Swiss Federal Institute of Technology in Zürich (Szwajcaria) i University of Wisconsin-Milwaukee (USA).

Hub sprzyja integracji

O tym, że powstanie CeReClimEn nie jest w żadnym razie dziełem przypadku, świadczy też ulokowanie go w ECOTech Complex. Obiekt oddany do użytku w 2015 roku od samego początku służy współpracy sektora nauki z przemysłem w takich obszarach, jak zdrowie, ekologia, żywność i rolnictwo. Można w nim korzystać z najnowszych metod, narzędzi i oprogramowania z zakresu: rekonstrukcji klimatycznych i środowiskowych, geoinformatyki, smart city, Internetu rzeczy, business intelligence, wirtualnej i poszerzonej rzeczywistości, modelowania i symulacji procesów i produktów, sztucznej inteligencji, uczenia maszynowego, robotyki oraz automatyzacji procesów.

– Istniejąca baza stanowi znakomitą podstawę do uruchomienia

wyspecjalizowanego, multidyscyplinarnego laboratorium, działającego na potrzeby CeReClimEn. Ponadto nasza aktywność w zakresie zacieśniania współpracy między sferą nauki i gospodarki, jak i planowane oraz już podejmowane wyzwania badawcze i wdrożeniowe czynią to miejsce „hubem” sprzyjającym integracji rozproszonego środowiska naukowego. A to jest przecież jednym z celów przyświecających powołaniu Centrum Badań Zmian Klimatu i Środowiska – zauważa prof. Ryszard Naskręcki, dyr. ECOTECH-Complex.

Mariusz Karwowski



Procesy cofania się lodowców na Islandii

Uniwersytet Zielonogórski jubileuszowo

Dwadzieścia lat temu z połączenia Politechniki Zielonogórskiej i Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Tadeusza Kotarbińskiego w Zielonej Górze, na mocy ustawy z dnia 7 czerwca 2001 r., powstał Uniwersytet Zielonogórski. Dzieje kształcenia wyższego w Zielonej Górze sięgają roku 1965, gdy utworzono tam Wyższą Szkołę Inżynierską im. Jurija Gagarina, przekształconą później w PZ. Uczelnia miała w 2001 r. 4 wydziały: Budownictwa i Inżynierii Sanitarnej; Elektryczny; Mechaniczny i Podstawowych Problemów Techniki. Kształciła 8,5 tys. studentów. Humanistyczna „noga” UZ powstała w 1971 r. jako Wyższa Szkoła Nauczycielska, która już dwa lata później została przekształcona w WSP. W 2001 r. tworzyły ją 4 wydziały: Artystyczny, Humanistyczny, Nauk Pedagogicznych i Społecznych oraz Matematyki, Fizyki i Techniki. W Zielonej Górze istniały dwa kampusy akademickie; uczelnie dysponowały też pojedynczymi obiektami poza kampusami.

Początkowo UZ miał strukturę federacyjną, którą tworzyły 3 szkoły: Nauk Ścisłych i Ekonomicznych, Nauk Humanistycznych i Społecznych, Nauk Technicznych. Miał też bodaj najszersze spektrum kształcenia w kraju (podobny charakter miał Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie). Kształcił wówczas niemal 23 tys. studentów, z których niemal połowa studiowała na zaocznych studiach płatnych.

Dzisiaj wprawdzie szkoły już nie istnieją, a struktura organizacyjna opiera się na instytutach (dyscyplinowych, odpowiedzialnych za naukę) i wydziałach (odpowiedzialnych za kształcenie). Wydziałów zielonogórska Alma Mater ma 12: Artystyczny; Budownictwa, Architektury i Inżynierii Środowiska; Ekonomii i Zarządzania; Fizyki i Astronomii; Humanistyczny; Informatyki, Elektrotechniki i Automatyki; Matematyki, Informatyki i Ekonometrii; Mechaniczny; Nauk Biologicznych; Nauk Społecznych oraz Prawa i Administracji. Wydział

Lekarski i Nauk o Zdrowiu jest w wyodrębnionym Collegium Medicum. Oprócz nich działa Filia UZ w Sulechowie (to blisko Zielonej Góry, dojeżdżają tam autobusy komunikacji miejskiej).

UZ zatrudnia 1066 nauczycieli akademickich, w tym 334 profesorów i doktorów habilitowanych oraz 495 doktorów. Administrację i obsługę uczelni stanowi 750 osób. Kadra naukowa uprawia badania w 28 dyscyplinach (i tyle samo jest instytutów w strukturze uczelni), ale do ewaluacji UZ zamierza przedstawić 23 dyscypliny.

Przed dwudziestu laty UZ kształcił studentów na 23 kierunkach: humanistycznych, społecznych, ścisłych, przyrodniczych, ekonomicznych, technicznych i artystycznych. Obecnie w ofercie uniwersytetu są 63 kierunki i ponad 100 specjalności, w tym kierunki medyczne i prawne, a także 40 ofert studiów podyplomowych. Na UZ kształcą się 9,5 tys. studentów, w tym 6270 w trybie stacjonarnym i 3193 na studiach niestacjonarnych. Na studiach doktoranckich i w dwóch szkołach doktorskich (Nauk Humanistycznych i Społecznych UZ oraz Nauk Ścisłych i Technicznych UZ) jest 140 doktorantów, którzy doktoryzują się w 16 dyscyplinach. Uniwersytet posiada 7 uprawnień do nadawania stopnia doktora habilito-





wanego w 3 dziedzinach i prawa do nadawania stopnia naukowego doktora w 17 dyscyplinach w 4 dziedzinach. W ciągu 20 lat dyplom uniwersytetu uzyskało 80 tys. absolwentów. UZ wypromował w tym okresie 514 doktorów i 76 doktorów habilitowanych.

Zaplecze i inwestycje

Kiedy 20 lat temu powoływano Uniwersytet Zielonogórski, nie wszyscy w pełni doceniali jego przyszłe znaczenie dla rozwoju regionu. Przez ostatnie dwa dziesięciolecia uniwersytet był największym inwestorem w mieście i jednym z większych w regionie. Wybudowano nową siedzibę dla dwóch wydziałów: Budownictwa, Architektury i Inżynierii Środowiska oraz Nauk Biologicznych. Zmodernizowano siedziby dwóch kolejnych wydziałów: Informatyki, Elektrotechniki i Automatyki oraz Mechanicznego. Wybudowano nowe gmachy Biblioteki Uniwersyteckiej i zmodernizowano DS Wcześniak. Jeden z uniwersyteckich budynków przebudowano i wyposażono na potrzeby Instytutu Automatyki, Elektroniki i Elektrotechniki. Dla Collegium Medicum UZ wybudowano nowoczesne centra symulacji medycznej: monoprofilowe dla pielęgniarstwa i wieloprofilowe dla kierunku lekarskiego. Dzisiaj uniwersytet dysponuje dwoma kampusami – to pozostałość po tworzących go niegdyś uczelniach – w których znajduje się 37 budynków naukowo-dydaktycznych i administracyjnych. Posiada też 6 domów studenckich, 2 hale sportowe, Bibliotekę Uniwersytecką i Ogród Botaniczny.

Spółki

Rozwój był możliwy m.in. dzięki środkom pozyskiwanym z zewnątrz. Od momentu powstania Uniwersytet Zielonogórski pozyskał ponad 200 mln zł pochodzących ze środków strukturalnych

Prof. Wojciech Strzyżewski, rektor UZ, tak widzi przyszłość kształcenia uniwersyteckiego w Zielonej Górze:

Jako największa uczelnia w regionie znamy jego potrzeby i wiemy, że dziś najważniejsze jest wykształcenie kadry dla opieki zdrowotnej. Dlatego planując nowe kierunki, myślimy o Collegium Medicum. Ale wiemy też, że nie możemy pominąć kierunków związanych z nowymi technologiami. Przed wszystkimi uczelniami stoi wyzwanie dostosowania kształcenia do wymogów rynku pracy, a rośnie zapotrzebowanie na nowoczesnie wykształcone kadry w zakresie innowacyjnych technologii, elektromobilności, efektywności energetycznej czy e-commerce. W przyszłości w tę stronę będziemy rozwijać uniwersytecką ofertę kształcenia. Mam nadzieję, że kształceni przez nas humaniści odnajdą się w coraz bardziej scyfryzowanym świecie, bo rośnie znaczenie takich kompetencji, jak kreatywne myślenie, zdolność do tworzenia nowej wiedzy, umiejętność opisywania otaczającej nas rzeczywistości oraz twórczego rozwiązywanie problemów.

oraz pomocy przedakcesyjnej Unii Europejskiej. Zrealizowano niemal 70 projektów inwestycyjnych rozwojowych, w tym budowę Parku Naukowo-Technologicznego UZ. Jest on jedną z czterech spółek uniwersytetu, dysponuje nowoczesną aparaturą z dziedziny zrównoważonego budownictwa, energii odnawialnej, technologii informatycznych, bioinżynierii i biotechnologii oraz nowoczesnych technologii obróbki metali. Posiada unikatowe w skali kraju laboratoria i jest liderem w tworzeniu innowacji w regionie. Działają w nim firmy reprezentujące takie branże, jak: odnawialne źródła energii, technologie informatyczno-telekomunikacyjne, inżynieria środowiska, nanotechnologia czy szeroko rozumiana branża budowlana. Od ubiegłego roku na terenie PNT powstaje Park Technologii Kosmicznych. UZ został partnerem projektu wspólnie z Centrum Badań Kosmicznych PAN i zielonogórską firmą Hertz.

W wyniku konsolidacji uniwersytetu z PWSZ w Sulechowie w strukturze UZ znalazły się kolejne dwa ośrodki badawcze: Centrum Energetyki Odnawialnej oraz Lubuski Ośrodek Innowacji i Wdrożeń Agrotechnicznych. Są to spółki celowe Uniwersytetu Zielonogórskiego dysponujące bazą badawczą w zakresie technologii żywności, badań produktów żywnościowych i DNA, zapleczem w zakresie rozwoju roślin i świetnie wyposażonym laboratorium energetyki odnawialnej i efektywności energetycznej. Czwartą spółką UZ jest Uniwersytecki Szpital im. Karola Marcinkowskiego w Zielonej Górze (49% udziałów pozostało w rękach samorządu województwa lubuskiego – dotychczasowego właściciela placówki).

Medycyna

Utworzenie Wydziału Lekarskiego i Nauk o Zdrowiu było procesem wieloletnim. Nie bez wpływu na powstanie zielonogórskiej medycyny akademickiej była trudna sytuacja kadrowa w lubuskiej służbie zdrowia, która spowodowała, że wszystkie środowiska regionu było zainteresowane stworzeniem i rozwojem tego typu kształcenia. Obecnie kształcenie i badania medyczne odbywają się w wyodrębnionym Collegium Medicum UZ. Jego kadre stanowi 220 pracowników, w tym 16 profesorów tytularnych i 23 profesorów uczelni. Pierwsza inauguracja roku akademickiego na zielonogórskiej medycynie odbyła się w 2015 r., a w tym roku pierwsi absolwenci przystąpią do Lekarskiego Egzaminu Końcowego. Wielu z nich podejmie pracę w regionalnej służbie zdrowia – z pewnością przyczyniły się do tego stypendia przyznawane przez marszałka województwa.

W krótkiej historii Collegium Medicum UZ najważniejszym wydarzeniem było połączenie w czerwcu 2017 r. Wojewódzkiego Szpitala Klinicznego oraz Poradni Akademickiej Uniwersytetu Zielonogórskiego Sp. z o.o., w wyniku czego powołany został Szpital Uniwersytecki stanowiący zaplecze kliniczne dla badań i kształcenia medycznego na UZ.

esa, PK, fot. UZ
Więcej fotografii na II str. okładki

O grantach badawczych dla humanistów

Narodowy Program Rozwoju Humanistyki (NPRH) powstał mniej więcej dziesięć lat temu dzięki staraniom wybitnych uczonych z PAU i PAN. Wydawało się, że jest wielkim dobrodziejstwem dla środowiska humanistycznego. I z pewnością opinia ta miała i ma podstawy. Tylko za czasów min. Kudryckiej wydano w programie ok. ćwierć miliarda złotych, później finansowanie osłabło, ale każda suma pieniędzy cieszyła niedoinwestowane środowisko humanistyczne. Zrealizowano wiele grantów, wydano wiele książek. O profitach programu wiedzielibyśmy więcej, gdyby był rozsądnie monitorowany także po zakończeniu kolejnych edycji, ale nawet brak danych i opinii na temat wartości sfinansowanych przedsięwzięć nie przesłania jego istoty.

Coraz wyraźniej zaczęły zaznaczać się także ciemne strony programu. Realizowany siłami ministerstwa, przy udziale jednego lub (góral!) dwóch urzędników i według reguł prawnych obowiązujących w instytucji szczebla centralnego, kulał organizacyjnie. Nikt nie wiedział, kiedy konkurs zostanie ogłoszony przez szefa resortu, jakimi środkami program będzie dysponował, według jakich zasad powinien pracować. Pierwsza Rada NPRH wybrała wariant najprostszy, najmniej zburokratyzowany, wynikający wprost z tych okoliczności: jej członkowie weryfikowali wnioski i część z nich kierowali do recenzentów, a po otrzymaniu opinii, zachowując prawo ingerencji w ostateczny wynik, konstruowali listę rankingową, którą przedstawiali ministrowi (w tym przypadku pani minister). Ta metoda pracy wywołała falę krytyki ze strony środowiska, co – dorzucam na marginesie – źle wróży próbom stosowania oceny jakościowej w humanistyce, stanowiącej jedyną przeciwwagę dla „punktozy”.

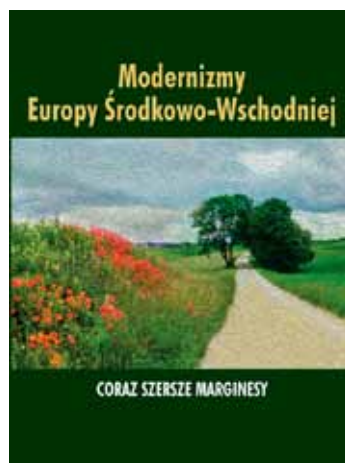
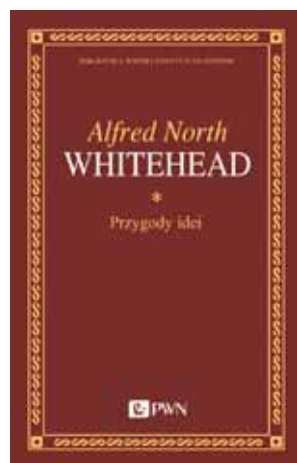
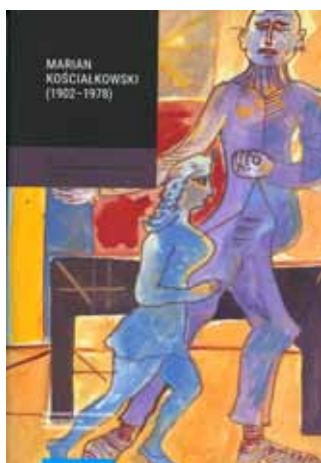
W kolejnych odsłonach programu nowe Rady zastosowały zupełnie inne rozwiązania organizacyjne. Były one wzorowane na działaniach NCN-u: dwuszczeblowa ocena wniosków (eksperti, a po nich recenzenci uruchamiani w stosunku do wniosków wyżej punktowanych). Od kilku lat obowiązuje w NPRH szczebel trzeci: rozmowa autorów kilkunastu najwyższych ocenionych wniosków z komisją (reguły jej powoływania nie są znane). Czy ten sposób procedowania jest lepszy od poprzedniego, gdzie decyzje nie były anonimowe, a członkowie Rady ponosili za wyniki konkursu odpowiedzialność?

Nie to jest najważniejsze. Sprawność ministerstwa jako organizatora programu nie poprawiła się, w dodatku od czasów objęcia resortu przez Jarosława Gowina, a później przez Przemysława Czarnka zaczęły się – wcześniej niepraktykowane – ingerencje władzy w wyniki konkursu. Za min. Gowina incydentalne, dzisiaj frontalne. Potrzeba „poprawienia” ustaleń ekspertów sprawiła, iż ostatni konkurs w module „Dziedzictwo narodowe” został zablokowany przez szefów resortu na długie miesiące. Dzięki komunikatowi z 18 maja br.

wiemy, że (wybrane) wnioski poszły po półtora roku leżakowania do oceny recenzentów. Konkurs ogłoszony jesienią 2019 ma szanse zamknąć się jesienią 2021. Ale czy ta prognoza się sprawdzi? Zobaczymy. Nie tylko przetrzymano wnioskodawców i ich zespoły, ale zrobiono to w sposób wyjątkowo lekceważący. Aż do 18 maja nie pojawiła się na stronach ministerialnych żadna informacja na temat NPRH, nie zamieściły jej władze resortu, karnie milczeli urzędnicy, nie wypowiedziała się ani Rada NPRH, ani jej szef.

Czy prognozowane odblokowanie NPRH może cieszyć? Obawiam się, że nie. Po tych doświadczeniach nikt nie powinien mieć wątpliwości, że ministerstwo nie jest właściwym miejscem do merytorycznego rozstrzygnięcia konkursów grantowych. Nie ma infrastruktury, odpowiednio przeszkolonych kadr urzędniczych, ma za to apetyt na włączanie kryteriów ideologicznych do oceny wniosków badawczych. Ministrowie dają do zrozumienia lub mówią wprost, że będą finansować to, co chcą, co jest zgodne z linią ideologiczną uznaną za właściwą. Założenie to nie ma nic wspólnego ze wspomaganiem nauki i troską o jej poziom. Jest karykaturą deklaracji na temat autonomii i wolności badań.

Wniosek nasuwa się sam: trzeba by NPRH przenieść w inne miejsce. Nawet gdyby taka możliwość się urealniła, pozostaje pytanie: dokąd. Mamy jedną agencję grantową, która mogłaby prowadzić dodatkowy konkurs dla humanistów: Narodowe Centrum Nauki. Działa sprawnie i choć jego budżet od dwu lat nie rośnie, utrzymuje cały rejestr przedsięwzięć grantowych. Niestety, NCN przyjął żelazną zasadę, że miarą rzeczy są nauki ścisłe i nauki społeczne, humaniści aplikujący do NCN-u muszą poddać się zasadom obowiązującym wnioskodawców z obszarów science. Z pozoru drobne utrudnienie, de facto źródło kłęski. Humanisci nie mogą dokonywać swobodnego opisu swoich pomysłów badawczych, muszą podążać drogą naturalną nie dla nich, ale dla psychologów czy biologów, tj. formułować hipotezy, weryfikować je, opracowywać dane itd. Parę lat temu można było dostać grant na napisanie jednej lub kilku książek. Dziś żaden dział obsługi badań nie przyjmie wniosku przyznającego się do pracy nad monografią. Żeby móc aplikować do NCN-u, trzeba „przepisać” humanistyczny projekt badawczy na obcy język nauk ścisłych. Proces ten z reguły infantylizuje całe przedsięwzięcie, bo Mickiewicz i Słowacki, rozpatrywani jako hipoteza badawcza, a ich biografie i utwory jako dane do weryfikacji, wypadają zabawnie. Podobnie jak projekt. I wtedy pojawia się opinia, że projekty humanistyczne są słabe. A może słabe są warunki, które im stworzono? Może słaba jest reprezentacja literaturoznawców, filozofów i historyków w Radzie NCN?



Konkluzje wynikające z tych rozważań nie brzmią optymistycznie. NPRH, od początku tej kadencji Rady Programu zainteresowany projektami tylko określonego typu – słowniki, edycje krytyczne itd., służy dziś wspomaganiu nie tyle dobrej, ile słusznej humanistyki. NCN przyznaje, że zna opinie dotyczące konieczności odpodrobienia konkursów dla humanistów od innych przedsięwzięć grantowych, ale

opinii tych nie podziela. Środowisko humanistyczne zmęczone serią zmian i kłopotów (reforma, kontrreforma, ewaluacja, punktacja, miseria finansowa) zaprzestało właściwie walki o swoje żywotne interesy. To jest sytuacja patowa.

Prof. Grażyna Borkowska,
Instytut Badań Literackich PAN

Na kłopoty humanistyki – NPRH

W wieloletnich próbach przekształcania polskich uczelni, kulminujących ostatecznie w tzw. reformie Gowina, kierowano się trzema głównymi założeniami, których ocenę tutaj pomijam: 1) rdzeń nauki stanowią nauki ścisłe i przyrodnicze, inżynierjno-techniczne, medyczne i ewentualnie społeczne; 2) finansowanie badań naukowych na poziomie krajowym ma się odbywać głównie przez system grantów dystrybuowanych według przejrzystych kryteriów przez NCN i NCBR; 3) ze względu na coraz większe potrzeby finansowe, jakich wymaga współczesna nauka i ze względu na konieczność umiędzynarodowienia polskiej nauki, należy wyłonić i wspierać wyłącznie najlepszych.

W tym kontekście szeroko pojęta humanistyka, włącznie ze sztuką i teologią, które w najnowszej ministerialnej klasyfikacji są osobnymi dziedzinami nauki, stała się głównym źródłem problemów dla reformatorów, bo generalne kryteria wysokiej jakości badań naukowych przyjęte w NCN eliminowały wiele przedsięwzięć uznawanych przez humanistów za istotne. Humanistyka akademicka ma bowiem pewne obowiązki narodowe, np. rozwijania języka polskiego, choćby przez przyswajanie naszej kultury ważne dzieł obcojęzycznych. Cel ten niekoniecznie idzie w parze ze skądinąd słusznym postulatem umiędzynarodowienia badań, ale w odniesieniu do przynajmniej niektórych obszarów humanistyki, np. historii literatury polskiej, umiędzynarodowienie ma charakter wtórny w tym sensie, że pierwotne badania muszą być prowadzone po polsku i dopiero później tłumaczone na języki obce. NPRH miał być antidotum na wspomniane braki głównych instytucji grantodawczych: humaniści mieli we własnym gronie ustalić, jakiego rodzaju konkursami grantowymi należy uzupełnić ofertę NCN i opracować odpowiednie kryteria oraz procedury oceny składanych wniosków.

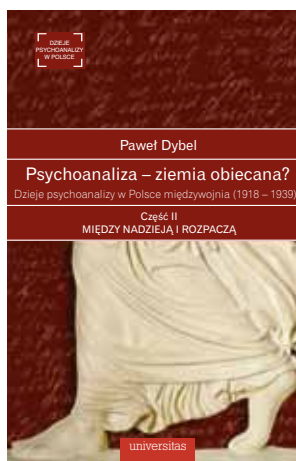
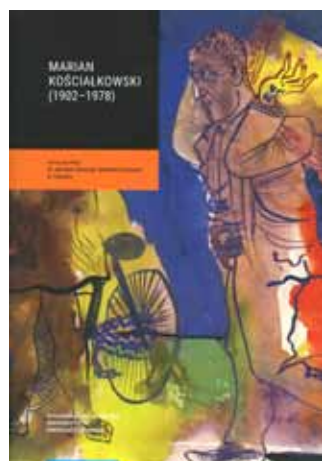
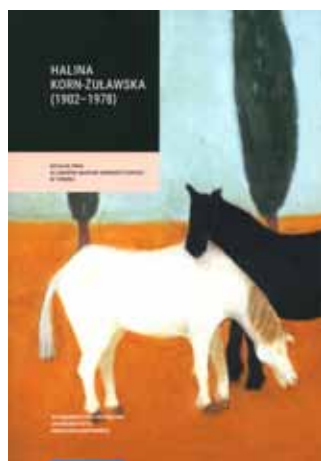
Spoglądając na NPRH z perspektywy 10 lat istnienia, oceniam ten program pozytywnie. Nie potwierdził się początkowy sceptycyzm wobec tej instytucji (bo to przecież coś więcej niż tylko „program”), którą podejrzewano o dublowanie tego, co robi NCN, ale przy zaniżonych i niejasnych standardach oceny wniosków grantowych. Byłem recenzentem w kilku konkursach grantowych NPRH, zarówno w trakcie funkcjonowania poprzedniej, jak i obecnej Rady tego pro-

gramu i moja refleksja jest taka, że nawet jeśli pojawiły się jakieś błędy czy nieścisłości, na które członkowie zespołów oceniających zwracali uwagę, kierownictwo NPRH bez zbędnej zwłoki reagowało na zgłaszane postulaty.

Zaimponowała mi obecność przewodniczącego Rady NPRH obecnej kadencji, prof. Włodzimierza Boleckiego, na wielogodzinnych posiedzeniach zespołu oceniającego, którego byłem członkiem. Nie zdarzyło się, aby kiedykolwiek wpływał na kwestie merytorycznej oceny recenzentów, ale za to zdecydowanie ingerował, gdy np. osoby odpowiedzialne za informatyczną obsługę programu próbowały nam wmówić, że ze względów technicznych pewnych rzeczy nie da się zrobić. Skrętnie też zapisywał nasze ogólniejsze postulaty dotyczące informacji wymaganych od wnioskodawców czy zmian w kwestionariuszach oceny recenzentkiej. I w kolejnych konkursach te zmiany się pojawiały.

Ze względu na bezpośrednie ulokowanie NPRH w Ministerstwie Edukacji i Nauki istnieje domniemanie, że rozstrzygnięcia konkursowe są bardziej wrażliwe na ingerencje polityczne niż w NCN. Sądzę jednak, że jeśli takie ingerencje miały miejsce, dotychczasowe Rady NPRH potrafiły ustawić odpowiednią zaporę przed nimi. W mojej ocenie fakt, że pewne typy wniosków raz okazywały się zwycięskie, a innym razem przegrywały, związany był raczej z trudnymi do całkowitego wyeliminowania preferencjami recenzentów.

Korzyści, jakie moja dyscyplina – filozofia – odniosła z NPRH, są znaczące. Udało się uzyskać finansowanie przekładu i opracowania wielu klasycznych tekstów starożytnych, np. dzieł wszystkich Płotyna (prof. Henryk Podbielski), średniowiecznych, np. *De Caritate* św. Tomasza z Akwinu (prof. Włodzimierz Galewicz), nowożytnych, np. reprezentujących filozofię brytyjską XVII i XVIII w (prof. Adam Grzebiński) i współczesnych, np. *Dzienników* Kierkegaarda (dr hab. Antoni Szwed) i szeregu pozycji, które od ubiegłego roku zaczynają ukazywać się w znanej serii PWN Biblioteka Współczesnych Filozofów (prof. Krzysztof Wójtowicz, prof. Marcin Poręba). Wkrótce powstanie *Leksykon polskich logików 1900-1939* (prof. Jan Woleński), *Encyklopedia Szkoły Lwowsko-Warszawskiej* (prof. Jacek Jadacki), edycja krytyczna i opracowanie dzieł polskich heglistów XIX wieku (prof.



Andrzej Wawrzynowicz). Po angielsku zostanie wydana niezwykle ważna książka prof. Zbigniewa Ogonowskiego *Socynianizm. Dzieje, poglądy, oddziaływanie*.

Jeśli chodzi o minusy, to wymienilibym jeden. Mam wrażenie, że początkowy zarzut zanizania standardów oceny wniosków w porównaniu z tymi proponowanymi w NCN spowodował przewrażliwie-

nie kierownictwa NPRH na tym punkcie, co doprowadziło do tego, że obecnie w niektórych programach procedury oceniania są zbyt rozbudowane.

Prof. Piotr Gutowski,
Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II

Winien i ma, albo co może zrobić humanista w bibliotece

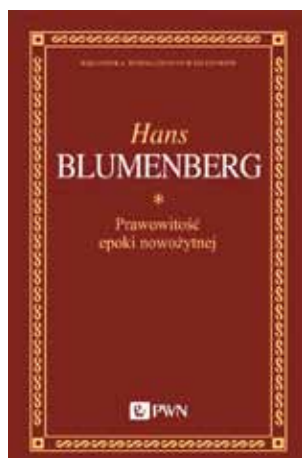
Refleksje na 10-lecie NPRH

Należy zacząć od prezentacji. Aplikowaliśmy w programach NPRH osiem razy, w różnych latach i konfiguracjach personalnych, uzyskując cztery granty. Można zatem powiedzieć bez przesady, że mamy wysoki, bo 50-procentowy uzysk z pracy intelektualnej. „My”, tzn. szeroko rozumiani współpracownicy Archiwum Emigracji i Muzeum Uniwersyteckiego w Bibliotece Uniwersyteckiej UMK w Toruniu: bibliotekarze, nauczyciele akademicy, przygodni, acz oddani rozumowi wolnomysliciele. Efekty tych grantów były także bardzo konkretne. W projekcie „HINC ITUR AD ASTRA. Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie 1919-1939. Monografia zespołowa” powstało 12 tomów opracowań, które po długich pracach redakcyjnych właśnie zaczęły być wydawane (niestety, już bez pomocy NPRH). W kolejnym – „Inwentaryzacja i opracowanie spuścizn archiwalnych i kolekcji dzieł sztuki polskich artystów w Wielkiej Brytanii w XX wieku w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu – Kolekcja Archiwum Emigracji i Muzeum Uniwersyteckiego” – przygotowaliśmy 10 opasłych tomów katalogów ponad 5,5 tys. dzieł sztuki 9 malarzy: Marka Żuławskiego, Haliny Korn-Żuławskiej, Mariana Kratochwila, Zygmunta Turkiewicza, Stanisława Frenkla, Mariana Kościakowskiego, Aleksandra Wernera, Janusza Eichlera i Zdzisława Ruszkowskiego, a później wystawę w Muzeum Uniwersyteckim. Projekt trzeci „Dokumentacja życia literackiego kręgu londyńskich „Wiadomości” (1945-81)” zaowocował wydaniem 11 zbiorów korespondencji redakcyjnej pisarzy emigracyjnych, ważnych współpracowników tygodnika: Michała Chmielowca, Ferdynanda Goetla, Zygmunta Haupta, Mariana Hemara, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Janusza Kowalewskiego, Józefa Łobodowskiego,

Michała K. Pawlikowskiego, Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej, Leopolda Tyrmanda i Józefa Wittlina. Czwarty z grantów niebawem się zakończy. Będzie to „Bibliografia *Wiadomości Polskich, Politycznych i Literackich* (1940-1944) i *Wiadomości* (1946-1981)”, a jej efektem ma być użyteczne i bardzo szczegółowo indeksowane narzędzie, umożliwiające dostęp do treści najważniejszego czasopisma literackiego emigracji polskiej, co w zestawieniu ze skanami „Wiadomości” pozwoli, jak sądzę, na skok jakościowy w badaniach nad polską literaturą.

W programach zrealizowanych i realizowanych przez nas wzięło udział ponad 40 osób z Polski i Litwy, a kwerendy objęły również archiwa, biblioteki i zbiory instytucji w Wielkiej Brytanii i Francji. Zatem te 10 lat to była ciekawa przygoda intelektualna.

A jednak czujemy pewien niedosyt, który można postrzegać jako „łyżkę dziegciu w beczce miodu”. W komunikacie z roku 2012 twórcy NPRH zaznaczyli: „Do konkursu mogą być zgłoszone projekty obejmujące badania naukowe dotyczące długofalowych prac dokumentacyjnych, edytorskich i badawczych o fundamentalnym znaczeniu dla dziedzictwa i kultury narodowej, a w szczególności projekty obejmujące opracowanie zespołów archiwalnych, projekty obejmujące scalone opracowanie zespołów zabytków ruchomych i nieruchomych na terenach Polski i dawnej Rzeczypospolitej, projekty obejmujące kontynuację prac edytorskich nad seriami wydawniczymi źródeł historycznych i literackich, projekty zmierzające do podjęcia lub zakończenia prac nad zespołowymi przedsięwzięciami badawczymi, projekty dotyczące spuścizny o szczególnym znaczeniu, edycje źródeł”. Dla nas – bibliotekarzy, archiwistów, wydawców źródeł, edytorów tekstów literackich – to zało-



żenie było objawieniem. Oto w zalewie „nieistotności w nauce” (że użyję określenia z nieco zapomnianej książki Mariana Grabowskiego), ministerstwo postanowiło odnowić program badań archiwalnych, źródłoznawczych i objąć opieką tych, którzy zechcą poświęcić czas na takie studia. Szybko jednak praktyka zweryfikowała nasze marzenia (co to, w ogóle, za pomysł, by kierować się w nauce marzeniami!).

Pierwsze zaskoczenie przyszło w chwili, gdy poznawszy (jako jedni z pierwszych) całe archiwum Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, zaproponowaliśmy jego uporządkowanie tak, by było użyteczne dla kolejnych badaczy. Projekt, choć wydał się ważny dla NDAP oraz dla podobnej instytucji na Litwie, nie znalazł zainteresowania w oczach NPRH. A był to ostatni moment, by porządkowanie tego ogromnego i bezcennego zespołu przeprowadzili pospołu Litwini i Polacy, tworząc przy okazji polsko-litewskie narzędzia archiwalne. Dzisiaj, gdy archiwum porządkowane jest przez litewskie służby archiwalne, dostęp jest trudniejszy.

Drugim „kubłem zimnej wody na rozpalone głowy marzycieli” była dwukrotna odmowa sfinansowania projektu porządkowania spuścizny archiwalnych w Archiwum Emigracji, choć projekt ten wpisywał się w sugerowane priorytety (nie chcę pisać więcej, bo na rozstrzygnięcie trzeciego wniosku w tej sprawie właśnie czekamy).

Projektów, nad którymi pracowaliśmy, było znacznie więcej, lecz rezygnowaliśmy z nich z różnych powodów, żałując później braku odwagi. Być może do niektórych wrócimy przy kolejnych konkursach.

Po 10 latach NPRH czas na uwagi. Nie ulega wątpliwości, że inaczej ocenią efekty NPRH beneficjenci programu, a inaczej osoby, których projekty nie znalazły uznania i nie były finansowane. I tu nie ma miejsca na bezstronność. Ilekroć bowiem czytam słowa napisane przez kogoś, kto był osobiście zainteresowany, wydaje mi się, że szczerze i intelektualnie i wyważony osąd wyparowały wraz z gorączką porażki. Oratorstwo, z jakim krytycy stają się orędownikami „naprawiania” programu oraz premedytacja, z którą deprecjonują dorobek innych, daleka jest od rzetelności, która powinna obowiązywać ludzi nauki. Pesymiści uważają, że „nic nie jest na tyle dobre, by nie mogło być lepsze”; optymiści zaś są zdania, że „lepsze, jest wrogiem dobrego”. NPRH nie jest wolny od wad, niedoskonałości i bezużytecznych ograniczeń, ale ponieważ jestem raczej pesymistą, uważam, że nie warto gmerać w tym ulu, bo można wiele zepsuć. Wystarczy udoskonalić proces oceniania na obu etapach: aplikacji i wykonania, a uczeni uzyskają gwarancję, że są poważnie traktowani.

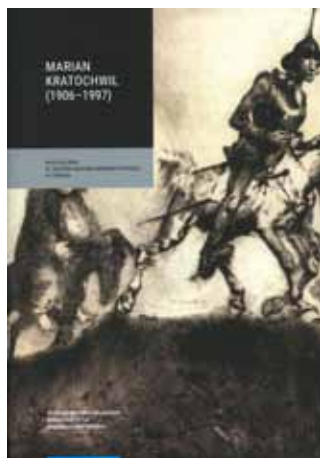
Z doświadczenia bowiem wiem, że nie ma nic bardziej przynębiającego niż lekceważenie wyników ciężkiej, wieloletniej pracy przez osoby odpowiedzialne za ocenę zrealizowanego projektu. Jeśli po 5 latach przekazuję do oceny dorobek intelektu-

alnych zmagani międzynarodowego zespołu, oczekuję, że ktoś się nad tymi wynikami pochyli, a ocena, jaką otrzymam, będzie rzeczowa i rzetelna, krytyczna jeśli trzeba, ale sprawiedliwa. W najgorszym wypadku wskaże błędy i słabości oraz da możliwość odpowiedzi lub zasugerowania rozwiązania, w najlepszym wypadku pozwoli na kontynuację zadania. To ma znaczenie dla kierownika zespołu, dla wykonawców, ale może jeszcze większe dla środowiska, w jakim zadanie jest realizowane. Tymczasem oceny końcowe robią wrażenie, jakby nikt nie czytał i nie analizował wyników badań, skupiając się wyłącznie na rozliczeniu finansowym. W konsekwencji granty kończą się fikcyjnymi publikacjami lub książkami bez indeksów, a bazy danych nie są aktualizowane i wiszą bezużytecznie w sieci.

I jeszcze jedno. NPRH nie przewidział zmian, które przynieść miała reforma prawa o szkolnictwie wyższym i nauce z roku 2018. Zdemolowała ona m.in. polskie bibliotekarstwo naukowe, degradując rzesze specjalistów od historii książki, edycji źródeł, autorów bibliografii i katalogów itd. do roli pracowników obsługi. Przez dziesiątki lat to biblioteki uniwersytetów kształtując księgozbiory, w znaczący sposób wpływały na rozwój różnych kierunków nauk na uczelniach. Tak było w Toruniu, gdzie gromadzone od lat 50. ubiegłego wieku unikatowe w skali kraju druki poświęcone historii krajów wokół morza bałtyckiego pozwoliły rozwinąć studia nad wieloma zagadnieniami tego regionu. Reforma odebrała bibliotekarzom i archiwistom uczelniane, bardzo skromne, finanse na badania własne i podejmowanie pracy wymagającej wieloletniego zaangażowania dużych zespołów (np. bibliografii). Chciałbym wierzyć, że NPRH pochylił się na potrzeby tej grupy badaczy.

Na pięknej fotografii z lipca 1888 roku, ukazującej zabudowę Pola Marsowego przed zbliżającą się wystawą światową, widać ażurowe konstrukcje pawilonów wystawowych, w których rok później pokazano wynalazki i najwybitniejsze osiągnięcia myśli ludzkiej końca XIX stulecia, poniżej budowę schodów, kaskad i fontann oraz w centrum ukończone drugie piętro wieży Eiffela. Trafiałem na nią w Internecie i od razu wydała mi się genialną metaforą, a może raczej alegorią nauki: owe solidne pawilony otaczające plac są niczym nauki przyrodnicze, matematyczne i fizyczne; hałaśliwe fontanny i łączące pawilony schody będą naukami społecznymi; tymczasem, stojąca pośrodku placu wieża, bezużyteczny toporny zwój żeliwnych kątowników połączonych nitami, to humanistyka. Pnie się w górę bez sensu... , ale dzięki niej ludzie podnoszą głowę do nieba.

*Dr hab. Mirosław A. Supruniuk,
Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu*



Rozmowa z prof. Włodzimierzem Boleckim, literaturoznawcą z Instytutu Badań Literackich PAN, przewodniczącym Rady Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki i wiceprezesem Fundacji na rzecz Nauki Polskiej

NPRH zintegrował środowisko humanistyczne

NPRH umożliwił finansowanie w systemie grantowym badań, które przez dziesięciolecia były umieszczane na marginesach humanistyki naukowej i wegetowały w ramach dotacji statutowej. Mówię o naukowym wydawaniu źródeł, pracach dokumentacyjnych i edytorskich. Gdyby nie NPRH, to ten typ badań nie miałby szans w finansowaniu grantowym, bo nie spełnia kryteriów badań podstawowych, których finansowanie jest ustawowym zadaniem NCN.

Zacznijmy od zaległości w realizacji Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki z ubiegłego roku.

Chodzi o konkurs nr 9, bo następne konkursy, 10. i 11., toczą się zgodnie z harmonogramem. Nabór wniosków w konkursie 9. skończył się w grudniu 2019 roku, w styczniu 2020 rozpoczęła się w ministerstwie ocena formalna. Rada NPRH proceduje wnioski dopiero po jej zakończeniu. Na konkurs wpłynęło ponad czterysta wniosków, do których obsługi była zatrudniona w ministerstwie tylko jedna osoba, wtedy – na zastępstwo. Ocena formalna, na podstawie komunikatu ministerstwa, była wykonywana niezwykle skrupulatnie, w wyniku czego trwała jeszcze w maju 2020 r., a zgodnie z harmonogramem powinna wówczas kończyć się ocena merytoryczna. Ale „po drodze”, w marcu 2020 r., wybucha pandemia. Urzędnicy ministerstwa przestają przychodzić do pracy i nie mają dostępu do służbowych komputerów. Rada NPRH nie może się spotykać. Pierwsze spotkanie on-line ministerstwo organizuje dopiero w maju 2020 r. Dowiadujemy się, że ogromna większość wniosków jest źle przygotowana, co wiele mówi o odpowiednich służbach naszych uczelni. Zgodnie z ówczesną procedurą pracownik ministerstwa wskazywał błędy we wnioskach i odsyłał je do korekty. Wnioskodawca miał 7 dni na poprawienie i jeśli to zrobił, wniosek był znów oceniany formalnie. Po tych informacjach zażądaliśmy od ministerstwa likwidacji oceny formalnej, co o tyle poskutkowało, że zredukowano ją do najbardziej elementarnych czynności. To nie wszystko. Ministerstwo przyjmuje wnioski on-line, jednak umieszczone przez wnioskodawców w systemie OSF muszą być jeszcze ręcznie zarejestrowane przez urzędników w systemie EZD (Elektroniczne Zarządzanie Dokumentacją). Gdy mamy czterysta wniosków, to taka czynność może zająć kilka tygodni. W module Dziekiństwo złożono ponad 260 wniosków. Selekcjonowało je w OSF kilkunastu ekspertów, trzech każdy wniosek, więc na każdego przypadło ich kilkadziesiąt. W efekcie etap selekcji zakończył się na dwudniowym posiedzeniu w połowie sierpnia. Ale to nie

koniec. Zgodnie z ówczesną procedurą wnioskodawca mógł się odwołać od decyzji ministra już po pierwszym etapie. Odwołań było ponad 20, co w praktyce uruchomiło nową procedurę oceny wniosków. Jednak ci, którzy się nie odwołali, też czekali na jej wynik. To bizantyzm proceduralny, na szczęście też już zlikwidowany. Dopiero w grudniu 2020 r. ministerstwo skończyło procedowanie zastrzeżeń do pierwszego etapu (rok po przyjęciu aplikacji). Ale proszę pamiętać, że w tym czasie dwukrotnie zmieniają się ministrowie i dyrektorzy departamentów...

Jaki stąd wniosek?

Ministerstwo nie jest powołane do obsługi konkursów grantowych realizowanych w standardach międzynarodowych, a taki jest standard NPRH: selekcja ekspercka, peer review, rozmowa z kierownikami najwyższej ocenionych projektów. Nie ma w tym nic dziwnego, bo ministerstwo nie jest agencją grantową, dlatego przecież zbudowano takie agencje grantowe jak NCN, NCBR czy ostatnio NAWA. Ministerstwo ma zupełnie inne cele oraz inne mechanizmy działania. Nie rekrutuje przecież do obsługi projektów grantowych koordynatorów z doświadczeniem naukowym; zatrudnia urzędników do zadań administracyjnych. W rezultacie, co jest zrozumiałe, nie ma odpowiedniego biura – jak wspomniane agencje – które zajmowałyby się wyłącznie obsługą konkursów i grantów. Dość powiedzieć, że przygotowaniem dokumentacji konkursowej zajmuje się Rada NPRH, która nieustannie coś zmienia, postuluje, pisze, poprawia, bo nikt tego za nią nie robi. Rada formalnie jest organem doradczym ministra, ale realizuje też, z konieczności i z własnej woli, działania wykonawcze, które w agencjach grantowych wykonują specjalnie wyszkoleni pracownicy i wieloosobowe biuro.

To jest opis sytuacji, a wniosek?

Sformułowaliśmy go już w 2012 (Włodzimierz Bolecki, Ewa Dahlig-Turek, Przemysław Urbańczyk, *Po pierwszym konkur-*

sie NPRH, „Forum Akademickie” 2012 nr 4, s. 34.): po etapie przejściowym – czyli po zbudowaniu NPRH i rozpoznaniu potrzeb środowiska – konieczne jest stworzenie agencji rządowej, która profesjonalnie zajmowałaby się nie tylko organizacją konkursów grantowych, ale także diagnozowałaby funkcjonowanie badań naukowych w humanistyce, przeprowadzałaby ewaluację i byłaby wsparciem dla ministerstwa w zakresie polityki naukowej w humanistyce. Nota bene, społecznymi zadaniami humanistyki zajmuje się Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Czy w konkursie 9. jakieś przyczyny opóźnień były związane z samym środowiskiem naukowym?

Tak – częste odmowy zrecenzowania wniosków. Weszliśmy w etap masowości konkursów grantowych. Wybitnych specjalistów konkretnego tematu jest niewielu, są przeciętni obojętnymi i odmawiają przyjmowania nowych. Każdy z nas ma takie doświadczenie. Jednak są też recenzenci, którzy odmawiają wykonania recenzji, nie kryjąc, że czynią to z powodów politycznych – bo nie lubią ministra, a NPRH to przecież program ministra nauki.

Tego się nie spodziewałem. To jest apolityczność nauki?

Dla mnie ta sytuacja jest nie do zaakceptowania, to jest nieetyczne. Minister ani na takiej odmowie nie zyska, ani nie straci. Stracą aplikujący, autorzy projektów, często osoby młode. A przecież nie wyobrażamy sobie, żeby ktoś odmówił zrecenzowania doktoratu czy habilitacji, uzasadniając to niechęcią do rektora uczelni. A do ministra można?

Kiedy zostanie rozstrzygnięty ten niefortunny dziewiąty konkurs?

Konkursy są przeprowadzane w czterech różnych modułach. Trzy z nich są już zakończone. Trwa drugi etap, czyli ocena peer review, w największym module, czyli Dziedzictwie narodowym. Biorąc poprawkę na zbliżające się wakacje, chciałbym, żeby finał konkursu, czyli rozmowy z kierownikami projektów, miały miejsce we wrześniu b.r.

A co potem?

Kończymy konkursy 10. i 11., mam nadzieję, że zgodnie z harmonogramem. I obiecaliśmy środowisku ogłoszenie w 2021 r. konkursu nr 12 z bardzo dużymi zmianami proceduralnymi, które są już przygotowane. Ale decyzja nie należy do Rady NPRH.

Jak wygląda finansowanie tego programu, skoro są takie opóźnienia i w ubiegłym roku nie rozstrzygnięto konkursu, na który były pieniądze, a granty trwają po kilka lat?

Środków nie brakuje. Pokonkursowe zobowiązania ministerstwa są rozłożone na pięć lat, więc nie ma tu zagrożenia. Notabene, gdy mieliśmy „nadmiar” dobrych projektów, ministerstwo dokładało pieniędzy. Teraz jednak mamy problem odwrotny. Wpływa sporo wniosków przeciętnych lub niestarych, a nawet niechlujnie przygotowanych.

Co to znaczy?

Mówiąc brutalnie: zdarzają się projekty, które napisano tylko po to, żeby – jeśli się uda – dostać od ministerstwa pieniądze. Ale to się nie uda. Wprowadziliśmy do dokumentacji konkursowej liczne warunki, wytyczne, zasady, kryteria, wskaźniki, które pozwalają porównywać wnioski, odsiewać przysłowiowe ziarno od plewy. Najważniejsze jednak, że dziś eksperci czytają wnioski znacznie wnikliwiej niż kiedyś, nie dają się uwodzić „niesłuchanie ważnym tematом”. A to znaczy, że nawet jeśli

pomysł jest interesujący, ale źle opracowany, z niejasnym wynikiem, z przeszacowanym kosztorysem, z bajeczną fishing expedition do wielu krajów, to eksperci to widzą. A trzeba pamiętać, że każdy wniosek ogląda i o nim dyskutuje – łącznie z Radą NPRH – od ok. dwudziestu, do nawet trzydziestu ekspertów.

Zgodnie z procedurą każdy wniosek w NPRH ocenia trzech zewnętrznych recenzentów?

Tak, trzech na użytek pierwszej selekcji, trzech w systemie peer review, a dyskutuje i głosuje kilkudziesięciu.

Dlaczego aż trzech?

Żeby unikać uśredniania dwóch ocen, gdy – przy ich rozbieżności – nie wiadomo, kto z ekspertów ma rację. Trzecia recenzja wskazuje na jednego z nich, czyli zwiększa obiektywizację oceny końcowej. Po trzech etapach takiego ważenia ocen Radzie NPRH łatwiej jest rekomendować ministrowi wnioski do finansowania.

Ile kosztują recenzje?

Wysokość honorariów reguluje rozporządzenie ministra nauki, ostatnie widełki to 100-300 zł za sporządzenie recenzji jednego projektu.

Czy uda się w NPRH wrócić do dwóch konkursów rocznie?

Nie wiem, tylko raz nam się to udało. Rok 2020 wszystko zmienił i teraz, zamiast ogłaszać nowe konkursy, cały czas po nim sprzątamy. Oczywiście NPRH powinien co roku przeprowadzać dwa konkursy w terminach ogłaszanych z dużym wyprzedzeniem, najlepiej stałych i realizowanych z żelazną konsekwencją w ustalonych i podanych do publicznej wiadomości ramach czasowych. Ale, jak już mówiłem, w obecnej formule organizacyjnej ministerstwa to jest niemożliwe. Natomiast cięższy mnie determinacja ministra, żeby usuwać biurokratyczne przyczyny opóźnień i wprowadzać nowe rozwiązania organizacyjne, nawet wbrew dotychczasowej urzędniczej praktyce. Ta mobilizacja dobrze wróży na przyszłość, jednak są to rozwiązania krótkoterminowe, ratownicze. Warunkiem stabilności programu jest pełna profesjonalizacja jego obsługi, a to będzie możliwe tylko w odrębnej od ministerstwa agencji zajmującej się wyłącznie tym, do czego zostanie powołana.

Czy humanistyka nie jest faworyzowana przez to, że jest finansowana w specjalny sposób, oprócz programów NCN? Przedstawiciele nauk społecznych też kiedyś wspominali o podobnym programie.

W takim razie przedstawiciele nauk społecznych powinni sami, oddolnie, tak jak humaniści, stworzyć taki program i przekonać decydentów, że to, co proponują, nie może być finansowane przez NCN ani ze środków europejskich. NPRH to nie jest dodatkowe finansowanie dla humanistyki. To jest finansowanie specyficznych i ważnych dla humanistyki prac, których nie można sfinansować z innych źródeł, takich jak np. NCN.

Część środowiska humanistycznego podaje w wątpliwość sensowność grantowego finansowania badań humanistycznych.

Może to zależy od wieku? Młodzi badacze nie wyobrażają sobie sytuacji, żeby nie mieli możliwości złożenia projektu grantowego. Otrzymać grant to inna sprawa. Ale co ta „część środowiska” proponuje w zamian? Dotacja statutowa to przecież dzielenie biedy po równo. Jednak to chyba nie jest specyfika postaw humanistów. Gdy w 2009 r. przedstawiałem w PAU propozycję interdyscyplinarnych laboratoriów humanistycznych (Włodzisław Bolecki, Przemysław Urbańczyk, E-SSH Lab. Nowy typ międzynarodowej platformy współpracy, „Forum Akademic-

kie” 2014 nr 4.), zostałem zaatakowany przez dwie panie, które pracowały w naukach o życiu. Ich antygrantowa argumentacja była następująca: „jestem zatrudniona na etacie i mam w ramach tego etatu wykonywać moje prace najlepiej jak potrafię i nikt nie ma prawa mnie zmuszać, żebym pisała jakieś projekty i starała się o dodatkowe pieniądze”. No cóż, znam starszych uczonych – powiedzmy, w moim wieku – którzy mówią, że całe życie przeżyli bez grantów, zatem nie są im potrzebne. To jest w moim środowisku zrozumiałe, bo system grantowy dotarł do humanistyki z dużym opóźnieniem, po kilku dekadach funkcjonowania w science. Rzecz w tym, że przy grantowym finansowaniu badań więcej jest osób sfrustrowanych i niezadowolonych niż zadowolonych, gdyż w takim systemie finansuje się projekty maksymalnie 35 procent wnioskodawców, a faktycznie mniej. Pozostali są więc z niego niezadowoleni, niektórzy są tym sfrustrowani, czują się niesprawiedliwie ocenieni. To jest problem psychospołeczny, który trudno rozwiązać w sytuacji masowości uprawiania nauki, a z tym mamy już do czynienia w Polsce. Takie są uboczne skutki konkurencji w nauce. W NPRH procedura umożliwia rekomendowanie do II etapu do 45% wszystkich wniosków złożonych do konkursu. Jednak są takie panele ekspertów, które kwalifikują do następnego etapu nie więcej niż 30% wniosków, twierdząc, że reszta nie nadaje się do finansowania.

Podjąć pan próbę podsumowania dziesięciu lat funkcjonowania tego programu dla polskiej humanistyki?

Nie w takiej krótkiej wypowiedzi, ponieważ potrzebowalibyśmy różnych danych statystycznych, które nie były dotąd opracowane. Ale spróbuję zrobić to z bardzo ogólnej perspektywy. NPRH umożliwił finansowanie w systemie grantowym badań, które przez dziesięciolecia były umieszczane na marginesach humanistyki naukowej i wegetowały w ramach dotacji statutowej. Mówię o naukowym wydawaniu źródeł, pracach dokumentacyjnych i edytorskich. Gdyby nie NPRH, to ten typ badań nie miałby szans w finansowaniu grantowym, bo nie spełnia kryteriów badań podstawowych, których finansowanie jest ustawowym zadaniem NCN. NPRH dowartościował naukowe miejsce badań dokumentacyjnych w humanistyce, podtrzymał istnienie specjalistycznych zespołów, które od lat 90. XX w. po prostu zamierały. Dzięki NPRH sfinansowano liczne kweryndy, których wynikiem były bardzo ważne publikacje indywidualne i zbiorowe. Ogromna część tych badań poświęcona jest odkrywaniu i ocalaniu polskiego dziedzictwa na dawnych kresach wschodnich Rzeczypospolitej, ale także na całym jej obszarze. Dzięki modułowi translacyjnemu w NPRH około dwustu tytułów polskiej humanistyki naukowej weszło do obiegu międzynarodowego. O wiele za mało, rzecz jasna, ale to jest proces. Równocześnie NPRH podniósł do rangi specjalizacji naukowej filologiczno-edytorskie badania nad tekstami powstałymi w innych językach i kulturach. Robiono to przez dziesięciolecia, ale nigdy w ramach finansowanego programu badawczego. Poszerzono pole rozumienia zakresu badań humanistycznych i ich specyfiki. Niedostrzeganym efektem NPRH jest też swoista dziedzinowa integracja środowiska humanistycznego zamkniętego dotąd w tradycyjnych silosach poszczególnych dyscyplin. Wszystkie panele ekspertów NPRH mają bowiem charakter interdyscyplinarny, ponieważ decyzje o rekomendowaniu wniosków podejmowane są przez przedstawicieli wszystkich dyscyplin humanistycznych, a żadna dyscyplina nie ma w tym programie szans na skolonizowanie pozostałych. To zresztą bywa przyczyną niezrozumienia decyzji ekspertów i Rady. „Jak mogliście nie docenić tak znakomitego i ważnego projektu?” – pytają. Odpowiedź brzmi: „Może jest on znakomity i ważny w swojej dyscyplinie, ale eksperci i Rada

uznali, że projekty w innych dyscyplinach humanistycznych były w tym konkursie lepsze i ważniejsze”.

Na stronie programu jest informacja, że od 2016 roku jest on skupiony na krytycznym wydawaniu źródeł. Bardzo mi się to spodobało, bo uważam, że ten obszar badań jest w Polsce zaniedbany w porównaniu z innymi krajami.

Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, jeszcze pod nazwą Fundusz dla Humanistyki, zakładał, że z jego środków będą finansowane wyłącznie źródła i edycje krytyczne (Włodzimierz Bolecki, Ewa Dahlig-Turek, Przemysław Urbańczyk, *Humanistyka a reforma polskiej nauki*, „Forum Akademickie” 2009 nr 5), bo to są dla wielu dyscyplin humanistycznych prace – najdosłowniej – fundamentalne. Chodzi przecież o źródła pierwszego stopnia, o oryginalne, zweryfikowane i krytycznie wydane dokumenty, które są nieodzowne w wielu obszarach badań w humanistyce. To przecież jest podstawa pracy historyków, literaturoznawców, filozofów, etnologów, językoznawców, historyków sztuki. Na całym świecie obserwuje się dziś powrót do badań archiwalnych, ale ten problem ma inne znaczenie w krajach, w których archiwa istnieją nieprzerwanie od stuleci, jak w Wielkiej Brytanii, a inny w krajach takich jak Polska, które w kolejnych wojnach były celowo pozbawiane substancji kulturowej, których archiwa palono albo były wywożone i dekompletowane przez najeźdźców. W Polsce problem polega nie tylko na tym, że podczas wojen, zwłaszcza ostatniej, straciliśmy ogromną część naszych dóbr kultury. Materialna kultura polska, zwłaszcza w miastach, została straszliwie zniszczona już przez Szwedów w XVII w. To był rzeczywisty potop. Niektórzy historycy uważają, że zniszczenia te były większe niż podczas drugiej wojny światowej. Innym wymiarem tego faktu jest niedoinwestowanie tych archiwów, które nam pozostały, nie dbano o ich porządkowanie, katalogowanie, konserwowanie, modernizowanie infrastruktury, bo zawsze były ważniejsze rzeczy. Nadal poza granicami Polski pozostaje dużo prywatnych polskich archiwów, o których niewiele wiadomo, które niszczej, np. archiwa wybitnych artystów. Nie tak dawno obchodziliśmy Światowy Dzień Archiwów, będą też one tematem najbliższego Kongresu Polonistyki Światowej. Ten powrót do źródeł, do dokumentów, do fundamentów jest zapewne sygnałem poważniejszych przewartościowań w humanistyce, zwłaszcza w zakresie badań interdyscyplinarnych. Ale trzeba pamiętać, że w humanistyce najbardziej interdyscyplinarna jest archeologia, która sama odkrywa swoje źródła, ponieważ nie mają one charakteru prymarnie językowego czy tekstowego. Dodatkowym kontekstem zainteresowania archiwistyką jest rozwój repozytoriów i archiwów cyfrowych.

Skoro to jest takie ważne, dlaczego w ewaluacji tak nisko punktujemy prace nad źródłami, w tym edycje krytyczne?

Dawniej takie prace finansowano z dotacji statutowej. Uważano, że to praca pomocnicza, co przełożyło się na współczesną ewaluację. Popelniono w niej bardzo dużo błędów, jeśli chodzi o humanistykę. Mimo że początkowo minister Jarosław Gowin postulował, żeby docenić prace powstałe w wyniku grantów NPRH, to w rozporządzeniu nic z tego nie zostało. Rada NPRH interweniowała u ministra w tej sprawie i ostatecznie takie badania zostały doszacowane. Tu nie chodzi jednak o typ pracy na dokumentach czy źródłach. Chodzi o docenienie projektów finansowanych z grantów. Jeśli ktoś stanął do konkursu i jego projekt został oceniony i uznany przez wiele osób za dobry, to powinien on być wysoko punktowany. Ewaluacja humanistyki jest też ofiarą złej nomenklatury, to znaczy niewłaściwie stosowanej terminologii, która funkcjonuje w dokumentach i programach elektronicznych. Wiele prac edytorskich



for. Magdalena Krasnińska – Włócińska

Prof. dr hab. **Włodzimierz Bolecki** (ur. w 1952 r.) jest teoretykiem i historykiem literatury polskiej oraz krytykiem literackim. Pracuje w Instytucie Badań Literackich PAN, gdzie kieruje Pracownią Poetyki Historycznej. Zajmuje go szczególnie historia literatury polskiej XX wieku. Opublikował ponad 20 książek, kilka z nich (np. w tym dwie o Józefie Mackiewicz) pod pseudonimem Jerzy Malewski. Szczególnie wiele miejsca w swojej twórczości poświęcił Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu. Pracował też na Uniwersytecie Łódzkim, a obecnie wykłada na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 2000–2001 pracował jako profesor wizytujący w Instytucie Sławiistyki Uniwersytetu w Uppsali w Szwecji. Wykładał na wielu uczelniach zagranicznych w Czechach, Danii, Francji, Holandii, Kanadzie, Słowenii, Stanach Zjednoczonych, Szwajcarii, Szwecji, na Węgrzech i w Wielkiej Brytanii. Pełni funkcję przewodniczącego Rady Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki, jest też wiceprezesem Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Jest członkiem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i PEN Clubu. Zasiada w Radzie Naukowej IBL PAN i Komitecie Nauk o Literaturze PAN.

nazywanych jest w sposób, który deprecjonuje ich wykonawców. Jeżeli ktoś napisze, że jest redaktorem książki, to system traktuje go jako osobę, która stawia przecinki. A przecież redaktor merytoryczny książki, a takimi są naukowcy, jest jej autorem. Zgubiliśmy w ewaluacji humanistyki kategorię autorstwa, która jest przecież kluczem do oceny każdej publikacji. Edytorstwo to działalność twórcza, w której dokonuje się wielu fundamentalnych odkryć i ustaleń. Na Zachodzie już dawno to zauważono, dlatego redaktor książki (edycji) często zapisywany jest jako jej autor. Będę namawiał wszystkich zainteresowanych, żeby zrezygnować w edytorskich książkach naukowych, przedstawianych jako osiągnięcia, z kwalifikowania wykonanych prac jako „redakcje”, „przypisy”, „opracowanie”, „komentarze”, „noty”, bo to są terminy, których system „nie widzi” jako wartościowych osiągnięć. Trzeba po prostu sięgnąć po najlepsze wzory nazywania prac badawczych, czyli te, które obowiązują w science.

W publikacjach z zakresu science wszyscy, którzy brali twórczy udział w badaniach, są autorami artykułu, będącego wynikiem tych badań. W pracach edytorskich trzeba będzie jedynie odpowiednio określić udział w zbiorowym autorstwie danej publikacji. Mam koleżankę, która przez wiele lat robiła przypisy do *Dzienników* Zofii Nałkowskiej. Te przypisy są pełne odkryć biograficznych, bibliograficznych, tekstowych, interpretacyjnych, bez których dzisiejsza wiedza o twórczości tej pisarki byłaby niemożliwa. Równocześnie stworzyły one nową wiedzę o inteligencji polskiej XX w. Takie „opracowania” to perełki zagadnień historycznych, literaturoznawczych, dzieło autorskie samo w sobie. Tak samo jak przypisy Stanisława Pigonia do *Pana Tadeusza* czy Janusza Deglera do dzieł Stanisława Ignacego Witkiewicza. Każdy literaturoznawca mógłby podać jeszcze wiele takich przykładów. Ten typ edytorstwa naukowego to jest praca autorska, a nie jakaś nieistotna czy nieważna praca pomocnicza. Trzeba więc w ewaluacji prac dokumentacyjno-edytorskich najpierw zmienić terminologię określającą charakter i wartość takich prac, czyli wprowadzić kategorię autorstwa zbiorowego. To powinno stać się w przyszłej ewaluacji, ale już teraz trzeba przepracować określenia typu „książka pod redakcją”, gdy chodzi o to, że tzw. redaktor jest faktycznym autorem książki, ponieważ przez kilka lat realizował projekt, którego wynikiem jest ta konkretna publikacja. Oczywiście czym innym jest indywidualne autorstwo monografii, a czym innym autorstwo tomu zbiorowego, w którego pisaniu – a wcześniej w badaniach – wzięło udział wielu badaczy. Tymczasem pierwszego nazywamy autorem, a drugiego redaktorem. To trzeba zmienić. Obaj są autorami, tak samo jak ich współpracownicy.

Czy rzeczywiście humanistykę należy oceniać inaczej niż inne dziedziny wiedzy?

Oczywiście. Z tej obserwacji powstał przed laty KEJN, instytucja, w której istniał zespół ds. nauk humanistycznych i społecznych złożony z wybranych przedstawicieli środowiska. Ten zespół stworzył adekwatne kryteria oceny NHS, które były dobrze dostosowane do charakteru obu tych dziedzin nauki. Zrobiono przy tym poważne błędy, a jednym z nich był brak pomysłu na ocenę monografii – wszystkie oceniano jednakowo; podobnie tyle samo punktów przyznano czasopiśmom, nie wprowadzając żadnych hierarchii. Niestety metodologia KEJN-u została porzucona, choć powinna być poprawiona. Takie zrywanie ciągłości fatalnie wpływa na instytucje w nauce.

Ale czy w statusie samej humanistyki jest jakaś charakterystyczna dla niej różnica?

Jest wiele takich różnic. Humanisci lubią podkreślać, że uprawiają naukę i należy ich traktować tak samo, jak przedstawicieli innych dziedzin nauki. Oczywiście, gdy chodzi o universitas, to pełna zgoda. Ale ze względu na status przedmiotu badań nauk dzielimy na science i humanistykę (lub arts – to druga nazwa). Mają one inne przedmioty, posługują się innymi narzędziami, inne są ich cele, inne sposoby komunikowania się, sposoby finansowania czy społeczne role uczonych. W tej odmienności jest ogromne bogactwo. Science – w największym uproszczeniu – zajmuje się tym, co nie zostało stworzone przez ludzi, lecz przez naturę, a humanistyka bada wytwory ludzkich myśli i ich działań, słowem – to wszystko, co stworzyli ludzie oraz ich interakcje. Przedmiotem opisu związków zawierających węgiel albo białko nie są relacje pomiędzy badaczami w laboratorium. A w psychologii, etnologii czy filozofii przedmiotem badania są właśnie te relacje. Język komunikacji nie ma dla science żadnego znaczenia (synteza chemiczna można opisać w dowolnym języku bez straty informacji), natomiast w humanistyce język ma znaczenie podstawowe. Jest

wiele tematów, w których język jest i przedmiotem, i instrumentem komunikacji. Są przypadki, kiedy właśnie od języka, nie tylko narodowego, zależy wynik badań. Tu jest zasadnicza różnica pomiędzy science a NHS. Najważniejsze jest rozumienie odrębności tych obszarów, a w konsekwencji konieczność tworzenia adekwatnych narzędzi opisu oraz adekwatnych kryteriów oceny zależnie od dziedziny nauk, dyscypliny. Urawniłowka jest niedobra. Nie zakłada się krowie siodła – zacytuje klasyka.

Czy to znaczy, że jesteśmy wciąż przed wypracowaniem dobrego sposobu ewaluacji humanistyki?

Tak.

Kiedy to zrobimy?

Hm... sam chciałbym wiedzieć. Ewaluacja humanistyki, mająca odpowiedzieć na pytanie, jaki jest jej stan w Polsce, powinna przebiegać niezależnie od ewaluacji jednostek badawczych czy poszczególnych dyscyplin humanistycznych. Trzeba znaleźć pomysł na tego rodzaju działanie. Wydaje mi się, że decydenci wycofują się, ponieważ trzeba by uruchomić proces długofalowy i kilkuletnią perspektywę dochodzenia do satysfakcjonujących wyników. Może więc taką ewaluację powinna przeprowadzić nowa agencja rządowa albo jakaś fundacja, ale nie ministerstwo? A co można by już teraz zrobić? Trzeba zrezygnować z założenia, że ewaluacja musi odbywać się w tym samym czasie dla wszystkich dziedzin nauki. To nie ma sensu. Polska jest za dużym krajem i taka zbiorowa ewaluacja wszystkiego w tym samym czasie musi stwarzać wiele problemów logistycznych, personalnych, metodologicznych. A przecież można by podzielić naukę na kilka obszarów i prowadzić ewaluację każdego z nich rok po roku. No i trzeba dokładnie wiedzieć, po co się robi ewaluację.

To chyba akurat wiemy...

Chyba nie. Kiedyś to działanie nazywaliśmy parametryzacją, czyli tym, czym faktycznie jest ono także dzisiaj. Celem tej metody jest przypisanie kategorii jakościowej (np. A+; B; C) jednostkom czy dyscyplinom na uczelniach. Ministerstwo szukało odpowiedzi na pytanie, komu dać więcej pieniędzy i w tym celu postanowiło pogrupować jednostki naukowe. To się udało, ale w tej metodzie nie ma możliwości sprawdzenia wartości nauki uprawianej w danych jednostkach. Dlatego Ustawa 2.0 wprowadziła ocenę dyscypliny, a nie jednostek administracyjnych. To był mądry i potrzebny ruch, jednak w humanistyce nie rozwiązał podstawowego problemu, tj. oceny jakościowej.

Dlaczego?

Bo system ocenia dane, które z jakością w humanistyce nie mają wiele wspólnego. Jeżeli się punktują wydawnictwa czy czasopisma, a nie ocenia się treści publikacji, to znaczy, że punkty – jako symbole wartości – przypisujemy nośnikom treści, a nie samej treści. Jakość treści w tej metodzie pozostaje nieznaną, to znaczy nie ocenioną. Im dłuższy wykaz takich nośników (tytułów wydawnictw i czasopism) w poszczególnych grupach punktowych, tym śmieszniejszy jest efekt, bo w danej grupie wszystkie publikacje są identycznie punktowane. A przecież każdy humanista wie, że w każdym numerze każdego czasopisma, w każdym roczniku czy kwartalniku, w każdej monografii zbiorowej są opublikowane prace, które różnią się jakością. Dopóki ocena jakości nie będzie polegać na ewaluacji treści konkretnej publikacji, czyli dopóki nie będzie przeprowadzana w trybie eksperckim, to nie zrobimy jej rzetelnie.

Czy jesteśmy w stanie przeprowadzić ekspercką ewaluację, gdy wielu poważnych badaczy kwestionuje wiarygodność polskich recenzji, a pan sam wspominał o kłopotach z uzyskaniem dobrych recenzji czy ekspertyz grantowych?

Bez przesady. Mówimy nie o wszystkich recenzjach, ale o ich drobnej części. Jednak gdyby nawet była to część najmniejsza, to nierzetelne recenzje w ogóle nie powinny mieć miejsca. Więc odpowiadając na pana pytanie: tak, możemy to zrobić. Imposybilizm jest gorszy niż nawet nieudana próba zmierzania się z problemem, tj. gdy wyniki jego rozwiązania nie byłyby w pełni zadawalające. Poza tym nie ma obowiązku, żeby sięgać tylko po ekspertów z Polski. W wielu dyscyplinach humanistycznych mamy do czynienia z pełnym umiędzynarodowieniem badań, a większość prac jest publikowana w obcych językach. Osobnym problemem są badania, które dotyczą kultury narodowej, ale ten problem istnieje w każdym kraju i trzeba tworzyć dla takich prac adekwatne narzędzia oceny.

Jaki przykład?

Na przykład możliwości publikacji. Jeżeli mamy do czynienia z badaniami nad historią miejscowości, której nazwa znana jest tylko na terenie jednego województwa, to z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością można założyć, że taki temat raczej nie będzie interesował redakcji zagranicznych ani nawet ogólnopolskich czasopism. Ale jeżeli będziemy mieli pracę dotyczącą Holokaustu w małej miejscowości, to jest szansa, że na tę pracę, zwłaszcza gdy będzie napisana po angielsku, znajdzie się miejsce w publikacji zagranicznej, choćby ze względu na międzynarodowy charakter badań nad Holokaustem. Z drugiej strony, jeżeli w tym samym regionie oddziały KBW eksterminowały żołnierzy polskiego podziemia, to praca na ten temat być może utworzy sobie drogę do publikacji w IPN, ale do obiegu międzynarodowego nie trafi, choćby była rewelacyjnym wynikiem znakomitych badań. W przypadku prac dotyczących historii czy kultury narodowej musimy mieć zatem adekwatne narzędzia oceny, aby docenić jakość prac nie tylko ze względu na miejsce publikacji czy mniejsze albo większe zainteresowanie międzynarodowe konkretnym tematem. I to jest do zrobienia.

Humanistykę łączymy z naukami społecznymi. Słusznie?

Są dwie szkoły: falenicka i otwocka, czyli dwa sposoby traktowania tych dziedzin nauki. Gdy przedmiotem badań jest człowiek, jego wytwory oraz interakcje z otoczeniem, to możemy te różne dziedziny traktować jako jeden obszar. I w wielu krajach jest taka tradycja naukowa. Istnieją badania w humanistyce i naukach społecznych, które przeglądają się w sobie jak w lustrach i to jest niezwykle interesujące. Ale są też badania zupełnie odrębne, między którymi nie ma żadnych wspólnych obszarów. Fonetyk i archeolog wspólnego projektu badawczego raczej tworzyć nie będą. Bo i po co? Ważne, żeby widzieć różnice tam, gdzie one są i stosować do oceny właściwe narzędzia.

W naszym zestawieniu nauk, które pełni ważną rolę w ocenie, rażą mnie pewne sprawy, np. brak antropologii...

No cóż, nie ma też wielu innych. Przed Ustawą 2.0 mieliśmy bardzo rozdrobniony podział dyscyplin, było ich ok. 250, co powodowało rozmaite patologie. Wybraliśmy klasyfikację dyscyplin OECD jako wzorzec i liczba dyscyplin zmniejszyła się niemal sześciokrotnie. Czy jest to rozwiązanie dobre? Na pewno zdecydowanie lepsze niż poprzednie. Nauka się nieustannie zmienia, granice między dyscyplinami stają się płynne. Zatem każdy sztywny podział jest ryzykowny. Mamy dziś problem z określeniem, czym są badania interdyscyplinarne. Im więcej dyscyplin, tym łatwiej posługiwać się tym terminem, czyli

udawać, że prowadzi się badania interdyscyplinarne tam, gdzie jest to tylko kwestia nomenklatury. A może warto wyciągnąć wnioski z klasyfikowania obszarów nauki w ERC, w NCN czy w FNP? To są trzy-cztery obszary. Można by je uznać za dyscypliny, a to, co dotychczas nazywaliśmy dyscyplinami, nazwać specjalizacjami. Ich liczba mogłaby się wówczas mnożyć, co nie powodowałoby zmian w systemie, czyli zwiększenia liczby dyscyplin. Klarowne i wyraźne stałoby się pojęcie badań interdyscyplinarnych. Trzeba by jednak najpierw ustalić priorytet takiej klasyfikacji, czyli sprecyzować, do czego jest nam ona potrzebna. Potwornym błędem ostatniej reformy nauki (a właściwie przekreśleniem założeń Ustawy 2.0) było wprowadzenie zasady, że należy publikować we własnej, konkretnej dyscyplinie. *Disiplinae adscripti*. Wizja nauki w XXI w.

W naukach ścisłych i przyrodniczych dość jasne jest rozróżnienie między artykułem naukowym a popularyzacją czy publicystyką naukową. Chyba inaczej jest w humanistyce. Ze starszych rzeczy przyszły mi do głowy *Życie seksualne dzikich Bronisława Malinowskiego* i *Smutek tropików Lévi-Straussa*.

W science głównym nośnikiem osiągnięcia naukowego są artykuły, a w humanistyce liczy się książka, monografia. Artykuł jest zbyt małym nośnikiem dla tego rodzaju wiedzy. Ocenę badacza przeprowadza się na podstawie opublikowanych przez niego książek. Następną sprawą to esej – to pojęcie ogólnoliterackie. Ale są też eseje naukowe. Einstein pisał eseje, bez przypisów. To, że mamy do czynienia z esejem, nie sprawia, że jego wartość naukowa jest mniejsza. Natomiast eseje w humanistyce mogą jednak znaczyć coś zupełnie innego niż w science. Esaj w humanistyce bywa swobodną ekspresją piszącego, nie docieka się w nim prawdy, nie udowadnia się sformułowanych hipotez, nie przestrzega się żadnej intersubiektywnie sprawdzalnej metodologii. Taki esaj należy do twórczości artystycznej, a nie do nauki. Tu jeszcze w grę wchodzi różnica pomiędzy francuską a niemiecką tradycją pisarską. No i trzeba pamiętać, że wielu filozofów, a w XX w. chyba większość, pisało eseje i są to do dziś dzieła fundamentalne i wybitne.

W badaniach humanistycznych pojawiły się nowe technologie, które umożliwiają postawienie problemów wcześniej nieznanymi czy uzyskanie rezultatów wcześniej nie do pomyślenia. Ale to rodzi problemy czystości metodologii, interdyscyplinarności i wiele innych.

Nie wiem, co miałyby oznaczać czystość metodologii i czy to jest jakiś problem. Interferencja humanistyki z technologią to kwestia skuteczności w rozwiązywaniu konkretnych problemów – czasem nowych, czasem starych. Ale takich spotkań są już dziesiątki: biologia kulturowa, badania chemiczne, fizyczne czy biologiczne materiałów używanych w dziełach sztuki, fizyczne i matema-

tyczne badanie dźwięków w muzyce, badania DNA w archeologii, lingwistyka cyfrowa – lista jest bardzo długa. Jest też humanistyka cyfrowa, która rozwija się intensywnie na Zachodzie, ale w Polsce ciągle jeszcze raczkuje. Technologie cyfrowe są stosowane w translacji tekstów i języków, w ich analizie formalnej i semantycznej, zmieniają status tekstów, obrazów, dźwięków, tworzą nowe kierunki badań, jak np. edytorstwo cyfrowe. Humanistyka cyfrowa tworzy też nowe formy pracy zespołowej, pracy wielu badaczy równocześnie nad hipertekstami. Dodajmy do tego bogaty zestaw technologii wizualnych – to są wszystko nowe możliwości badań w humanistyce. Ale co z tego wynika, nie wiadomo.

Czy humanistyka jest tania?

To zależy do czego porównujemy jej koszty. Ale już to, o czym rozmawialiśmy, musi kosztować. Jeżeli ktoś do pracy badawczej potrzebuje tylko pióra i papieru czy też, w nowszej wersji, komputera, to humanistyka jest tania. Czasami podobnie mówią matematycy. Jednak coraz mniej osób tak twierdzi. Badania terenowe, aparatura, koszty wyposażania bibliotek i archiwów, repozytoria, korpusty, konserwacja, bazy danych, zakup praw autorskich, przechowywanie i udostępnianie – w każdej dyscyplinie są dziesiątki coraz droższych pozycji kosztowych. Bardzo kosztowna jest archeologia, nie tylko prowadzenie wykopaliś – te były zawsze kosztowne – ale wszystko, co się z nimi wiąże. W humanistyce ważna jest pamięć. Jeżeli ktoś pracuje na zwierzętach, to jednak te zwierzęta w pewnym momencie odchodzą. W humanistyce przedmioty badań się zachowuje. Mamy ogromny przyrost przedmiotów badań, które trzeba cały czas zachowywać, konserwować i udostępniać. Gdy pracowałem w Szwecji, każdy instytut płacił uniwersytetowi za każdy metr wynajmowanej powierzchni, płacił też za każdego pracownika, który miał dostęp do biblioteki. Gdybyśmy uwzględnili wszystkie takie koszty, to instytuty humanistyczne musiałyby mieć w Polsce większe budżety. Na koszty humanistyki składa się wiele wydatków, których nie uwzględniamy. I chyba nikt ich dokładnie w Polsce jeszcze nie policzył. A szkoda. Podobnie jest z całym tzw. przemysłem kreatywnym.

Rozmawiał Piotr Kieraciński



Porozumienie Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu w Cambridge 14 lipca 2017, podpisują (od lewej): prof. Włodzimierz Bolecki, wiceprezes FNP, prof. Sir Leszek Borysiewicz, rektor Uniwersytetu w Cambridge, prof. Marcin Pałysz, rektor Uniwersytetu Warszawskiego.

Naukowcy: badacze czy aktywiści

Prowadzenie badań naukowych powinno być zgodne z rygorami metodologicznymi i kodeksem etycznym naukowca. W przedpokoju laboratorium należy zostawić sweter aktywisty i transparenty wykorzystywane w działalności społecznej czy politycznej. Podobnie do działalności społecznej czy politycznej nie należy przystępować w fartuchu laboratoryjnym.

Artykuł ten napisany został z uprzejmej inspiracji redakcji „Forum Akademickiego”. Składa się on z trzech części: (1) pytania i odpowiedzi, (2) o projektowaniu, przeświadczeniach i phishingu, (3) konkluzja. Pytania zostały zasugerowane przez redakcję FA, zaś odpowiedzi czerpane są z praktyki oraz z literatury m.in. prac Tadeusza Kotarbińskiego, Kazimierza Ajdukiewicza, Earla Babbiego, a także ze znakomitej książki włoskiego filozofa Evandro Agazziego *Dobro, zło i nauka: Etyczny wymiar działalności naukowo-technicznej* (tłum. z ang. Elżbieta Kałuszyńska, z przedmową Wojciecha Gasparskiego, OAK Oficyna AKademicka, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 1997; wydanie po angielsku: *Right, Wrong and Science: The Ethical Dimensions of the Techno-Scientific Enterprise*, pod red. Dilwortha Craiga, Rodopi, Amsterdam – New York, 2004; seria: *Poznań Studies in the Philosophy of the Sciences and the Humanities*, Vol. 81 Monographs in Debate) i innych autorów.

Pytania i odpowiedzi

Czy celem/zadaniem nauki jest poznawać świat czy go zmieniać? Pojęcie „nauka” jest dwoiste: (a) pragmatyczne, (b) apragmatyczne; rozróżnienie to zawdzięczamy Kazimierzowi Ajdukiewiczowi (*Logika pragmatyczna*, Warszawa 1974). Nauka w znaczeniu pragmatycznym to ogół działań badawczych i pomocniczych; nauka w znaczeniu apragmatycznym to ogół wyników tych działań, czyli wiedza. Cel jest pojęciem prakseologicznym odnoszącym się do czynności/działań, dlatego odnosi się do nauki rozumianej pragmatycznie, a więc do działalności ludzi ukierunkowanej na zdobywanie wiedzy. Działalność ta „nie może wyłamać się z ogólnych warunków każdej ludzkiej działalności: musi przebiegać zgodnie z decyzjami uwzględniającymi cały zakres wartości, a nie tylko wartości poznawcze” (Agazzi, s. 5).

Cecha naukowości odnosi się nie do treści zawartych w wynikach badań, lecz do sposobu pozyskiwania tych treści, ich systematyzowania i analizowania, tj. do metody, zgodnie z którą prowadzone są badania, zapewniającej ścisłość i obiektywność pozyskiwanej wiedzy.

Przypomnijmy typy nauk i charakterystyczne dla nich sposoby postępowania, czyli metodologie. Tadeusz Kotarbiński wskazuje dwa rodzaje nauk: „nauki teoretyczne i nauki praktyczne. Nauki teoretyczne stanowią przygotowanie dla nauk praktycznych, które są w znacznej mierze ich zastosowaniami. Ba, są to przygotowania niezbędne, bez których nauki praktyczne nie podołałyby swoim trudniejszym zadaniom. Coraz więcej trzeba wiedzieć z rubryki wiedzy o tym jak jest, aby obmyślić jak ma być, by było lepiej niż jest” (T. Kotarbiński, *Mysli o działaniu*, Warszawa 1957, s. 693).

Tak więc celem/zadaniem nauki jest zarówno poznawanie, jak i zmienianie świata. Zmianami zajmują się nauki praktyczne.

Czy będąc naukowcem, mam szukać prawdy, czy wpływać na zmianę postaw? Zagadnienie to wiąże się z kwestią neutralności nauki. Ta zaś kwestia mieni się wieloma znaczeniami, a mianowicie: bezinteresownością, wolnością od uprzedzeń, niesłużeniem interesom, wolnością od uwarunkowań, obojętnością ze względu na cele (Agazzi, s. 34-42). Bezinteresowność nie występuje w pragmatycznie rozumianej nauce, bowiem zaangażowanie w aktywność badawczą zawsze jest powiązane z motywacją skłaniającą do ponoszenia trudów i kosztów, a więc swego rodzaju interesami. Bezinteresowność natomiast jest zawsze obecna w nauce rozumianej apragmatycznie. Wszelka wiedza prawdziwa pomnaża korzyść z jej posiadania. Podobnie rzecz się ma z wolnością od uprzedzeń, ponieważ wybór problematyki badawczej zależy od wartości i sensowności działania charakterystycznych dla danej społeczności, wskazujących co zasługuje na to, aby być przedmiotem badania, a co na to nie zasługuje. Nie jest bowiem możliwe badanie wszystkiego, konieczny jest wybór problematyki ze względu na zainteresowanie badaczy, potrzeby społeczeństwa, posiadane środki itd.

Neutralność w sensie niesłużenia interesom jest trudna do spełnienia, bowiem głos decydujący rezerwują sobie „ci co płacą”, a więc czyjś interes zawsze występuje. Interesy mogą mieć postać władzy, charakter ekonomiczny, polityczny, ideologiczny itp. Jednakże nauka rozumiana apragmatycznie, tj. wiedza, nie może być podporządkowana interesom – poszu-

kiwanie prawdziwej wiedzy wymaga zmiany postaw. Tym, co przysparza chwały nauce, jest uczciwość intelektualna. Konfliktowi interesów mówimy apage satanas!

Od uwarunkowań natomiast trudno się uwolnić nauce rozumianej pragmatycznie, co gorsza warunki, w jakich nauka jest uprawiana, wpływają pośrednio na wyniki, a więc na naukę rozumianą apragmatycznie, czyli wiedzę. Wymaga to dbałości o większą autonomię nauki. Zmiana postaw nie jest w tym przypadku alternatywą dla poszukiwania prawdy, lecz wsparciem wymagającym niekiedy wręcz walk na argumenty i chwytów erytyczne. Prakseologia nazywa to kooperacją negatywną. Wreszcie ostatni aspekt – obojętność na cele. „Nauka jako działalność musi realizować pewne cele, tj. musi operować w ramach świadomości i znaczenia; musi się lokalizować jako element całości; nie może sobie pozwolić na traktowanie siebie jako mniej lub bardziej nobilitującej ucieczki od rzeczywistości” (Agazzi, s. 41-42).

Tak więc szukanie prawdy i wpływanie na zmianę postaw nie jest alternatywą. Należy poszukiwać rozwiązań prawdziwych oraz wskazywać, jak powinny się zmienić postawy. Toż przecież każdy naukowiec jest jednocześnie nauczycielem. Na to zwracał uwagę Tadeusz Kotarbiński wskazując wykształconego w Wiedniu Kazimierza Twardowskiego, założyciela szkoły lwowsko-warszawskiej, który zaangażował się we wprowadzanie ład w myślenie i działanie Polaków, rezygnując z tworzenia własnej ścieżki filozoficznej. Uważał bowiem, że ład i porządek w myśleniu przyczyni się do ład i porządku w działaniu tak bardzo brakującego rodakom.

Gdzie powinna przebiegać granica między uprawianiem nauki i aktywnością społeczną/polityczną? Naukowiec zaangażowany w dwa rodzaje działań – badania i ‘aktywistowość’ (sit venia verbo) społeczną/polityczną – powinien unikać mylenia „komu świeczkę, a komu ogarek”. Prowadzenie badań naukowych powinno być zgodne z rygorami metodologicznymi i kodeksem etycznym naukowca. W przedpokojach laboratorium należy zostawić sweter aktywisty i transparenty wykorzystywane w działalności społecznej czy politycznej. Podobnie do działalności społecznej czy politycznej nie należy przystępować w fartuchu laboratoryjnym.

Dwoistość zaangażowania występuje częściej w dyscyplinach takich jak socjologia, politologia i inne nauki uprawiające badania nad działalnością społeczną. Przypomnieć należy współczynnik humanistyczny, pojęcie wprowadzone przez Florianą Znanieckiego. Jest to postulat metodologiczny, według którego badacz powinien analizować i interpretować zjawiska społeczne nie tylko ze swojego punktu widzenia bezstronnego obserwatora, ale próbować zrozumieć znaczenie, jakie te zjawiska mogą mieć dla ludzi poddawanych badaniu. Zauważmy, iż „Fakt, że dzisiejsza technika czerpie tak wiele z wyników naukowych, nie nakłada na naukę odpowiedzialności za technikę. Nauka musi pozostać wolna, by dostarczać nam wiedzy i odkryć, kontrolować natomiast należy technikę, tak by nie wykorzystywała wiedzy w niewłaściwy sposób. Ograniczanie rozwoju nauki pozbawiłoby nas bowiem możliwości właściwego użycia dostarczanej przez nią wiedzy” (Agazzi, s. 51).

Czy można być badaczem i działaczem zarazem i jakie to rodzi niebezpieczeństwa? Z podręcznika badań z zakresu nauk społecznych dowiadujemy się, że „osobiste poglądy polityczne badacza nie powinny mieć wpływu na prowadzone przez niego badania naukowe. Niedopuszczalne jest także, by nieściśle lub fałszywie przedstawiać badania, bądź przeprowadzać je w sposób niezgodny z regułami sztuki, w celu forsowania własnych poglądów politycznych” (E. Babbie, *Badania społeczne w praktyce*, Warszawa 2007, s. 527-528). Zarzuty takie są formułowane dość często, dodaje cytowany autor.

Czy przyjęcie postawy naukowca-aktywisty nie grozi ideologizacją nauki lub jej podporządkowaniem interesom społecznym, politycznym, gospodarczym? Przyjęcie postawy badacza-aktywisty grozić może swego rodzaju schizofrenią. Podporządkowanie się interesom, którym służy aktywista, wyprowadza naukę na manowce. Jest to chodzenie na skrótów wbrew ostrzeżeniu przewodników górskich „Chcesz iść dłużej, chodź na skrót”. Aby dostać się do krainy położonej na Wschodzie można wyruszyć na Zachód, chyba że jest się członkiem stowarzyszenia płaskoziemców.

Jak przyjęcie postawy naukowca-aktywisty odbija się na podejmowanej problematyce? Cytowany wcześniej Babbie uważa, że „badania społeczne nigdy nie są w pełni obiektywne, bowiem badacze są tylko ludźmi i jako tacy są subiektywni. Z tego względu nie obiektywność, lecz intersubiektywność cechuje naukę. Oznacza to, że różni uczeni, mający różne subiektywne poglądy, jeśli stosują uznane techniki badawcze, mogą i powinni dochodzić do takich samych wyników. W istocie rzeczy jest to możliwe, jeśli poszczególni naukowcy w toku badań potrafią abstrahować od swoich osobistych wartości i poglądów” (Babbie, s. 528).

O projektowaniu

Tadeusz Kotarbiński stwierdza, że „im bardziej doskonali się dana dyscyplina praktyczna, tym więcej stosunkowo pracy zajmuje dociekanie prawd z innych dziedzin, które to prawdy są potrzebne do użytkowania ich dla głównych celów tej dyscypliny praktycznej. Tak oto medycyna współczesna w drobnej już tylko części pracuje nad obmyślaniem zagadnień fizjologicznych, patologicznych, chemicznych etc. Potrzebnych jako podstawa m.in. odpowiednich norm i projektów” (T. Kotarbiński, *Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk*, Dzieła wszystkie, s. 413).

Istotną kwestią jest owo „sporządzanie projektów”. Metodolog praktyki, prakseolog, powie: rozwiązania praktyczne powinny być trafne. Po to zaś, by takimi były, prowadzić powinny do zmian relewantnych (tj. właściwych). Jest to wymóg stawiany rozwiązaniom projektowym, analogiczny jak wymóg prawdziwości stawiany rozwiązaniom naukowym. Projektowanie, będące koncepcyjnym przygotowaniem działań prowadzących do takich zmian, jest wyróżnikiem metodologicznym nauk praktycznych vel stosowanych, nazywanych też naukami o wytworach człowieka – artefaktach (Herbert A. Simon, *The Sciences of the Artificial*, The MIT Press, Cambridge, Mass. 1981). Którąkolwiek dyscyplinę praktyczną naukowiec uprawia, powinien być biegły nie tylko w badaniu specyficznym dla danej dyscypliny, ale także w projektowaniu systemów oferowanych przez tę dyscyplinę praktyce danego rodzaju działań. W medycynie są to działania mające na celu leczenie pacjentów (terapia) oraz zapobieganie zachorowaniu (profilaktyka). Podobnie rzecz się ma w innych naukach praktycznych. Terapia i profilaktyka wymagają kontaktu naukowców-specjalistów danej dyscypliny praktycznej z pacjentami, przy szerokim rozumieniu słowa „pacjent” jako odbiorcy usług świadczonych przez naukowców z danej dyscypliny praktycznej. Konieczna jest zatem umiejętność komunikowania się specjalistów-usługodawców z laikami-usługobiorcami. Umiejętność komunikowania się powinna wchodzić do repertuaru kompetencji specjalistów z nauk praktycznych.

O przeświadczeniach

Nietrudno zauważyć, że aktualny stan rzeczy pozostawia wiele do życzenia. Na przeszkodzie poprawnego komunikowania się stają po stronie pacjentów przeświadczenia, a po stronie

specjalistów brakuje w umiejętności projektowania oraz złe praktyki i niedostatki w umiejętności komunikowania się występujące na rynku świadczonych usług z zakresu nauk praktycznych.

Przeświadczenia, niczym chwasty, zakłócają postrzeganie problemów i proces ich rozwiązywania. Nestor filozofów polskich Władysław Stróżewski wskazuje na to, że „przeświadczenia modyfikują, a niekiedy nawet niejako zatrzymują obraz rzeczywistości, uniemożliwiając bezpośredni do niej dostęp. Ich uprzedzająca rola widoczna jest szczególnie w rzeczywistości społecznej” (W. Stróżewski, *O przeświadczeniach*, „Przegląd Filozoficzny” 2012, nr 2, s. 11).

Oto czym grozi uleganie takim przeświadczeniom. Filozof przestrzega: „Bodaj najważniejszą cechą przeświadczeń jest ich bezrefleksyjność. Przeświadczenia są przeżywane tak, jak na początku zostały przyjęte, bez zastanawiania się nad ich źródłem czy ich poznawczą wartością. [...] Bezrefleksyjność sprzyja irracjonalizmowi. Wiele naszych przeświadczeń nie da się w żaden sposób racjonalnie wytłumaczyć. A mimo to upieramy się przy nich, nie dopuszczając nie tylko ich krytyki, ale nawet zwykłego namysłu czy zastanowienia. W takich sytuacjach ujawnia się autonomia woli. Ta zaś nie zawsze jest – jak pragnął Kant – wolą dobrą, motywowaną jedynie światłem czystego rozumu. Istnieje także zła wola, o trudnych do zrozumienia korzeniach. Charakterystycznym sposobem jej zachowania jest upór. Ten zaś stanowi ważny współczynnik niektórych przynajmniej przeświadczeń” (s. 11-12). Czy można się uwolnić od przeświadczeń? Stróżewski udziela takiej odpowiedzi: „Żyjemy w świecie przeświadczeń. Chodzi o to, by te przeświadczenia były uzasadnione, oparte na prawdzie. A to oznacza de facto postulat ich przekroczenia: przejście od przeświadczeń do rzetelnie uzasadnionych przekonań” (s.18).

O phishingu

Fałszywe przeświadczenia to niejedyny kłopot. Coraz częściej mówi się o celowym wprowadzaniu innych w błąd przez głoszenie tzw. faktów alternatywnych lub inaczej „postprawd”, czyli oszustw. Noblista Herbert A. Simon sformułował aksjomat: „ludzie są zdolni do jedynie bardzo ograniczonej racjonalności (bounded rationality) (H.A. Simon, *Altruism and Economics*, „American Economics Revue” 1993, nr 2, s. 156). Taka jest nasza natura. Wykorzystują to ci, którym zależy na oddziaływaniu na zachowania innych po to, aby na tym skorzystać – w handlu, szczególnie w reklamie, a także w wyborach i wielu innych licznych okolicznościach decyzyjnych. Inni amerykańscy nobliści, George A. Akerlof i Robert J. Shiller, zauważyli (G.A. Akerlof, R.J. Shiller, *Złowić frajera: Ekonomia manipulacji i oszustwa*, Warszawa 2017), że w gospodarce rynkowej, tj. wolnej konkurencji, występuje równowaga rynkowa „optymalna w sensie Pareto”. Jest to stan, w którym nie jest możliwe poprawienie sytuacji materialnej wszystkich ludzi, bowiem każda zmiana polegająca na polepszeniu sytuacji jednego skutkuje pogorszeniem sytuacji innych. Nobliści ci wskazują, że „W gospodarce prawdziwie wolnorynkowej ludzie mają nie tylko pełną swobodę wyboru, lecz także niczym nieskrępowaną swobodę naciągania innych” (s. 7). Autorzy ci wskazują, że owo naciąganie ma postać phishingu, tj. łowienia frajera, a na rynku panuje gospodarka manipulacji i oszustwa. „Kształtująca się w tych warunkach równowaga będzie nadal równowagą w rozumieniu Adama Smitha, ale będzie ona nie w kategoriach zaspokajania naszych rzeczywistych potrzeb, lecz w kategoriach naszych gustów manipulowanych przez rynek”.

Sytuacja ta, piszą Akerlof i Shiller, stwarza liczne problemy dla tych, którzy są poddawani manipulacji oraz dla manipulatorów. „[...] zawsze znajdą się ludzie, którzy kierując się własnym interesem, będą gotowi zaspokoić wszystkie nasze życze-

nia, podpowiadane przez ‘złe duszki’ siedzące nam na karku” (s. 8). Wystarczy przywołać znachorów czy Kaszpirowskiego. Tak więc na pytanie, czy zadaniem nauki jest poznawanie świata, czy jego zmienianie, odpowiedzieć należy, że jest to pytanie źle postawione, bowiem do zadań nauki należy zarówno poznawanie świata, jak i dostarczanie podstaw poznawczo ugruntowanych do jego zmieniania. Także wykrywanie mechanizmów powodujących manipulacje i oszustwa dokonywane z powołaniem się na naukę lub co gorsza występujące w samej nauce.

Konkluzja

Bezpośrednim celem uprawiania/tworzenia nauk jest zdobywanie wiedzy (Agazzi, s. 34-44). Równoczesne uprawianie badań naukowych i aktywizm społeczny/polityczny jest możliwe pod warunkiem rzetelnego prowadzenia badań wedle reguł sztuki określonej metodologią i przestrzegania norm spisanych w kodeksach ogólnym badacza i partykularnym danej dyscypliny oraz placówki naukowej. Gdy Jan Kowalski jest i badaczem, i aktywistą, to kiedy występuje jako badacz, powinien zawiesić swoje zaangażowanie aktywistyczne, podobnie jak



gospodyni domowa nie piecze ciasta w godzinach pracy biurowej w firmie, w której jest zatrudniona.

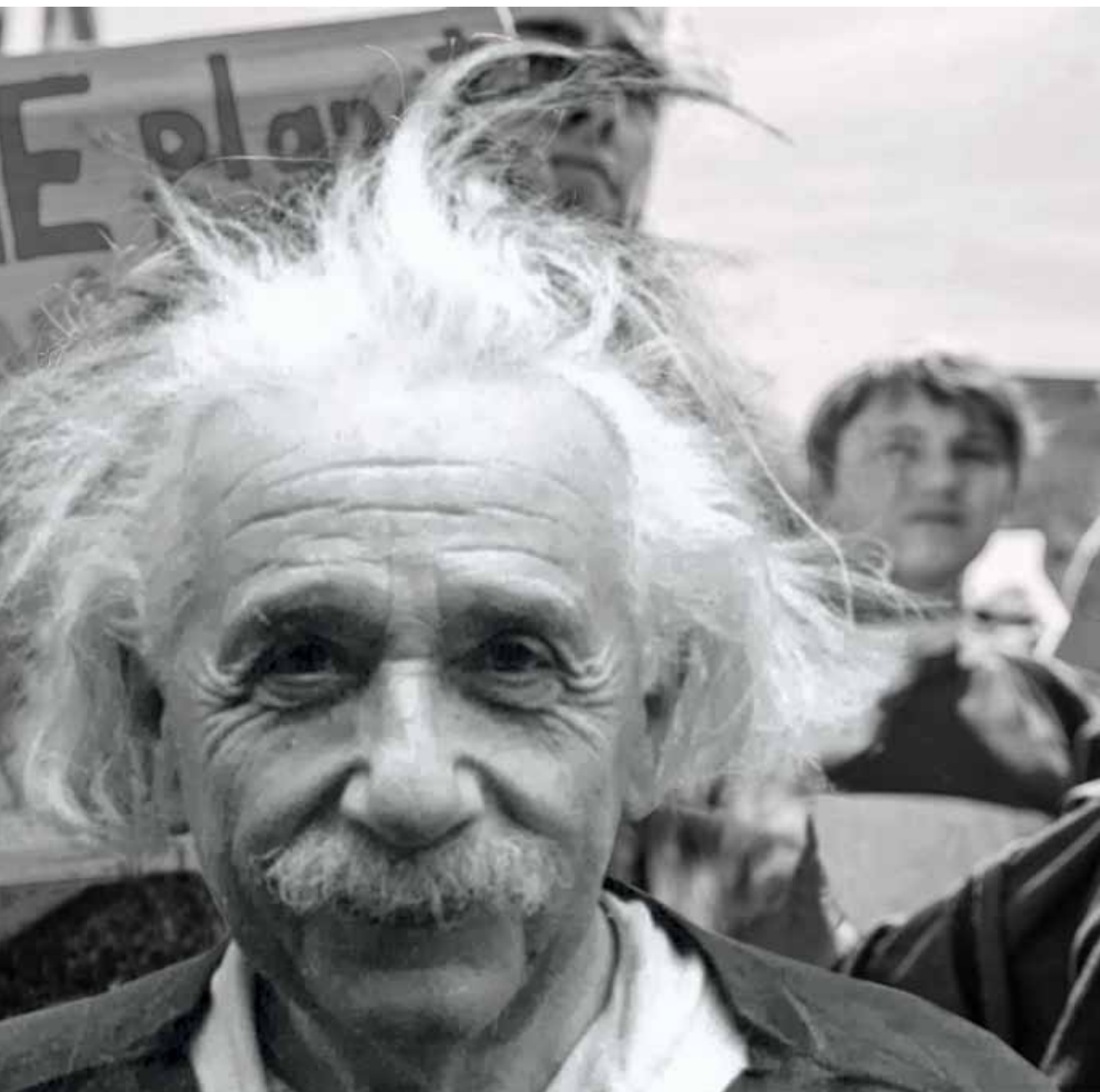
Badania w naukach społecznych poddawane są ocenom etycznym i politycznym. Oceny etyczne dotyczą metody zastosowanej w badaniach, zaś oceny polityczne odnoszą się do przedmiotu badań. Przykładowo posłuszeństwo nie powinno być przedmiotem badania „[...] gdyż nie należy podważać gotowości ludzi do okazywania posłuszeństwa władzy [oraz] wyniki takich badań mogłyby zostać wykorzystane do nakłaniania ludzi do większego posłuszeństwa” (Babbie, s. 527).

Ważną rolą badacza jest rola eksperta, np. biegłego sądowego, ale jest się biegłym jednej ze stron procesu. Rodzi się w związku z tym pytanie, czy złożenie przysięgi mówienia „prawdy, całej prawdy i tylko prawdy” gwarantuje bezstronność, gdy strona oczekuje złożenia odpowiedzi przechylającej szansę wygrania przez nią procesu. Adwokat strony przeciwnej będzie dążyć do podważenia odpowiedzi biegłego strony przeciwnej. Jak wypadniesz badacz w takiej roli?

Oto trzy kwestie wskazywane przez autora podręcznika badań społecznych podsumowujące zagadnienie niełatwej sytuacji badacza z tych nauk: (1) badania nie są uprawiane w politycznej próżni; (2) prowadzenie badań może doprowadzić do politycznego sporu, nierzadko gwałtownego; (3) występowanie aspektów ideologicznych wymusza poszukiwanie technik badawczych neutralizujących wpływ ideologii i polityki na badania (s. 531-532).

Dawniejsze powiedzenie postulowało: „I niechaj każdy wie, kiedy można, kiedy trzeba, kiedy nie”. Dobrze będzie zapamiętać tę radę w związku z dylematem, czy być zimnym badaczem, czy zaangażowanym aktywistą lub może łączyć jedno z drugim? Autonomia badacza pozostawia jemu/jej decyzję w tej sprawie.

*Prof. dr hab. inż. Wojciech W. Gasparski,
profesor emeritus Akademii Leona Koźmińskiego, gdzie kierował Centrum Etyki Biznesu.
Przedtem przez 40 lat pracował w PAN jako kierownik Zakładu Prakseologii
i Pracownią Metodologii Projektowania oraz przewodniczący rady naukowej
Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.*



Rys. Sławomir Makal

Nauka a polityka

Naukowiec żyjący wyłącznie swoimi badaniami stałby się obywatelem niepełnowartościowym. Jak wszyscy mamy prawo wypowiedzania swoich opinii, a jako przedstawiciele pewnej „elity” mamy chyba wręcz obowiązek otwartego reagowania na stan otaczającego nas świata.

Związek nauki (a w każdym razie niektórych jej dziedzin) z polityką jest oczywisty z kilku punktów widzenia. Najbardziej widoczne jest to w przypadku naukowców, którzy zdecydowali się wkroczyć do świata bieżącej polityki, przyjmując funkcje w strukturach zarządzania państwem. Takie pełnoetatowe zaangażowanie niemal zawsze skutkuje znaczną redukcją albo całkowitym wstrzymaniem pracy naukowej. Teoretycznie posiadacze doktoratów, habilitacji i tytułów profesorskich mogą wrócić do pracy naukowej, ale nie jest to łatwe, bo dłuższa nieaktywność badawcza powoduje utratę kontaktu z aktualnym stanem specjalistycznej debaty.

Inna jest sytuacja ludzi, którzy mają dyplomy formalnie upoważniające ich do podjęcia pracy badawczej, ale nigdy tego nie zrobili, szukając od razu swojego miejsca na scenie politycznej. Takich ludzi nauka niezbyt interesuje, a poza tym nie mają umiejętności niezbędnych do jej uprawiania. Statystyka wskazuje, że obecnie dobrze być politologiem, lepiej być prawnikiem, ale zdecydowanie najlepiej rokuje karierze politycznej wykształcenie historyczne (np. Błaszczak, Dworczyk, Gowin, Kaczyński, Kamiński, Kowalski, Macierewicz, Morawiecki, Piontkowski, Sasin, Terlecki, Waszczykowski i Witek).

Czasem pracownicy nauki stają wobec wyzwań, w których zaangażowane reagowanie na bieżącą sytuację jest konieczne i oczekiwane, bo moralnie uzasadnione. Jest to też kwestia ich decyzji, ale ułatwionej doraźnymi potrzebami.

Historycznym przykładem może być działająca w stanie wojennym w Warszawie siatka zapewniająca długoletnie sprawne funkcjonowanie „podziemnych” władz regionu „Solidarności”. Składała się ona w ogromnej większości z czynnych pracowników różnych instytucji naukowych. To oni odpowiadali za wyszukiwanie i obsługę mieszkań i skrzynek kontaktowych oraz zapewniali intensywny lokalny i krajowy obieg informacji, a nawet regularne kontakty z zagranicą. To dzięki nim powstało i przetrwało uni-



katowe archiwum dokumentujące konspiracyjną aktywność Regionu Mazowsze, opracowane naukowo w książce *Archiwum Wiktora Kulerskiego. Dokumenty podziemnej „Solidarności” 1982–1986* (wyd. 2019).

Dzisiaj doświadczamy takiej sytuacji, obserwując korzyści społeczne z doradczej i medialnej aktywności specjalistów od epidemiologii i wirusologii. Bez nich politycy byłiby bezradni (choć niektórzy o tym nie wiedzą), a ludzie nie mieliby dostępu do względnie obiektywnego oglądu sytuacji. To są sytuacje etycznej oczywistości, które raczej nie wymagają krytycznej refleksji.

Pomijam te trzy (czasem się ząbajające) kategorie ludzi z cenzusem naukowym, bo redakcji FA najwyraźniej chodzi o pozaprofesjonalne zaangażowanie czynnych naukowców, których codzienna aktywność zawodowa skupia się na poznawaniu świata i zanurzonego w nim człowieka oraz dążeniu na tym polu do prawdy, jakkolwiek byłaby definiowana. Dla nich aktywność społeczno-polityczna jest na ogół tylko ewentualnym doraźnym dodatkiem (dla niektórych bardzo pociągającym) do regularnej pracy badawczej.

Odpowiedź na pytanie o przyzwolenie na łączenie nauki z polityką, które może wszak grozić specyficznym ukierunkowaniem badań, a nawet ideologizacją ich wyników, nie jest jednoznaczna, bo zależy od konkretnych uwarunkowań, w których działa naukowiec-aktywista.

Społeczno-polityczna aktywność pracowników nauki w czasach nieekstremalnych jest kwestią osobistego wyboru. Nawet przecież reprezentanci dyscyplin mocno „upolitycznionych”, jak socjologia, politologia i historia najnowsza, mogą paradoksalnie uznać, że należy trzymać się z dala od aktualnej bieżączki, skupiając się na realizacji zadań czysto naukowych i nie przejmując się ich wpływem na otaczającą rzeczywistość.

Nie będę udawał, że mam w tej sprawie jakieś głęboko uniwersalne przemyślenia. Mogę tylko opisać swój przypadek pewnej nadwrażliwości na bodźce społeczno-polityczne. Stymuluje ona swoiste „natręctwo” natychmiastowego reagowania, co skutkuje pisaniem do gazet tekstów interwencyjnych, sprowokowanych przez bulwersujące wydarzenia. Dzięki tę potrzebę z wieloma innymi naukowcami, którym trudno się powstrzymać przed publicznym dawaniem upustu swoim emocjom regularnie pobudzonym przez decyzje rozmaitych „czynników politycznych”.

Czy takie doraźne zaangażowanie odbija się na pracy naukowej? W przypadku dyscyplin „niepolitycznych” raczej nie. Trudno bowiem wskazać wpływ poglądów politycznych na pracę badawczą archeologa i mediewisty, np. moją. Jednak to, co piszemy, może być wykorzystywane w dyskursie politycznym przez komentatorów, którzy szukają w przeszłości (nawet bardzo odległej) uzasadnienia dla teraźniejszości. Są to czasem skojarzenia doprawdy zaskakujące, jak np. uznanie mojej książki o Mieszku I (Toruń 2012) za swoisty przykład roli wybitnych ludzi, który można przenieść na sytuację Polski w XXI w.

Podsumowując te wątki, chciałbym wyrazić przekonanie, że naukowiec żyjący wyłącznie swoimi badaniami stałby się obywatelem niepełnowartościowym. Jak wszyscy mamy prawo wypowiedzenia swoich opinii, a jako przedstawiciele pewnej „elity” (to słowo jest dzisiaj przykładem manipulacji politycznej) mamy chyba wręcz obowiązek otwartego reagowania na stan otaczającego nas świata. Z zastrzeżeniem, że nie można ulec pokusie zostania celebrytą – specjalistą od wszystkiego!

*Prof. dr hab. Przemysław Urbańczyk,
mediewista archeolog, profesor zwyczajny
Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego
w Warszawie oraz Instytutu Archeologii
i Etnologii PAN*



rys. Sławomir Medal

O nauce, która niezaangażowaną być nie może

Nie ma ucieczki od ideologii, nauka zawsze powstaje w określonych okolicznościach historycznych, instytucjonalnych i politycznych, które ma skłonność przedstawiać – pojęciowo i retorycznie – jako coś naturalnego i powszechnego, co jest wyrazem oczywistych prawd. Te oczywiste prawdy właśnie dlatego nie zawsze i nie dla wszystkich są oczywiste.

Myśl, że nauka ma być „wolna” od społecznych i politycznych zaangażowań, jest sama w sobie niebezpieczna i może być wykorzystana do niecnym celów. Produkt chytrego rozumu, rojący się w głowach politycznych – bo jakich innych? – decydentów, którzy swoją polityczność ukrywają za maskami samozwańczych – instytucjonalnie i medialnie namaszczonych – ekspertów globalnej wioski naukowej. Ci ostatni, na rzecz przygotowywanej u nas aktualnie przez ministerstwo ewaluacji dyscyplin naukowych, usilnie przekonują nas o tym, że jeśli nie jedynym, to na pewno niepodważalnym kryterium naukowości ma być miejsce publikacji w internetowej chmurze czasopism i wydawnictw firmowanych głównie przez uniwersytety amerykańskie. Na tych uniwersytetach musi się zatem uprawiać wiedzę w postaci wzorcowej, „czystej” i „prawdziwej”. Myślenie karykaturalne i katastrofalne w skutkach. Jak otrząsnąć się z tego koszmaru? Poniżej nie zajmuję się jednak wprost sprawą re/deformy nauki polskiej, chociaż domyślam się, że to ona właśnie zainspirowała redaktorów FA do zrobienia z tematu nauki niezaangażowanej headline news. Chciałbym tylko przypomnieć pewne elementarne kwestie (podstaw) teorii wiedzy naukowej, które – jak się okazuje – szczególnie wybrzmiewają na tle wspomnianych pomysłów na doskonalenie naszej rodzimej nauki. Bez odniesień do nich nie uda mi się więc całkowicie osiągnąć celu tych rozważań, z konieczności niewolnych od publicystycznego frazowania.

Scjentyzm

Pojęcie nauki, którym się dzisiaj powszechnie posługujemy, zarówno w użyciu „naukowym”, jak i potocznym, powstało na fali dziewiętnastowiecznego pozytywizmu. Mimo że pojawiło się w określonych kontekstach kulturowych, ma potencjał ideologiczny do walki o prawdę absolutną, całkowitą i ostateczną

– o poznanie wszystkiego o wszystkim. Jego drugim imieniem jest postęp, a wrogiem – wszelkie jednostkowe i zbiorowe interesy, zaangażowania i potrzeby. Zakłada, że istnieje tylko jeden sposób zdobywania wartościowej wiedzy w każdej nauce – przyrodniczej i społecznej – oparty na zmatematyzowanym doświadczeniu, obserwacji lub eksperymencie. Wiedza ta przedstawia się jako nieskończony postęp, mający polegać na kumulatywnym powiększaniu ilości wyjaśnianych danych, co musi przekładać się na nieskończone zwiększanie wydajności kolejnych nowych wynalazków i technologii, dzięki którym realizowane są inne wartości, takie jak życie, zdrowie, bezpieczeństwo, dobrobyt itp. Rzecz w tym, że zarówno odkrywanie uniwersalnych praw matematyki, fizyki, chemii czy biologii, jak i ich stosowanie lub wdrażanie do praktyki – technika, medycyna, rolnictwo – zawsze ma miejsce w ramach pewnej kultury wiedzy i ujawnia społeczną naturę nauki.

Szczepionki i wspólnoty naukowe

Spójrzmy na naukę w czasie pandemii koronawirusa. Wirusolodzy i epidemiolodzy mają dziś dostęp w okamgnieniu przez Internet do dowolnych danych badawczych powstających w dowolnym laboratorium na świecie. Wydawałoby się zatem, że taka właśnie wymiana informacji i ich postępująca kumulacja powinna mieć miejsce szczególnie w czasie, gdy ludzie masowo chorują i umierają. Że wszyscy naukowcy razem zgodnie pracują nad jedną skuteczną szczepionką. Błąd – myślenie fałszywe. Wielkie koncerny farmaceutyczne prowadzą badania na własną rękę, z nadzieją na gigantyczne zyski ze sprzedaży swoich produktów. I do tego brutalnie ze sobą walczą, podważają skuteczność produktów konkurencji i korumpują współpracujących z nimi lekarzy. Business as usual. Nauka nie rozwija się zwykle w zgodzie z kodeksem etycznym, a naukowcy

nie zawsze kierują się bezinteresownym dążeniem do prawdy. Liczy się pragmatyzm i rachunek ekonomiczny. Ale nie tylko to. Wspomniany przykład ilustruje coś więcej. Okazuje się mianowicie, że nawet o rozwoju nauk przyrodniczych i inżynierjo-technicznych, w których dominują badania stosowane, poza środkami finansowymi decyduje także wiele innych czynników: środowisko, tradycja, autorytety, metody i organizacja badań... Są to czynniki na ogół niewymierne, nie da się ich przełożyć na efektywność badań ani zaadaptować w niezminionej postaci do innych kontekstów. Nie można opublikować na ich temat artykułu w „Nature” – lub w dowolnym innym „wysokopunktowanym” czasopiśmie – i następnie w nagrodę otrzymać od pracodawcy finansowe wsparcie na dalsze badania... Jeśli ktoś się z tym nie zgadza, to znaczy, że grzeszy albo naiwnością, albo zwykłą ignorancją. W czasie swoich studiów musiał przeoczyć wykłady z podstaw teorii nauki. Dowiedziałby się z nich, że nauka nie istnieje poza tworzącymi ją społecznościami – wspólnotami interpretacyjnymi, jak mówią niektórzy, czyli grupami uczonych, których łączy wspólne wartości, lektury, przekonania, standardy badań, wszystko to, co Thomas Kuhn nazwał kiedyś „paradygmatem”. Uczeni nie mają dojścia do żadnej zewnętrznej, „obiektywnej” rzeczywistości, która by wychodziła poza ich paradygmat, poza zasięg percypowania świata swojej społeczności. W rezultacie – jak powiada Kuhn – „w nauce nie da się w sposób kategoryczny odgraniczyć faktów i teorii, odkrywania i wymyślenia”.

A to znaczy, że nie ma również ucieczki od ideologii, że nauka zawsze powstaje w określonych okolicznościach historycznych, instytucjonalnych i politycznych, które ma skłonność przedstawiać – pojęciowo i retorycznie – jako coś naturalnego i powszechnego, co jest wyrazem oczywistych prawd. Te oczywiste prawdy właśnie dlatego nie zawsze i nie dla wszystkich są oczywiste. Powracam do przykładu: jak dotąd (kwiecień 2021) naukowcy twierdzą, że ciągle nie wiedzą „wszystkiego” o działaniu szczepionki koncernu AstraZeneca, prowadzą badania i dyskutują ze sobą, echa tej dyskusji przebijają się do mediów, dołączają się do niej internauci i politycy. Informacja, że przy produkcji tego preparatu wykorzystano szczepy komórkowe ludzkich ploidów pochodzących z aborcji, podgrzewa dodatkowo jeszcze atmosferę, budzi sprzeciw moralne na przykład ze strony przedstawicieli Kościoła, polaryzuje stanowiska. To, co dla jednych jest w tej sprawie oczywiste, dla innych bynajmniej takim nie jest.

Polityka i problem ewaluacji nauki

Przekonanie o tym, że jeszcze nie „wszystko” poznaliśmy o działaniu lub strukturze danego zjawiska to właśnie syndrom nauki permanentnie niekompletnej, nieustannie ożywianej pragnieniem dotarcia do granic, które wciąż się oddalają. Wszystkie kolejne jej ustalenia istnieją tylko po to, żeby być przewyżnione. Dotyczy to zarówno przyrodoznawstwa, jak i nauk społecznych, szerzej – humanistyki. Niedokończoność badań jest jednak bardziej spektakularna w przypadku zjawisk społeczno-kulturowych, ponieważ – mówiąc najkrócej – są one bardziej złożone i wielowymiarowe niż zjawiska przyrodnicze. Poznanie zjawisk społecznych, ich ujmowanie w siatce abstrakcyjnych pojęć, nie jest tym samym, co ich rozumienie. Nie ma takich znaczeń, porządków symbolicznych, które dorównywałyby temu, co jest oznaczane. To, co jest oznaczane – społeczeństwo i kultura jako świat ludzkich przeżyć i wartości – domaga się licznych i różnorodnych reprezentacji: medialnych, naukowych (czyli badań powiązań kausalnych, ilościowych i funkcjonalnych), artystycznych, religijnych i innych. Bezpodstawne są dlatego nadziejnie na całkowite ich wyjaśnienie, na dojście do miejsca, które nie byłoby już badawczym punktem wyjścia. Nie

ma co liczyć na szczęśliwy finał badań i zakończenie sporów naukowych. Według jakich kryteriów należy więc oceniać ich rezultaty?

Jest to problem tyleż naukowy, co i polityczny, przynajmniej z tego prostego powodu, że jego rozwiązania są kluczowe dla polityki naukowej państwa. A ta ostatnia może być dowolna, godzi różne interesy grupowe i podlega różnym pozanaukowym wpływom. W rezultacie nie dziwią więc i takie kuriozalne decyzje, jak ta, o której była mowa na wstępie, łącząca ocenę jakości badań z miejscem publikacji ich wyników. Żadna teoria nauki nie zna takich rozwiązań. Jako kryterium naukowości przyjmuje natomiast uprawomocnienie rezultatów badań ze względu na ich wartości użyteczne (mniej lub bardziej użyteczne), epistemologiczne (obiektywne, adekwatne, intuicyjne, trafne), ekonomiczne (opłacalne, lepsze od konkurencyjnych), socjotechniczne (pożądane, skuteczne, przekonywające), a nawet estetyczne (przejrzyste, mocne lub eleganckie, tak jak np. szczepionka antycovidowa, która – jak powiada epidemiolog – ma „elegancko, ładnie wpisywać się w rytm mechanizmu odpornościowego”). Zwykle kryteria te nie występują osobno, raczej w różnych kombinacjach i proporcjach, w zależności od przyjętej hierarchii celów i potrzeb zrodzonych przez różne warunki kulturowe określonych społeczności. To one dostarczają języków i fabuł, które pozwalają formułować problemy i stawiać hipotezy badawcze, odkrywać i wymyślać. Abstrakcyjne punkty z listy rankingowej czasopism i wydawnictw ignorują wszystkie te konteksty – języki i światy – przez co pozabiają naukę wiarygodności, uniwersytety zaś skazują na pogoń za grantami i zajmowanie się nieprzystadnymi badaniami. Takie opinie, zaczerpnięte z dzisiejszej debaty akademickiej, logicznie wynikają z przedstawionych powyżej przesłanek. Nie ma co liczyć na ostateczne zwycięstwo jakichś najwyższych punktowanych, prawdziwych wyjaśnień w kwestiach związanych z aborcją, in vitro, demokracją czy Holocaustem.

Polityczność – teoria jako dyskurs

Teoria idzie tu w poprzek – ma widzieć jedność różnicy/poszczególności i tożsamości, śledzić spektakl (gr. *theoria*) ich wzajemnego przenikania się – odkrywania i wymyślenia. Na tym polega robota naukowego ustalania znaczenia niejednoznacznej rzeczywistości społecznej. Im bardziej przedmiot badań oświetlamy, racjonalizujemy, tym większy niejako stawia on nam opór i tym mniej o nim wiemy. Dlaczego? Ponieważ albo go uniwersalizujemy, zamykamy w siatce abstrakcyjnych twierdzeń, albo subiektywizujemy, traktujemy jako obiekt naszych prywatnych lub grupowych, środowiskowych, interesów, socjotechnicznych zadań bądź ukrytych emocji, uprzedzeń lub fascynacji. Rzecz w tym, że teorii od praktyki, tj. od danych doświadczenia, nigdy nie możemy precyzyjnie oddzielić. Ich relacje są sprawą skomplikowaną. Czy to jednak wystarczy, żeby od razu mówić o politycznym zaangażowaniu nauki?

Nie chodzi tu o oczywiste związki między nauką a polityką (naukową) państwa ani o samych naukowców jako działaczy partyjnych lub społecznych. Z punktu widzenia uprawiania teorii, nauki jako praktyki społecznej, polityka jawi się jako polityczność, czyli narzucanie pewnych porządków racjonalności, symboliczne kodowanie świata, które ma wywoływać uległość i posłuszeństwo, według wielu współczesnych teoretyków bardziej brutalne niż jakakolwiek przemoc polityczna. Zawarta w języku, w pojęciach, wiedza przejmując w ten sposób władzę – rodzaj relacji wpływu, narzucania swojej woli – nad ludźmi oraz rzeczami i zjawiskami, które są od nich zależne. Jeśli pojęcia te stają się dla podmiotów społecznych punktami orientacyjnymi w ich życiu publicznym, to oznaczana przez nie rzeczywistość staje się tym, co „polityczne”. W teoretycz-

nej praktyce podważania, wątpienia i nieustannego rewidowania zastanej wiedzy i stanowionych przez nią realiów społecznych przejawia się nie tylko polityczność nauki, lecz także i jej obiektywizm. Wystawianie się na ryzyko krytyki i odrzucenia – udział w tak pojętej grze naukowej jest już sam w sobie gestem politycznym. Pozostaje wobec tego odpowiedzieć tylko na pytanie, na czym polega krytyczność teorii, która sama bierze udział w tworzeniu swojego przedmiotu badań? Dwa możliwe stanowiska w tej sprawie.

Krytyka i hipokryzja

Według pierwszego z nich właściwie każda teoria jest „krytyczna” już chociażby dlatego, że jej twierdzenia nie pokrywają się z doświadczeniem, co pozwala teorii służyć za model lub wskazówkę dla niego, zmieniać/naprawiać sytuację konkretnych podmiotów społecznych. Nauka w założeniu miałaby mieć wgląd w prawdziwszą prawdę o tych podmiotach. Czy jednak zawsze chodzi jej wtedy o emancypację? O eliminowanie ludzkiego cierpienia przez wyjaśnianie, które ma służyć zrozumieniu tego, jak działa świat, jak krępują ludzi zastygłe, prawem lub tradycją usankcjonowane relacje władzy i podległości? Chyba nie. Wydaje się, że częściej teorii zależy na legitymizowaniu status quo i traktowaniu go jako (jedynie) właściwego przedmiotu swojego przedstawiania świata. Legitymizacja ta następuje już na etapie przyjęcia określonych kryteriów naukowości uznanych za jedynie metodologicznie poprawne. Przypuśćmy, że są to metody scjentystyczne, zastosowane do zbadania faktów w odniesieniu do zjawisk humanistycznych i pozahumanistycznych, dziś promowane przez państwowe instytucje finansujące naukę, takie jak np. NCN. Instytucje te (bezkrytycznie) przyjmują kryteria naukowości od nauki uprawianej w Stanach Zjednoczonych, czyniąc przez to niepowetowaną krzywdę humanistyce. Dlaczego tak się dzieje, to temat osobny. Interesuje mnie teraz tylko problem politycznego zaangażowania nauki, która deklaratywnie ma być od niego wolna. Uciekam się do publicystycznego skrótu.

Sukcesy związane z wdrażaniem do praktyki rezultatów amerykańskich nauk społecznych można śledzić chociażby na przykładzie walki z pandemią, którą USA prowadziły w 2020 roku, jako najbardziej dotknięty epidemią kraj na świecie (televizyjne obrazy bezdomnych ułożonych na parkingach z wymalowanymi kwadratami, aby mogli spać w bezpiecznej od siebie odległości), bądź wstrząsających nimi konfliktów na tle rasowym, bądź też – na przykładzie poziomu życia, warunków mieszkaniowych, świadczeń zdrowotnych i emerytalnych – w nomadlandzie (pojęcie Jessiki Bruder). Wszystkie te okoliczności zadziwiająco nie odbijają się jednak negatywnie na kondycji finansowej najlepszych tamtejszych uniwersytetów, prywatnych przedsiębiorstw produkujących wiedzę (budżet Harvardu w 2020 to 50,2 miliarda dolarów, powiększył się w stosunku do poprzedniego roku o prawie jeden miliard) ani nie podważają obiektywizmu uprawianych na nich nauk społecznych. Z tych obserwacji można sensownie wnioskować nie tylko to, że dominujący w amerykańskich naukach społecznych od lat pięćdziesiątych minionego wieku paradygmat scjentystyczny – badania ilościowe, kauzalne i strukturalno-funkcjonalne – wyjaśniania ludzkich spraw jest wobec nich nietrafny, lecz także coś znacznie więcej. Dokumentują one mianowicie zgodę teoretyków na podtrzymywanie i stabilizowanie zastanych relacji władzy. Czynią to oni przez mobilizowanie ludzi do angażowania się w świat i politykę dla osiągnięcia narzuconych im przez państwo celów, niewiele mających wspólnego z ich własnymi przerwianiami i doświadczeniami. W tych warunkach postawa krytyczna naukowców, którzy nadal nie chcą rezygnować z takiej etykiety, ponieważ nadaje im ona rangę „naukowości”, staje się

już tylko hipokrytyczna. To współcześni uczeni-ekspertci, reprezentujący interesy instytucji, na rzecz których pracują. Czują się oni lojalni bardziej wobec polityki prawdy swoich pracodawców niż wobec prawdy, która ma wyzwać i wyciągać na światło dzienne przedmiot ich badań – poszczególnych ludzi, zjawiska i wydarzenia.

Intelektualista wygnaniec

Drugie stanowisko w sprawie teorii krytycznej stoi w opozycji do pierwszego, ponieważ przyjmuje, że jej zadanie polega na obnażaniu i demaskowaniu sztuczności instytucjonalnych porządków społecznych, ich umownej „naturalności” i „oczywistości”. Teoretyk-krytyk w tej roli wzbudza niepokój i poczucie winy u hipokrytów. Pracuje na rzecz umacniania ludzi w wolności wyboru, wyjaśniając im świat – biedę, bezrobocie, migracje czy medialną indoktrynację – po to, żeby go zrozumieli. Świadomy, że jego punkt widzenia pozbawiony jest



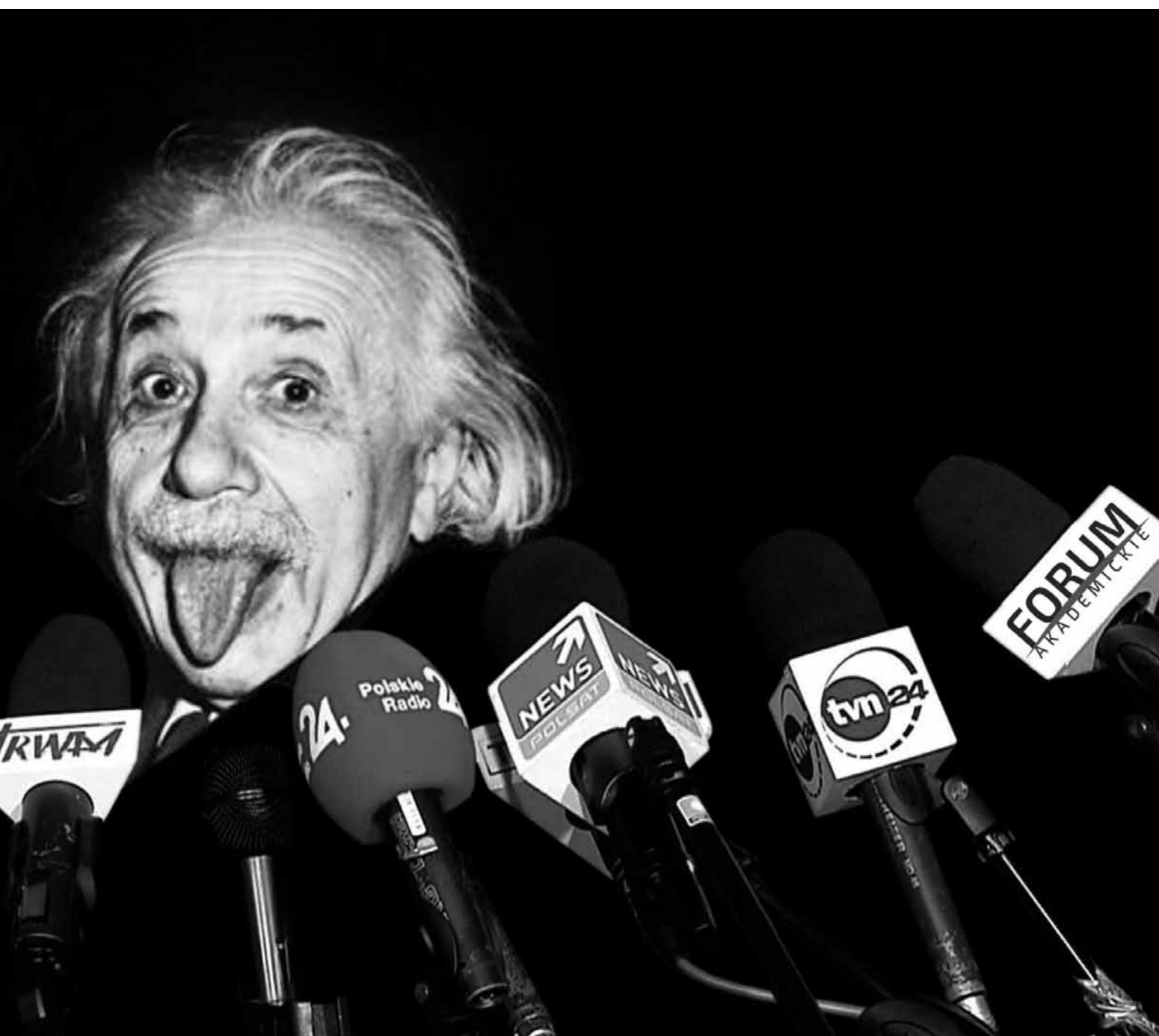
rys. Sławomir Mekeł

uniwersalnej prawomocności, zmierza on do tego, żeby zapobiec ustabilizowaniu dyskursów i praktyk lokalnych, podporządkowaniu ich jakiemś ogólnie, administracyjnie ustalonemu porządkowi. Figura rozdarta sprzecznościami, związana dziś na ogół z lewicą, generacją lat sześćdziesiątych, jest przekonana o tym, że „to, co osobiste, jest polityczne”. Dlatego broni wszelkich różnic grupowych w społeczeństwie politycznie egalitarnym. Wspiera mniejszości, np. genderowe i feministyczne, operując pojęciem polityki zbudowanym na osobowych tożsamościach, idiosynkratycznych doświadczeniach i historiach jednostek, i jednocześnie próbuje budować tożsamość obywatelską, angażować ludzi we wspólne dobro i racjonalną debatę polityczną. Wybierając tak ryzykowny fach, teoretyk-krytyk skazuje się na los wygnańca.

Wygnaniec to figura intelektualisty, któremu od początku – od czasów głośnego *J'accuse* Emila Zoli – przypisuje się udział w walce politycznej. Osobnik „społecznie dryfujący”, który ma

mieć dzięki temu uprzywilejowany wgląd w całość relacji społecznych, i w którego interesie ma być „podsycanie i organizowanie oburzenia, pielęgnowanie go, artykułowanie go i przewożenie mu” (Joseph Schumpeter). W tym celu często posługuje się językiem łamiącym procedury cywilizowanej deliberacji. Zwykle kojarzony jest z lewicą, ale przecież po prawej stronie także występują postaci o podobnych formalnie charakterystykach: pisarze, profesorowie, eksperci itd. Rozdarcie wewnętrznie, szukają wsparcia u silniejszych podmiotów na scenie publicznej. W naszych realiach jedni podsycają i organizują dziś oburzenie na łamach GW, w radiu Tok FM i w TVN, drudzy w „Do Rzeczy”, Polskim Radiu i w TVP. Po to, żeby zmienić świat na swój obraz i podobieństwo, jedni i drudzy nieraz są zdolni są podpisać pakt z diabłem.

Prof. dr hab. Jan P. Hudzik, filozof, kierownik Katedry Teorii Mediów na Wydziale Politologii i Dziennikarstwa UMCS w Lublinie



Nauka czy polityka?

Obszary przyciągania i wykluczania

Tak długo, jak nauki humanistyczne trzymać się będą z daleka od utylitarne-
go, doraźnego czy politycznego zaangażowania, zachowają własną żywotność i odmiennosc.

Wiele lat temu wraz z kilkoma wybitnymi polskimi teoretykami literatury zostałem zaproszony do zorganizowanej na łamach „Znaku” dyskusji dotyczącej kryzysu humanistyki (Zob. *Bankructwo humanistyki?* „Znak” 10 (653) 2009). Toczyła się ona wokół książki Johna M. Ellisa zatytułowanej *Literature Lost: Social Agendas and the Corruption of the Humanities* i wtórującego mu Franka Kermoda. Amerykańscy literaturoznawcy głosili kres humanistyki, akcentując jej skręt w stronę skrajnie lewicowych projektów społecznych, który oznaczał de facto porzucenie badań naukowych na rzecz politycznego zaangażowania (trudno też w tym kontekście nie pamiętać o niezmiernie ważnej książce Allana Blooma *Umysl zamknięty*, ukazującej, z podobnych powodów, rozkład amerykańskiego uniwersytetu). W tym czasie w Polsce cieszyliśmy się jednak z różnorodności języków teoretycznych, bo wyzwoliliśmy się dopiero co z naukowego monoparadygmatyzmu (reprezentowanego w naukach humanistycznych głównie przez szeroko pojęty strukturalizm). Katastrofizm wieszczony przez Amerykanów uznałem wówczas za mocno przesadzony. W Polsce byliśmy dalecy od tego rodzaju problemów. Dziś jednak sytuacja wyraźnie się zmieniła, a obawy wyrażone przez Ellisa okazały się zasadne.

Zakusy i pokusy

Relacje między nauką i polityką są zawikłane, co więcej: wydają się nieusuwalne. W ich historii niejednokrotnie dostrzec można zakusy władzy, która usiłuje wpłynąć na autonomię i wolność nauki (nie ma właściwie takiej dyscypliny, która mogłaby się uchronić przed politycznymi naciskami władzy) czy nawet ograniczać wolność poglądów przedstawicieli samego środowiska naukowego. Świat nauki staje się obiektem podporządkowywania celom ekonomicznym bądź politycznym. Wartość nauki i tego, co naukowe, ma być mierzona utylitaryzmem badań, możliwością wdrażania ich efektów do dziedzin przemysłu czy szeroko rozumianej ekonomii. Łatwo się domyślić, że tego rodzaju oczekiwania, by nie powiedzieć – żądania, możliwe są do spełnienia w naukach przyrodniczo-matematycznych. Zaangażowanie polityczne jest też, od zawsze, stałą pokusą w naukach społecznych, zwłaszcza gdy myślimy o politologii, socjologii czy antropologii kultury. Dzieje się tak dlatego, że są to dyscypliny, które dzięki wsparciu mediów mogą

odgrywać istotną rolę w kształtowaniu świadomości społecznej i w projektowaniu zmian społecznych.

Najbardziej skomplikowana wydaje się sytuacja nauk humanistycznych, które w zdroworozsądkowym osądzie zdają się do niczego nieprzydatne i pozbawione utylitarnych uzasadnień (Wyjątkiem mogą być nauki historyczne, które zawsze – nawet Galla Anonima przywołując – wprzęgane były w system władzy i konstruowanie odpowiadającego mu wyobrażenia historii). Na tej podstawie sądzić by można, że znalazły się one w kryzysowej sytuacji i zostają zmuszone do uzasadnienia swojej przydatności. Ośmielam się twierdzić coś przeciwnego: tak długo, jak nauki humanistyczne trzymać się będą z daleka od utylitarne-
go, doraźnego czy politycznego zaangażowania, zachowają własną żywotność i odmiennosc. Tu odniosę się przede wszystkim do przykładu literaturoznawstwa, bo wydaje się, że skupia ono jak w soczewce zarówno szczególną wartość humanistyki, jak i charakterystyczne dlań obecnie problemy.

Postulowana przeze mnie od lat humanistyka hermeneutyczna stawia przed sobą pytanie o sens egzystencji, który odnajdywany (i gubiony) być może w obliczu czytanych przez człowieka tekstów, metafor, symboli, znaków czy wartości. Człowiek to ten, kto rozumie siebie (swój świat, drugiego człowieka) w obliczu tekstów. To rozumienie nigdy nie jest łatwe, nigdy nie prowadzi też do objawienia prawd bezspornych czy ostatecznych. Rozumienie wydarza się bowiem w dialogu, który jest niekończącą się interpretacją. Zmusza ona do nieustannego (re)pozycjonowania siebie, zakłada gotowość nieustannego „rozumienia inaczej”, gotowość zmiany. W egzystencjalnie rozumianej nauce (humanistyce) nie chodzi jednak o zmianę społeczną, a raczej o zmianę duchową. W tym sensie humanistyka, o której mówię, niewiele ma wspólnego z tak zwaną nową humanistyką. I choć to, co nazywa się nową humanistyką, ma charakter bardzo różnorodny, to w tej różnorodności trudno nie zauważyć jednej wspólnej tendencji, obecnej w jej głównym nurcie: humanistyce chodzi dziś zasadniczo o zmianę społeczną. To humanistyka, która stawia na zaangażowanie – polityczne zaangażowanie. Czyżby czyniła to po to, by uzasadnić swoją wartość w świecie doraźnych zapotrzebowań? Humanistyka zaangażowana, na co zwrócił już kiedyś uwagę John Ellis, nie jest szczególnie zainteresowana rozumieniem świata, ale jego projektowaniem, społeczną zmianą, rozumianą w katego-

riach postępu i emancypacji. To w gruncie rzeczy projekt polityczny, którego źródło odnajdujemy w *Tezach o Feuerbachu* Karola Marksa. W tezie jedenastej padają słowa następujące: „Filozofowie rozmaicie tylko interpretowali świat; idzie jednak o to, aby go zmienić”. Dla odmiany humanistyka hermeneutyka, która wyróżnia interpretację jako zasadniczy sposób bycia-w-świecie, wyraża niezgodę na taki pogląd. Nie jest bowiem tak, że filozofowie „po prostu rozmaicie *tylko* interpretowali świat”. Marks, co zauważył kiedyś Martin Heidegger, lekceważy bowiem jeden istotny fakt: już sama interpretacja pociąga za sobą zmianę świata (choć z pewnością nie w sensie, o który chodzi humanistyce zaangażowanej).

Należałoby wszakże zapytać: czy w życiu naukowym jest miejsce na politykę? Na poziomie życia osobistego – jest. Nikt nie odmawia naukowcowi tego, by mógł żywić te czy inne przekonania polityczne. I uzasadnieniem nie jest tu jakaś arbitralna zgoda ministra czy rektora, lecz fakt, że wszyscy jesteśmy już zrazu zanurzeni w historii, kulturze czy tradycji, które określają nasz stosunek do świata, kształtując nasz światopogląd. Niestety w historii nauki znamy aż nadto liczne przypadki, gdy poglądy (nie wspominając o czynnikach rasowych), „niewłaściwe”, żywione przez naukowców albo po prostu im imputowane, stawały się podstawą do pozbawiania ich możliwości pracy akademickiej (co było normą w totalitarnych Niemczech czy ZSRR). Za „niewłaściwe” poglądy groziło więzienie, a nawet śmierć.

Polityka i literaturoznawstwo

Wydawać by się mogło, że gdy chodzi o literaturoznawstwo, pokusy politycznego zaangażowania, w porównaniu do nauk społecznych, powinny być raczej skromne i słabe. Nic bardziej mylnego. Zauważył to już dawno temu Ellis, który dziwiąc się, że jest zupełnie inaczej, zarzucił literaturoznawcom, że postanowili zostać ekspertami od wszystkiego, nie mając do tego kompetencji. Zarzut ten uznaję za częściowo niesprawiedliwy. Niesprawiedliwy dlatego, że literaturoznawstwo ma dziś bardzo wielowymiarową formułę, która wynika m.in. z poszerzenia zakresu pojęć takich jak literatura, metoda czy teoria. Pojęcia te straciły ostrość, ale znacząco poszerzyły zakres. W konsekwencji literaturoznawstwo jest dziś dziedziną o interdyscyplinarnym charakterze. Ta różnorodność literaturoznawczo zorientowanej humanistyki jest czymś dobrym i poświadcza ona tylko to, że nawet w nauce żyjemy pośród rozmaitych paradygmatów, zwrotów czy mód badawczych, które mogą być względem siebie nawet niewspółmierne (różne matryce dyscyplinarne, odrębne wyobrażenia na temat tego, co jest naukowe oraz – co nie mniej ważne – odmienne wspólnoty interpretacyjne). Niepokój budzi jednak fakt (i tu Ellisowi muszę przyznać rację), że niektóre spośród obecnych w literaturoznawstwie nurtów, zwłaszcza o lewicowym charakterze, stawiają sobie cele daleko wykraczające poza obszar nauki. Wkraczają one za to śmiało i ochoczo w obszar polityki, a za cel stawiają przeprowadzenie istotnej zmiany społecznej. Nurty, o których mowa, wchodzą dziś w zakres tego, co od jakiegoś czasu określane jest mianem nowej humanistyki. Określenie to kontekstowo konotuje znane już z historii i bynajmniej nie neutralne światopoglądowo i aksjologicznie formuły podobne, takie jak: nowy człowiek, nowe społeczeństwo czy nowy język. Czy nowa humanistyka jest rzeczywiście jeszcze humanistyką? Czy nie poświadcza raczej próby zerwania z tym, co za humanistykę zwykliśmy uważać? A może właśnie usiłuje odnowić źródła humanistyki, dając jej nowe tory? Może właśnie jest, jak chce tego Ryszard Nycz w pracy *Nowa humanistyka w Polsce*, pozytywną próbą odpowiedzi na kryzys? A może na odwrót – dostarcza nam właśnie argumentów na rzecz istnienia takiego kryzysu?

Nycz wskazuje trzy główne nurty nowej humanistyki: (1) humanistykę cyfrową, (2) humanistykę usiłującą stworzyć mariaż z naukami przyrodniczymi, wreszcie (3) humanistykę zaangażowaną (politycznie, kulturalnie, ekonomicznie itp.) i poszerza je dodatkowo o posthumanizm i humanistykę artystyczną. Mnie interesuje przede wszystkim nurt trzeci, do którego włączam, inaczej niż Nycz, także posthumanizm (transhumanizm). W obrębie tego nurtu trzeba zwrócić uwagę przede wszystkim na badania rasowo-genderowo-klasowe, postkolonializm, zwrot etyczny, transkulturalizm, transhumanizm (posthumanizm), zwrot ludowy itp. Zasadniczą tendencją, którą obserwować możemy w wymienionych nurtach, jest uznanie, że wszystko jest polityczne.

Zwrot polityczny czy ideologiczny?

To pytanie, na które trudno jednoznacznie odpowiedzieć, bo granica wydaje się tu bardzo delikatna. Powiem tylko tyle, że na potrzeby tego szkicu przez polityczne rozumiem takie działania, które dla stawianych sobie celów usiłują wpłynąć na instytucje życia społecznego i kulturalnego. Przez ideologiczne natomiast rozumiem z kolei takie działania, które charakteryzuje pewna podwójność – wymiar jawny i ukryty. W wymiarze jawnym oferowany jest zestaw wydawałoby się niekontrowersyjnych idei, co do których wydaje się panować zgoda: tolerancja, braterstwo ludzkości, solidarność, pokój, miłość, sprzeciw wobec nienawiści. W wymiarze ukrytym natomiast (choć coraz częściej niczego się już nie skrywa) usiłuje się przemycić inne i ważniejsze cele, na przykład pragnienie demontażu kultury tradycyjnej.

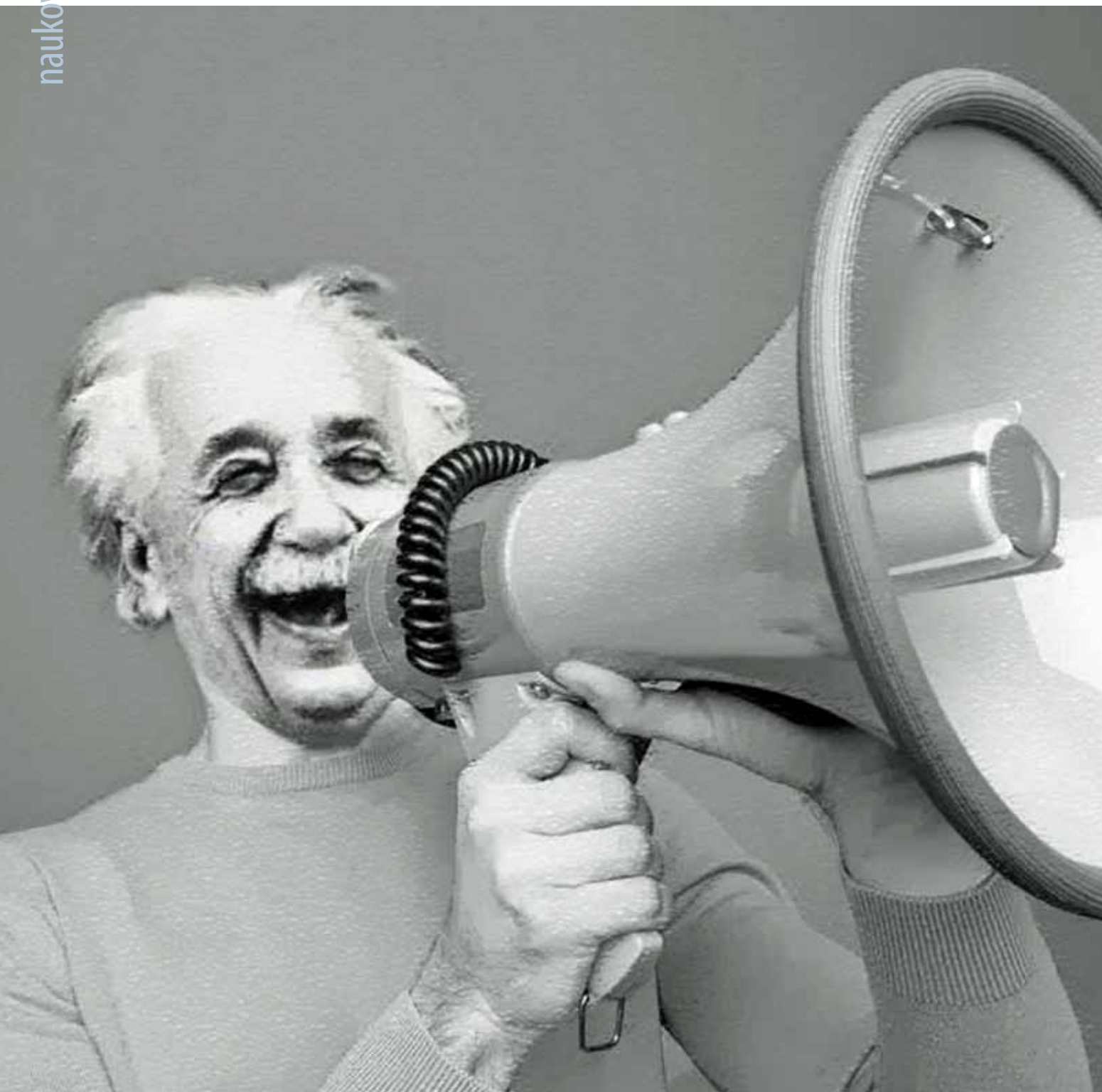
Podstawowa kwestia, jaka rysuje się w odniesieniu do nurtu zaangażowanego, to to, że nie jest on (bo być nie może) nurtem neutralnym światopoglądowo, co skłania do namysłu na gruncie hermeneutyki podejrzeń: czy więc na pewno chodzi tylko o badania naukowe? Gdzie jest granica między badaniami naukowymi a politycznym zaangażowaniem? Czy tę granicę można w ogóle wyznaczyć? Jeśli uznamy nawet istnienie nierozdzielnego związku między nauką i polityką, to istnieje zasadnicza różnica dotycząca tego, czy badania naukowe mają po prostu określone konsekwencje polityczne, czy raczej na odwrót – założenia polityczne (teza) stanowią podstawę badań naukowych. Analogiczny problem towarzyszy nam od wieków w sporach o sztuce. Znana jest na przykład dyskusja, jaką toczyli Fiodor Dostojewski i lewicowy krytyk Nikołaj Dobrołubow. Ten drugi, zwolennik literatury zaangażowanej, opowiadał się za tym, by sztuce przewodziła teza polityczna, a dbałość o artystyczny kształt sztuki jest czymś w gruncie rzeczy drugorzędnym. Dostojewski nie kwestionował społecznych konsekwencji sztuki. Twierdził jednak, że zadaniem pisarza jest dbałość o kształt artystyczny, tylko wtedy bowiem sztuka jest w stanie powiedzieć coś ważnego o świecie.

Zasadniczym rysem nurtu zaangażowanego (reprezentowanego głównie przez krytykę rasowo-genderowo-klasową) i, jak można sądzić, we wszystkich jego postaciach, jest przekonanie, że fundamentalne problemy ludzkości (dzisiaj także nieludzkości, jeśli przywołać tu modny w tym nurcie posthumanizm) należy sprowadzić do problemów politycznych. Najważniejszym zaś tematem politycznym, obsesyjnym wręcz, jawi się ofiarocentryzm, kwestia ucisku klasowego czy imperialnego, nierówności społecznych i ekonomicznych czy nierównego podziału władzy. Kategoria władzy to zresztą obok przemocy słowa fetysze (niejedynie rzecz jasna, bo przecież nie tylko zapominając o Innym – koniecznie wielką literą – a także emancypacji, różnicy, logocentryzmie, fallogocentryzmie itp. itd.), którymi nurt zaangażowany się posługuje, a nazwiska Foucaulta i Bourdieu wymieniane są tu z nabożną czcią

(choć może, mając na uwadze stosunek przedstawicieli tego nurtu do religii, powinno się napisać: z bezbożną czcią?). Istotny wymiar opresyjnego ucisku reprezentuje kultura tradycyjna, zwana w nurcie zaangażowanym patriarchalną; tu mieści się także religia czy tradycyjna rodzina. Stawianie w centrum ofiar nadaje temu nurtowi otoczkę etyczną – ta wąsko rozumiana etyka stanowić ma legitymizację badań/działań ruchu. Powoływanie się na etykę stanowi także rodzaj retorycznego zabezpieczenia. Ktoś, kto nie wyraża zgody na prezentowany w obrębie tego nurtu obraz świata, musi się nieuchronnie spotkać z (absurdalnym) zarzutem, że jest po stronie ucisku (być może nawet faszyzmu – to dość częsta etykieta znakomicie ustawia-

jąca przeciwnika), a tym samym jest przeciwko ofiarom. Najładniejszym określeniem jest nazwanie przeciwnika „konserwatystą” – słowo to jest tu oczywiście tylko pustą etykietą, wielu przedstawicieli nurtu zaangażowanego ma bowiem kłopot z rozróżnieniem między konserwatyzmem, komunitaryzmem i tradycjonalizmem. Tak czy inaczej przeciwnik nurtu zaangażowanego to ignorant intelektualny, który rzekomo nie rozumie także nowoczesnego języka nauki.

Szczególną uwagę zwraca właśnie język, jakim posługują się przedstawiciele nurtu zaangażowanego. Z jednej strony jest to język dekonstrukcji, polegającej na obalaniu binarnych opozycji rządzących naszym myśleniem (prawda/fałsz, wewnątrz/zewnę-



trze, istota/pozór, męskość/kobiecość, dobry/zły itd.), z drugiej – język politycznej poprawności. Oba te języki służą społecznej zmianie. Język dekonstrukcji pokazuje, że pojęcia, kategorie czy wartości zawsze uwikłane są w swoje przeciwieństwa i mówią co innego niż mówią; i wiele w tym prawdy. Dekonstrukcyjne rozpoznania są często odkrywcze i potrzebne, gdy jednak służą społecznej zmianie, stają się narzędziem walki ideologicznej (prawda jest więc rzekomo tylko konstrukcją retoryczną służącą władzy, patriotyzm to w gruncie rzeczy groźny nacjonalizm itp.): binarne opozycje nie tylko nie są żadnym fundamentem kultury i języka, ale wyrazem ich rzekomo opresyjnego charakteru. Stąd też i szczególnie wyróżnienie języka

poprawności politycznej. Niegdyś, jeszcze w latach osiemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, miał on służyć kulturze politycznej i wyrażać szacunek do drugiego człowieka, dziś bierze udział w demontażu kultury Zachodu i służy zmianie społecznej: oznacza ona przecież nieuchronnie zmianę języka. Niebezpieczeństwo związane z językiem poprawności politycznej widać szczególnie wtedy, gdy zmiany nie wynikają z praktyk językowych, lecz narzucają się z zewnątrz, za pośrednictwem różnych instytucji, wśród których, niestety, wymienić należy również uniwersytet.

Problemy, o których mowa, dotyczą także innych kierunków nurtu zaangażowanego, niestety nie ma tu miejsca, by szczegółowo je charakteryzować. Wystarczy powiedzieć, że kontrowersje dotyczą obecnie zwrotu etycznego, transkulturowego czy transhumanistycznego (posthumanistycznego). Zwrot etyczny w badaniach literackich, obok zwrotu lingwistycznego i narratystycznego, to jedno z najważniejszych i najciekawszych zjawisk we współczesnej humanistyce. Niejednokrotnie ścierał on jednak na siebie krytykę, bo badacze związani z tym zwrotem nader łatwo zapominali o badaniach literackich (i artystycznym kształcie dzieła) i zanurzali się w ideologicznym dogmatyzmie i politykierstwie. Podobne niebezpieczeństwo niemal nagminnie towarzyszy zwolennikom badań transkulturowych. Rozpoznanie transkulturalistów o hybrydyzacji i przemieszaniu kulturowym bywają niezwykle odkrywcze i cenne (zob. np. błyskotliwe rozważania Wolfganga Welscha). Kontrowersje pojawiają się wtedy, gdy w ślad (a może wraz?) za tymi rozpoznaniem idzie projekt społecznej zmiany i podważanie pojęcia narodu (które stało się ostatnio czymś wstydliwym) i postaw patrio-

tycznych (patriotyzm nazywany jest dziś prześmiewczo turbo-patriotyzmem; przeciwstawić mu można projekt pozytywny – softpatriotyzm. Z tego, co się można zorientować, polega on głównie na segregowaniu śmieci).

Bardzo ciekawym i modnym ostatnio nurtem jest również transhumanizm. Nie można odmówić mu racji w zakresie konieczności poszerzenia kategorii człowieka o nowe wymiary. Leciwą już nieco triadę rasa-gender-klasa wypiera triada rzeczy-zwierzęta-maszyny (inspiracją stał się tu fascynujący tekst Martina Heideggera *List o humanizmie*). Także jednak i w tym przypadku pojawiają się poważne kontrowersje. Z jednej strony nurt ten, radykalnie negując naturę i absolutyzując kulturę, wcale nie dowodzi odrzucenia antropocentryzmu, tylko w istocie go potwierdza. Bardziej kontrowersyjne jest jednak to, że usiłując wyeliminować kategorię intencjonalności, transhumanizm podważa podstawę etyki, a eliminując pojęcie sensu, zostawia człowieka całkowicie osamotnionego, o czym znakomicie pisał Michel Houellebecq w *Możliwości wyspy*. Należy mieć nadzieję, że zorientowanej transhumanistycznie nauce nie uda się stworzyć nowego człowieka wyposażonego nie tylko w technologiczne neuroprotezy, ale i przenieść go w postaci cyfrowej kopii do rzeczywistości wirtualnej, gdzie stanie się nieśmiertelny. Jego samotność stanie się wtedy wieczną.

Zaskakujące wydać się mogą dwie rzeczy: po pierwsze, nurt zaangażowany, piętnując wszędzie władzę, przemoc i opresję, sam posługuje się często językiem opresyjnym. Po drugie, kwestia logicznie (naukowo) niejasna: negując pojęcie prawdy i dyskredytując wartość jej poszukiwania, traktuje własne rozpoznania jako jeśli nie absolutne, to w najlepszym razie – by zaproponować jeszcze jeden „trans” – transhistoryczne. Co oczywiście nie jest prawdą.

Wiedza i władza

Pora na kilka słów podsumowania. Co jest właściwie zadaniem nauki: poznawać świat czy go zmieniać? Czy chodzi o poszukiwanie prawdy, czy raczej o wpływ na zmianę postaw? Odpowiedź na te pytania nie jest wbrew pozorom jednoznaczna, bo sprawy te wcale się nie wykluczają. Jednym z istotnych rozpoznań w nauce jest to, że nie mamy bezpośredniego i jednoznacznego wglądu w rzeczy same i ich naturę. Pojęcie poznania zastępujemy – jak dzieje się to w tradycji fenomenologiczno-hermeneutycznej, do której sam przynależę – pojęciem rozumienia. Świat udostępnia się nam za pośrednictwem języka i interpretacji. Interpretacja jednak, poszukując prawdy (choć nie prawdy w sensie klasycznym), sama zakłada już zmianę świata i postaw. Dzieje się tak dlatego, że dzięki interpretacji, będącej zawsze formą dialogu poszukującego porozumienia, zmuszeni jesteśmy stale rezygnować z własnego stanowiska, zmieniać się czy nawet nawracać (konwersacja jest nieodłączna od konwersji). Zmiana, o której jednak mówię, nie ma nic wspólnego ze zmianą społeczną w politycznym sensie; wyraża ona bowiem z pojmovania uniwersytetu jako wspólnoty oraz z istoty nauki: jej wolności, bezinteresowności i zaciekawienia światem. To wszystko możliwe jest wyłącznie wtedy, gdy nauka – jak trafnie ujął to Allan Bloom – nie pojmuje się w kategoriach służby wobec jakiegokolwiek władzy ani, tym bardziej, nie podporządkowuje się ślepo głosowi ulicy. Wiedza, która zaprzeda się użyteczności publicznej, implikuje nieuchronnie kryzys idei uniwersyteckiej, wynikający z ustanowienia związku między wiedzą i władzą.

Prof. dr hab. Michał Januszkiewicz, teoretyk literatury, Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Od „punktozy” do tożsamości cyfrowej

Zmiany komunikacji naukowej

Praktyki komunikacji naukowej ulegają głębokim przeobrażeniom nie dlatego, że drapieżne czasopisma skorumpowały środowisko badaczy, ale dlatego że ogromny przyrost podaży artykułów naukowych nie znalazł miejsca u zasiedziałych wydawców.

Zbliżająca się ewaluacja jednostek naukowych wywołuje coraz gorętszą debatę na temat punktacji czasopism. Pobudza ją jeszcze niedawna, selektywna zmiana punktacji niektórych czasopism, a także nagłośnienie migracji niektórych środowisk w kierunku czasopism budzących podejrzenie o praktyki drapieżne. Stawka wydaje się wysoka, ponieważ powiązanie uzyskanej przez jednostki naukowe punktacji z uprawnieniami naukowymi oraz środkami finansowymi tworzy pseudokorporacyjne środowisko zachowań naukowców. Pseudokorporacyjne dlatego, że korporacje unikają posługiwania się pojedynczymi miarami, wiedząc jak bardzo sprzyjają one krótkowzrocznym zachowaniom menedżerów i pracowników. Pomiar realizacji strategii współczesnych korporacji opiera się na zestawie wskaźników, by równoważyć potrzeby długoterminowej żywotności organizacji z krótkoterminowymi potrzebami jej interesariuszy.

Jakkolwiek burzliwa, debata o punktacji kryje w sobie znacznie ważniejszą dyskusję o sposobach komunikacji w nauce. Komunikacja w nauce służy informowaniu o osiągnięciach naukowych, a od badacza w coraz większym stopniu oczekuje się skutecznego komunikowania z różnymi grupami odbiorców. Trzeba więc podkreślić, że celem jest wpływ na odbiorców, tj. innych badaczy, studentów czy szerszą publikę, aby zapoznali się oni z dziełem, zrozumieli i zareagowali. Wobec tego akt publikowania nie może być wyłącznym celem ani też wyłączną miarą pracy naukowca. Trzeba uwzględnić wpływ publikacji, czemu w sensie liczbowym służy naukometria, a w sensie jakościowym zakres, głębokość i trwałość oddziaływania na rozwój wiedzy.

Komunikację w nauce rewolucjonizują takie globalne zjawiska jak wzrost liczby badaczy i ośrodków naukowych, pojawienie się dynamicznej konkurencji na rynku wydawnictw naukowych, ekspansja sieci społecznościowych dla naukowców, profesjonalistów i społeczeństwa. Ta ostatnia zmiana zasługuje na być chyba na znacznie większą uwagę w przyszłości, bowiem wszyscy, również my, naukowcy, zyskujemy dzięki niej swoistą tożsamość cyfrową i narzędzia celowego jej kształtowania.

Wzrost podaży prac naukowych i jego skutki

Jednym z ważnych argumentów za wprowadzeniem okrytych już złą sławą „slotów publikacyjnych” było dążenie do skupienia wysiłków na publikacjach jakościowo lepszych, mających szansę na uzyskanie rezonansu w globalnej nauce. Z kolei deprecjonowanie monografii uzasadniane było podczas prac nad tzw. Konstytucją dla Nauki tym, że podstawowy współcześnie sposób komunikacji naukowej to artykuł w rzetelnym czasopiśmie. Presja ilościowa skupia uwagę polskiego środowiska, bowiem „punktozę” rozumianą jako nadprodukcję mało wartościowych publikacji zamieniono na „punktozę” wyrażoną dążeniem do publikowania w tych miejscach, które dają najlepszą kombinację czasu, łatwości publikacji oraz punktacji. Wątek liczby publikacji wart jest głębszego zastanowienia, ponieważ to presja rosnącej podaży prac naukowych na świecie może być podstawową przyczyną wszystkich innych zmian.

Niełatwo znaleźć dane o światowej produkcji naukowej mierzonej liczbą publikacji. Według STM (International Associ-

ation of Scientific, Technical and Medical Publishers), która zrzesza 150 wydawców z 21 krajów i odpowiada łącznie za dwie trzecie wszystkich publikacji naukowych, aktywnych publikacyjnie badaczy jest na świecie 7-8 milionów, a łączna liczba artykułów publikowanych rocznie przekracza 3 miliony. Te liczby warto ustawić w perspektywie, ponieważ od 1665 do 2009 roku opublikowano ponad 50 milionów tekstów, z rocznym względnie stałym tempem wzrostu 3-3,5%, które w ostatniej dekadzie przyspieszyło do ponad 4%. Do stałego tempa wzrostu w krajach zachodu dołączyły bowiem Chiny, których udział w globalnej liczbie opublikowanych artykułów jest obecnie wiodący i wynosi 19%. Szybki wzrost następuje także w Indiach, gdzie tworzy się już ponad 5% liczby publikacji. Wprowadzenie podobnych do polskich reform w wielu innych krajach doprowadziło do skokowego wzrostu podaży tekstów kierowanych do wydawnictw naukowych.

Tymczasem zasiedziałe wydawnictwa, takie jak Elsevier, Wiley, Sage czy Springer, nie zareagowały odpowiednim wzrostem objętości czasopism ani liczby tytułów, pozostawiając ogromną nową podaż artykułów bez możliwości publikacji. Kategoria zasiedziałych firm w naukach o zarządzaniu oznacza istniejące na rynku firmy, zwykle o dłuższej historii, znacznym udziale w rynku i związanej z tym skali działalności oraz standardach technologicznych. Zasiedziałe firmy z niechęcią reagują na zmiany, przejawiają także osobliwą niezdolność do skutecznej reakcji na przełomowe innowacje. Przypisuje się im wpływ na kształtowanie reguł rynkowej gry, tu: „gry publikacyjnej”. To zasiedziałe wydawnictwa zdecydowanie bronią modeli peer review w procesie publikacji oraz subskrypcji w procesie dystrybucji. Obydwa te modele dają im wielką przewagę: wobec autorów i recenzentów, wobec bibliotek nabywających całe pakiety dostępu do zasobów wydawców w zamian za bardzo wysokie opłaty. Przewaga rynkowa oznacza wielkie zyski i brak zainteresowania zmianami, ewentualnie adaptację pozorną.

Bezład zasiedziałych wydawców w reagowaniu na skokowo rosnącą podaż artykułów naukowych spowodował pojawienie się nowych, przedsiębiorczych graczy. Powstały bardzo liczne wydawnictwa naukowe zmierzające do zagospodarowania tej podaży, a pośród nich także potencjalnie wydajający kilkanaście tytułów. Część tych wydawnictw budzi wątpliwości odnośnie do rzetelności naukowej, dlatego że proces publikacji jest w nich bardzo szybki (liczony w dniach, a nie w miesiącach czy latach), objętość poszczególnych numerów jest większa niż całych roczników zasiedziałych czasopism, a model biznesowy opiera się na opłatach wnoszonych przez autorów tzw. APC (Article Processing Charge) lub OAC (Open Access Charge). Oprócz przyciągania autorów, nowi wydawcy stoją przed wyzwaniem przyciągnięcia recenzentów. Pojawienie się ogromnej liczby badaczy z krajów rozwijających się powoduje więc presję na proces recenzji, który ze względnej równowagi kilkanaście lat temu stał się strukturalnie przeciążony. Wobec tego przedsiębiorcze wydawnictwa tworzą zachęty dla recenzentów, w postaci rabatów czy voucherów na przyszłe publikacje. Tworzą więc nowy „ekosystem publikacyjny”, odrębny od zasiedziałego i konkurencyjny wobec niego, ponieważ lepiej odpowiada na potrzeby publikacyjne w warunkach „publish or perish”.

Inną odpowiedzią na potrzeby szybkiej publikacji są całkowicie cyfrowe serwisy, takie jak arXiv.org. Na takiej platformie proces recenzji nie poprzedza publikacji, rozpoczyna się on wraz z dyskusją naukową po opublikowaniu. Celem tego rozwiązania jest przyspieszenie komunikacji naukowej oraz przekazanie roli recenzenta w ręce każdego czytelnika. Przy tej okazji autorzy odzyskują kontrolę nad czasem publi-

kacji, jej formą oraz dostępnością. Zatem obok zasiedziałego systemu komunikacji naukowej, ale także obok systemu przedsiębiorczych wydawnictw, powstała przestrzeń całkowicie nieodpłatnej komunikacji naukowej. To interesujące zjawisko zasługuje na głębsze rozpoznanie, dlatego że opiera się na samoorganizacji, wolontariacie, szczodrości i uczestnictwie, a wyklucza pośredników (wydawców, redaktorów, recenzentów) oferujących niewielką w oczach badaczy wartość dodaną.

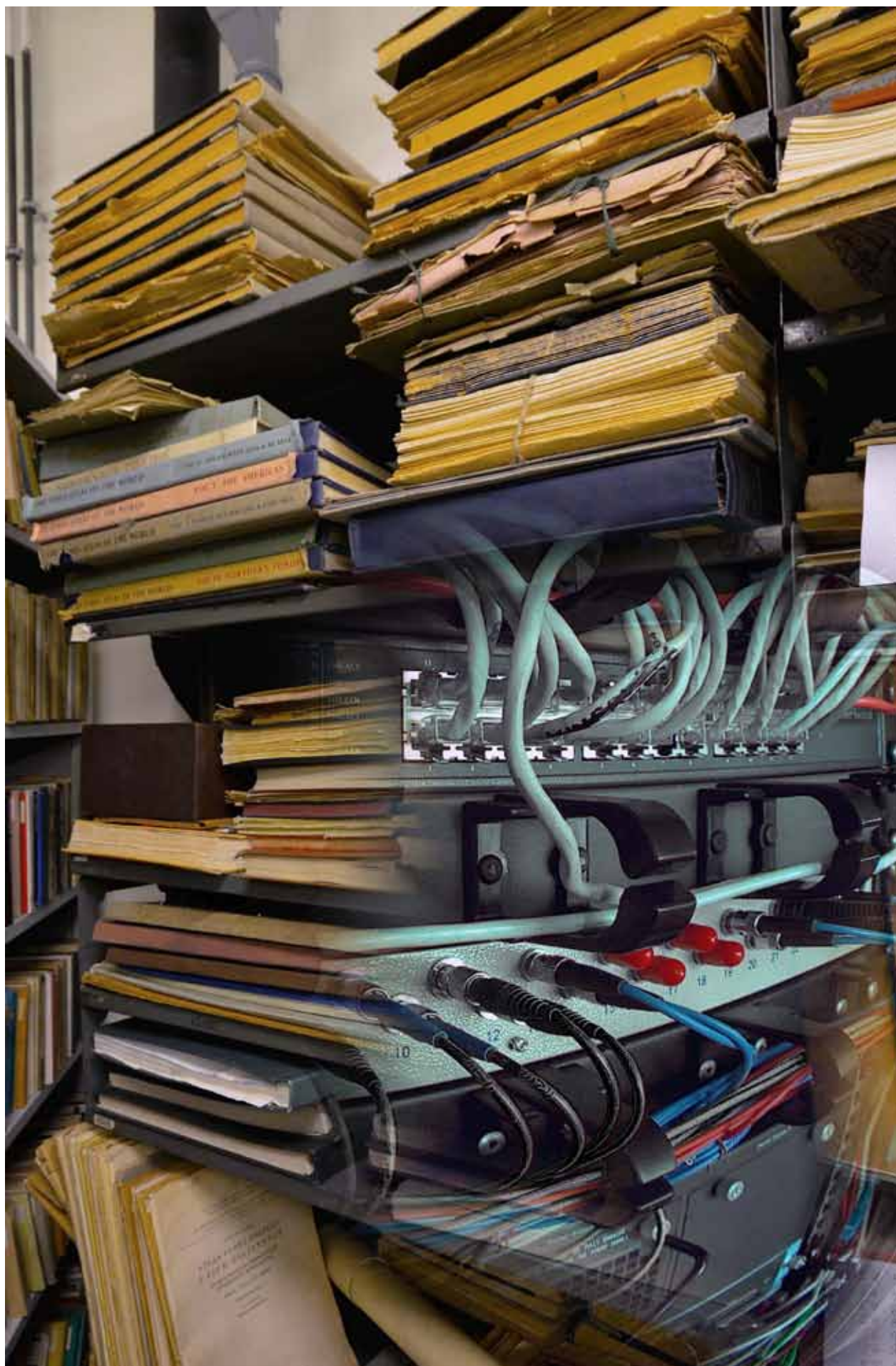
Praktyki komunikacji naukowej ulegają głębokim przeobrażeniom nie dlatego, że drapieżne czasopisma skorumpowały środowisko badaczy, ale dlatego że ogromny przyrost podaży artykułów naukowych nie znalazł miejsca u zasiedziałych wydawców.

Cyfryzacja systemu komunikacji naukowej

System komunikacji naukowej obejmuje akceptowane formy, praktyki i instytucje. Jego rozwój znaczący rozwój technologii: pojawienie się pisma, bibliotek, druku, czasopism naukowych, katalogów naukowych, a ostatnio cyfryzacja. Technologia skokowo obniża koszt wydania prac, umożliwia wielokrotne zwiększenie ich dostępności, poszerzając krąg odbiorców, i przyczynia się do przyspieszenia rozwoju nauki. System komunikacji naukowej oparty na artykułach naukowych ma już ponad 350 lat, ponieważ datować go można na rok 1665, kiedy to ukazał się pierwszy numer „Le Journal des sçavans”. Otworzyło to drogę szybszej, tańszej i szerszej komunikacji o odkryciach, sprawozdaniach z publikowanych dzieł, trwającą do dziś. Już wówczas pojawiał się argument o nadmiernym, a przez to szkodliwym, przyroście liczby publikacji, wzmagający potrzebę zmiany sposobu komunikacji naukowej.

Formy komunikacji są w nauce standaryzowane, co wyraża się w oczekiwanej postaci tekstu naukowego, tj. jego objętości, układzie, niezbędnych elementach treści itd. Te oczekiwania mogą być wprost sformułowane, na przykład w postaci wytycznych odnośnie do kształtu artykułów naukowych przyjmowanych przez czasopisma. W naukach o zarządzaniu objętość typowego artykułu mieści się w przedziale od 6 do 10 tysięcy słów, a każda jego część jest standaryzowana. Oczekiwania odnośnie do formy komunikacji naukowej mogą też być milczące, trudne do jednoznacznego określenia. Odnosi się to do monografii, których objętość czy struktura powinny odpowiadać pewnym wzorcom. Zmienność wytycznych prawnych, bezład praktyk wydawniczych oraz powolna ewolucja oczekiwań recenzentów powodują, że nieraz trudno odgadnąć, jakie dokładnie oczekiwania ma spełnić monografia habilitacyjna czy tzw. książka profesorska. Nota bene samo sformułowanie „książka profesorska” odnosi się do zamierzonego warunku ustawowego, dziś już dawno nieobowiązującego w sensie formalnym, a jednak milcząco oczekiwanego od kandydatów do tytułu profesora przez recenzentów. Zatem formalizacja komunikacji naukowej nie zawsze jest wprost wyrażona, zmienia się, a jej ewolucja jest powolna i nierównomierna.

Praktyki komunikacji odnoszą się do akceptowanych ścieżek dotarcia do odbiorców, a mogą to być standaryzowane publikacje naukowe, formalne wystąpienia konferencyjne czy mniej formalne interakcje w trakcie konferencji. Ponadto istnieją liczne niestandardowe formy komunikacji naukowej: eseje, publicystyka, wypowiedzi radiowe i telewizyjne. Ważni są instytucjonalni uczestnicy tego procesu: redaktorzy czasopism naukowych, recenzenci, wydawcy, menedżerowie czasopism, organizatorzy konferencji, dyskutanci itd. Mimo standaryzacji form komunikacji naukowej zachowania instytu-



Fot. Stefan Ciechan

cyjnalnych uczestników są w różnym stopniu wrażliwe na zmianę oczekiwań odnośnie do komunikacji naukowej. Nawet tak głęboki wstrząs, jakim jest pandemia, nie zmienił znacząco praktyk komunikacji np. konferencyjnej, a jedynie przeniósł je na platformy online. Rezultatem jest głęboki spadek liczby uczestników konferencji, często głębszy niż połowa stanu sprzed pandemii, ponieważ sprowadzenie konferencji do formalnej komunikacji, a pozbawienie jej uczestników możliwości interakcji nieformalnych okazuje się mało akceptowalne.

Tym niemniej ostatnie kilka lat rozwoju technologii komunikacji cyfrowej ma ożywczy wpływ na komunikację naukową. Zasiadali wydawcy odkrywają, że podcasty, filmiki z krótką prezentacją publikacji, kilkuminutowe wywiady, a nawet spotkania z autorami online mogą znacząco poszerzyć zasięg publikacji. Atrakcyjny podcast to wielkie wyzwanie, ponieważ forma komunikacji jest zupełnie inna, dostępne środki bogatsze, a jednocześnie brak standardów, wzorców czy kształcenia badacza w tym kierunku. Trafienie do szerszego kręgu odbiorców autor może osiągnąć przez serwisy społecznościowe dla naukowców, takie jak Researchgate.net czy Academia.edu. Ułatwienie polega na bezpłatnym dostępie dla zarejestrowanych, a często także niezarejestrowanych odbiorców. Takie serwisy społecznościowe przełamują monopol zasiadających wydawnictw, znoszą bariery finansowe i fizyczne dostępu do literatury akademickiej. Dość przypomnieć, że wypożyczenie pojedynczego artykułu w czasopiśmie wydawców zasiadających to koszt kilkudziesięciu złotych, a wejście do baz danych uniwersytetów wymaga zwykle dostępu z ich własnej sieci. Ponadto czas dostępności jest znacznie przyspieszony: o ile kolejka artykułów w czasopiśmie zasiadających wydawców bywa liczona w latach, o tyle w serwisach społecznościowych można opublikować preprint czy wersję autorską zaakceptowaną przez wydawnictwo. Okazuje się dalej, że serwisy społecznościowe, takie jak Facebook, LinkedIn czy Twitter, mogą efektywnie wspierać komunikację naukową. Wpisy autorów publikacji z odnośnikiem do pełnego tekstu artykułu, a nawet sama zapowiedź zyskują natychmiastową widoczność wśród znajomych. Niektóre środowiska tworzą otwarte grupy, jak na przykład „Polscy naukowcy w dziedzinie nauk o zarządzaniu” na Facebooku, gromadząc autentycznie zainteresowanych odbiorców. Z kolei miejsce fizycznych konferencji zajmować mogą webinaria. One również znacząco poszerzają krąg odbiorców, ponieważ są zwykle krótkie, często bywają nagrane, wobec czego potencjalny odbiorca może do nich wrócić w dogodnym czasie, stwarzając możliwość moderowanej interakcji dzięki pytaniom zadawanym w pisemnej sekcji platform nadawczych. Jeszcze większą swobodę komunikacji stwarzają blogi i vlogi.

Cyfrowa komunikacja naukowa skutecznie zmniejsza trzy największe bariery: koszt, czas i zasięg. Redukcja kosztów jest bardzo głęboka, ponieważ sprowadza nakłady tylko do czasu opracowania wpisu czy nagrania przez autora, a dla odbiorcy takie publikacje pozostają zwyczajnie bezpłatne. Redukcja czasu jest gigantyczna, ponieważ znika interakcja z recenzentem, kontrola redaktora, ograniczenia fizyczne wydania czasopism/monografii. Właściwie cyfrowa komunikacja naukowa staje się komunikacją „instant”, a jej zasięg jest ograniczony tylko dostępnością Internetu. Jednocześnie autor może trafić do zainteresowanych osób, a one z kolei mogą wyszukiwać interesujące prace na wiele różnych sposobów: w wyszukiwarkach akademickich, w otwartych wyszukiwarkach czy mediach społecznościowych.

Tożsamość cyfrowa badacza

Szansom zwykle towarzyszą jednak wyzwania, które warto rozpoznać. Niezmiernie ważnym w czasie wyzwaniem jest indeksowanie prac naukowych. Słynny katalog Royal Society of London opracowany w połowie XIX w. skutecznie spełniał rolę porządkowania wszystkich prac naukowych publikowanych począwszy od 1800 r. wedle nazwisk autorów. Digitalizacja baz danych doprowadziła do powstania takich wyszukiwarek akademickich jak EBSCO, PROQUEST czy scholar.google. Pojawiła się potrzeba opracowania identyfikatora cyfrowego dla pojedynczego badacza, czym zajmuje się organizacja ORCID (Open Researcher and Contributor ID), a także profilowania autora w źródłach otwartych – takich jak scholar.google, wydawniczych – takich jak Scopus czy Publons oraz społecznościowych – takich jak ResearchGate lub Academia.

Badacz ma niewielki wpływ na indeksowanie prac, ma natomiast znacznie większy wpływ niż kiedykolwiek na kształtowanie własnej tożsamości cyfrowej. To nowe pojęcie, właściwe nowej technologii, daje nam kontrolę nad wizerunkiem, widocznością, raportowaniem na potrzeby ewaluacji, podejmowaniem roli recenzenta czy wchodzeniem we współpracę naukową. Wyzwanie, przed którym wszyscy stoimy, to celowe, instrumentalne kształtowanie własnej tożsamości cyfrowej. Punktem wyjścia jest obecność w cyfrowej sferze nauki. Efektywne strategie wymagają systematycznego korzystania z narzędzi cyfrowej komunikacji, a także powiązania ich dla większej skuteczności.

Niech za przykład posłuży komunikacja cyfrowa autora w związku z publikacją książki pt. *Strategiczna krótkowzroczność menedżerów*. Jej wydaniu towarzyszyło nagranie filmików dostępnych na profilu Facebook Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz profilu autora, a także dłuższej wersji dostępnej na Youtube. Ponadto w mediach społecznościowych przeprowadzono emisję moderowanych rozmów o książce. W kolejnych miesiącach tematyczne seminaria, debaty oraz keynote speech zapowiadane były w profesjonalnej sieci społecznościowej LinkedIn oraz otwartej sieci społecznościowej Facebook. Regularność udostępniania treści cyfrowych zwiększa widoczność książki. Otwiera także możliwość odkrywania wcześniejszych prac, zainteresowań i bieżących badań autora przez różnorodnych odbiorców: badaczy, czytelników, praktyków. Słowem kształtuje cyfrową tożsamość badacza przy wykorzystaniu profili oraz treści w mediach społecznościowych.

Tak jak naukowiec-pisarza dzieł monograficznych zastępować zaczął 350 lat temu naukowiec-pisarz artykułów, tak dziś jesteśmy świadkami zastępowania naukowca piszącego do czasopism przez naukowca – twórcę zawartości dla platform cyfrowych. Należy spodziewać się, że ten proces będzie znacznie szybszy niż 350 lat. Technologia cyfrowa umożliwia wyswobodzenie się z logiki publikowania, w której akt wydania pracy był najważniejszy, a zachęca do przyjęcia logiki rozmowy, w której komunikacja jest autentyczną rozmową. Daje narzędzia do rozwiania iluzji „punktozy” przez uzyskanie znacznego zasięgu i autentycznego wpływu prac badacza. Dobrze być czynnym uczestnikiem cyfrowej rzeczywistości, kształtując własną tożsamość cyfrową naukowca, a nie tylko świadkiem tego nieuchronnego procesu.

Prof. dr hab. Wojciech Czakan, prof. zw. UJ,
kierownik Katedry Zarządzania Strategicznego,
Uniwersytet Jagielloński
w Krakowie

Rozmowa z prof. Piotrem Borkiem, rektorem Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie

Złożyłem deklarację i chcę się z niej wywiązać

Zmiany mają doprowadzić do zrównoważenia sytuacji finansowej uczelni. Wyobrażam sobie uczelnię z pozytywnym bilansem i nadwyżką środków, poduszką finansową. Chcę stworzyć warunki do spokojnej i wydajnej pracy naukowej i dydaktycznej.

Jaka jest pana diagnoza sytuacji UPK? Czym pan wygrał wybory z prof. Karolczakiem, który doprowadzając do świetnego wyniku kategoryzacji i do udziału UP w konkursie IDUB, postawił uczelnię w gronie krajowej elity?

Pana pytanie wymaga sprostowania. To nie działania ówczesnego rektora Kazimierza Karolczaka tylko poprzedniego rektora Michała Śliwy spowodowały, że uzyskaliśmy pięć kategorii A i dwie B. To są wyniki sprzed pięciu lat, zatem to sukces jego poprzednika, który bardzo mocno naciskał na dziekanów, dyrektorów instytutów, kierowników katedr. Naciski i częste oceny, nieraz z zaskoczenia, doprowadziły do sukcesu. Druga rzecz: w przedwyborczym pojedynku zaproponowałem inny model funkcjonowania uniwersytetu. Chciałem przywrócić strukturę wydziałową, zwłaszcza poprzez reaktywowanie Wydziału Pedagogiki i Psychologii. Doszło bowiem do przedziwnej sytuacji, gdy na Wydziale Nauk Społecznych mój poprzednik zgrupował niemal 50 procent kadry naukowo-dydaktycznej. Wydział stał się molochem trudnym do zarządzania i opanowania. Odtworzyłem już co prawda nie siedem, ale pięć wydziałów. To zresztą pojawiło się w moim programie wyborczym, który staram się realizować na tyle, na ile to możliwe w okresie pandemii. Na pewno doceniono też propozycję większej dyscypliny nad finansami, ponieważ pod koniec kadencji prof. Karolczaka widać było, że wpadamy w spory deficyt. Odłożenie składek ZUS ukrywano, wyszło to na jaw podczas kampanii wyborczej. Nie były płacone od kwietnia – oficjalnie skorzystano z zapisów tarczy, co pozwalało odłożyć ich zapłatę na kolejny rok. Moim zdaniem nie było do tego podstaw, bo subwencja sphywała z miesiąca na miesiąc. Odprowadzanie składek ZUS jest podstawowym obowiązkiem pracodawcy. Uważam, że źle zarządzano finansami. Doszła też kwestia remontu budynku na Podbrzeziu – brakowało pieniędzy i próbowano dofinansować tę inwestycję z tarczy. To spowodowało niepewność wśród pracowników, że coś złego dzieje się z polityką finansową i zarządczą, tym bardziej że mieliśmy wtedy scentralizowany model zarządzania finansami. Teraz wprowadziliśmy decentralizację finansów i widzimy, ile

poszczególne instytuty mają pieniędzy i jak powinny profilować zarządzanie budżetami. Nie odpowiadał mi model scentralizowanego, jednoosobowego zarządzania uczelnią. Wzmocnienie roli organów kolegialnych też zapowiedziałem w kampanii wyborczej. Odsunięcie dziekanów czy dyrektorów instytutów od decyzyjności powodowało jakiś rodzaj alienacji ówczesnych władz. Doszły do tego problemy finansowe i żyliśmy ponad stan. Nadal tak żyjemy, ale to się wkrótce zmieni.

Jaki miał pan plan na reformę uczelni? Przywrócenie struktury wydziałowej, przywrócenie kompetencji zarządczych dyrektorem i dziekanom, decentralizacja zarządzania finansami na poziomie podstawowych jednostek czyli instytutów...

Tak.

A co z inwestycjami? Wspomniał pan o problemach z finansowaniem remontu jednego budynku.

Wspomniane Podbrzezie znajduje się w świetnej lokalizacji na Kazimierzu. Tam rewitalizowaliśmy dawny budynek rzemieślni, w którym znajduje się m.in. Wydział Sztuki. Ówczesny dyrektor finansowy, doktor nauk ekonomicznych Krzysztof Wąsowicz, zatrudniony od września 2020 roku, pokazał, że ten deficyt sięgał 20 mln złotych. Była jeszcze jedna inwestycja, która nie doczekała się realizacji – chodzi o halę sportową, na którą nas nie było stać. Ministerstwo Sportu deklarowało pomoc w granicach 20 mln zł, a MEiN obiecywało kilkanaście milionów. Do całości brakowało ok. 10 mln, które mieliśmy dołożyć z własnych zasobów.

Dostaliście dużo pieniędzy w obligacjach, ok. 50 mln.

Tak. Dostaliśmy sporo, bo 44,5 mln zł. W poprzedniej kadencji spieniężyliśmy ok. 7 mln, chyba właśnie na tę inwestycję na Podbrzeziu. Podpisywałem akty notarialne na pozostałe działki pod projekt hali sportowej, które kupowaliśmy od miasta. Okazało się, że w stosunku do nich są roszczenia. Tłumaczono mi, że mogą się one dezaktualizować. Podpisywałem warunkowe akty – to było w nich zapisane – gdyż osoby, które miały roz-

czenia do tej ziemi, w przypadku wygranej w sądzie mogłyby się domagać milionowych odszkodowań. To była też przesłanka przeciwko realizacji tej inwestycji. Wyliczenia pokazują, że nie byłoby nas stać nie tylko na jej realizację, ale także na utrzymanie obiektu. Trzeba by było stworzyć nowe etaty, zorganizować wynajmowanie hal sportowych i innych pomieszczeń, np. z przeznaczeniem na gastronomię. Oczywiście są też odmienne opinie na ten temat. Komisja budżetowa UP i kolegium rektorskie były jednak zgodne, że nie ma co iść w tym kierunku.

A co z biblioteką?

Na razie pozostaje taka, jaka jest.

A co z zastrzeżeniami strażaków?

One dotyczą nie samej biblioteki, ale łącznika między biblioteką a budynkiem głównym. Myślę, że do końca bieżącego roku rozpoczniemy tę inwestycję. Trwa procedura przetargowa w systemie „zaprosz i wybuduj”. Przy okazji poszerzenia łącznika chcemy wyremontować aulę i drugą salę konferencyjną. Chodzi o rewitalizację całego skrzydła. Dobudujemy też przeszklenie w kierunku dziedzińca wewnętrznego, rodzaj galerijki z miejscami na strefę relaksu. Uważam, że z wielu powodów musimy się skupić na rewitalizacji substancji materialnej, którą już posiadamy. Druga rzecz: prowadzimy negocjacje dotyczące przejęcia pewnych gruntów niedaleko ulicy Podchorążych. Mogłyby w przyszłości zostać wykorzystane pod budowę nowego archiwum, którego nie mamy. To sprawa strategiczna dotycząca przyszłych pokoleń, a nie chwili bieżącej.

Wróćmy do finansów. Sprawozdania finansowe z poprzedniej kadencji nie były takie złe. Tylko w 2018 była niewielka strata na poziomie pół procent budżetu uczelni. Pozostałe lata, tj. 2016, 2017 i 2019, zakończyły się niewielkim zyskiem. Z tytułu udziału w konkursie IDUB doszła podwyżka subwencji o 2%, czyli ok. 2,5 mln zł. Doszło 44,5 mln zł w obligacjach na inwestycje. Chwilowy kłopot z finansowaniem jednej z nich i odłożenie zapłaty ZUS za kilka miesięcy, na co zresztą uczelnia dostała dodatkowe 10 ml zł w ubiegłym roku, to nie są rzeczy niebezpieczne. Gdzie tu problemy?

Rzeczywiście nasz bilans wygląda świetnie, bo mamy 8,5 mln zł na plusie...

Czyli najlepiej od wielu, wielu lat.

Ale realnie to wygląda tak, że pieniądze spłynęły 30 grudnia 2020 r. Bez nich mielibyśmy stratę. Te 10 milionów dostaliśmy pod warunkiem, że przeprowadzimy restrukturyzację, która poprawi i ustabilizuje finanse uczelni. Złożyłem taką deklarację w ministerstwie. Zatem zabraliśmy się za optymalizację działania uczelni. Ministerstwo dystansuje się od tych działań, powołując się na autonomię uczelni, ale ja taką deklarację złożyłem i chcę się z niej wywiązać. Od lat się mówiło, że żyjemy od pierwszego do pierwszego, żyjemy pod respiratorem, od transzy subwencji do transzy. Gdyby nie było dodatkowych 10 mln, mielibyśmy deficyt.

Jeden procent budżetu uczelni.

Właśnie. 10 milionów, czyli zwiększenie subwencji o 7%, poszło na konta pracowników już 1 stycznia. Osiem milionów zaległych składek na ZUS zostało przeksięgowane na ten rok – to nam wyjdzie w bilansie za 2021 r. Do tego nie było ani złotówki odłożonej na marzec na trzynastki. To już się robi kilkanaście milionów, czego nie widać w sprawozdaniu dla MEiN. Czym innym jest bilans, a czym innym stan kasowy. Na maj wychodzimy na zero, ale nie mamy ani złotówki na godzinę ponadwymiarowe z roku akademickiego 2020/2021, za które

mamy zapłacić w grudniu. Zaczynamy płacić za godziny na studiach zaocznych czy podyplomowych z ubiegłego roku z pieniędzy zebranych za studia w tym roku. Wcześniej były dwie transze, czyli wynagrodzenia dla osób z zewnątrz były płacone z bieżących środków. Teraz musimy poczekać na wpłaty za październik i listopad, żeby zapłacić nadgodziny za poprzedni rok akademicki. To nie jest normalna sytuacja. Szacujemy te koszty na 5-6 mln złotych. Optymalizujemy siatki godzin, programy, żeby zejść z kosztów, w tym przez zmniejszenie liczby nadgodzin, ale nie obniżając jakości kształcenia. Mówił pan o prawie 50 milionach w obligacjach. To są środki inwestycyjne i nie możemy ich wydać na inne cele. Zawsze do tego rodzaju środków potrzebne są własne pieniądze, poduszka finansowa na wypadek wzrostu cen materiałów itp. W tej chwili schodzimy z początkowych dwudziestu paru milionów deficytu na 12 mln.

Nie rozumiem, skąd te 20 milionów brakujących środków?

Mieliśmy pod koniec roku zaległości wobec ZUS w wysokości ok. 8 mln zł, 5-6 mln za godziny nadliczbowe i wypłaty trzynastych pensji. To daje razem z grubsza 20 mln zł, których nam brakowało. Rzeczywiście subwencja nam rośnie o ok. 2,4 mln zł. W tym roku dostaliśmy 146 mln zł plus 2,4 mln zł, w poprzednim – 149 plus dodatkowe 10 mln zł. Tymczasem na same wynagrodzenia wydajemy ok. 150 mln zł, a jednocześnie spadła nam drastycznie liczba studentów podyplomowych. Mamy ich w całej uczelni nieco ponad 300. Dawniej tyle osób mieliśmy w jednym instytucie. Nie widać perspektyw na wpływy, na które mogliśmy liczyć w poprzednich latach. Spada też liczba studentów zaocznych. Grantów mamy niewiele, to raptem kilka milionów. Mamy też – co powinno cieszyć, ale to psuje finanse – wysokie pensje profesorów uczelnianych i tytularnych, dużo powyżej minimów ministerialnych.

A powyżej średniej krakowskiej?

Chyba tak. Zapytaliśmy pracowników i związki zawodowe o zgodę na obniżkę płac tej grupy o 8%, co by rozwiązało sprawę, ale nie uzyskaliśmy zgody. Wiemy, że w innych branżach zdarzało się w czasie epidemii czasowe obniżanie płac. Relatywnie mamy podobną wysokość subwencji w stosunku do ubiegłego roku, ale spadają nam dodatkowe przychody. Podjęliśmy działania oszczędnościowe związane z użyciem mediów. Obniżyliśmy deficyt z ok. 24 mln do ok. 11 mln zł w układzie kalkulacyjnym w podziale na jednostki. Są szanse, że dzięki tej optymalizacji, co niestety wiąże się z redukcją etatów, wyjdziemy na zero.

Zarzucono panu scedowanie swoich uprawnień zarządczych na kanclerza.

Historia tych zdarzeń jest taka: we wrześniu 2020 r., kiedy pracowaliśmy nad ustaleniem kompetencji prorektorów, zdecydowaliśmy o ograniczeniu kompetencji kanclerza. Wcześniej pani kanclerz Małgorzata Grzelewska miała w kompetencjach zarządzanie pionem administracji, czyli wszyscy pracownicy administracji podlegali służbowo jej, a merytorycznie kierownikom pionów. Wymyśliliśmy wtedy, żeby pewne jej kompetencje przekazać prorektorom, w tym kwestie pracownicze i polityki kadrowej. Ten eksperyment nie doprowadził do optymalizacji struktury. Oceniając po kilku miesiącach negatywnie wprowadzone zmiany, w kwietniowym zarządzeniu (z 2021 r.) wróciliśmy do poprzedniej sytuacji, czyli pracownicy administracji podlegają z powrotem kanclerzowi. Właściwie przywróciłem kanclerzowi decyzyjność w pionie administracji centralnej. To zostało złe odebrane, choć wszyscy pracownicy doskonale wiedzieli, o co chodzi. Anulowałem to zarządzenie od 1 czerwca i jednocześnie wprowadzony został nowy podział kompetencji. Znika jeden prorektor. Mamy teraz troje prorektorów – jak oszczędzamy, to wszyscy.



Prof. dr hab. **Piotr Borek** (ur. w 1970 r.) jest literaturoznawcą, romologiem i edytorem. Opublikował blisko 200 prac, w tym monografie autorskie, książki wieloautorskie i edycje krytyczne. Za pracę doktorską *Ukraina w staropolskich dziurach i pamiętnikach* otrzymał nagrodę Prezesa Rady Ministrów. Jako kierownik lub główny wykonawca zadania prowadził indywidualne i zbiorowe granty w KBN, NCN oraz NPRH. W latach 2004–2016 kierował jedyne w Polsce studiami podyplomowymi z zakresu romologii „Romowie w Polsce – historia, prawo, kultura, stereotypy etniczne”. Na ich prowadzenie pozyskiwał granty z rządowych programów na rzecz mniejszości narodowych i etnicznych w Polsce, a w ramach ich realizacji pod redakcją profesora powstało kilka monografii wieloautorskich z zakresu romologii. Do 2016 roku był członkiem Komitetu Nauk o Literaturze PAN; pełnił funkcję sekretarza, a obecnie jest zastępcą przewodniczącego Komisji Historycznoliterackiej PAN Oddział Kraków; jest członkiem Komisji Słowianoznawczej PAN Oddział Kraków oraz członkiem Komisji Wschodnioeuropejskiej PAU. Na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie od 2009 roku był dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej, potem dziekanem Wydziału Filologicznego, a następnie Wydziału Nauk Humanistycznych. Od września 2020 r. jest rektorem UPK.

Od dziś mamy prorektora ds. studenckich, prorektora ds. kształcenia i rozwoju oraz prorektora ds. nauki.

Jaki wpływ na tę decyzję miała rezygnacja trojga prorektorów?

O perspektywie takiej zmiany mówiłem wtedy, gdy jeszcze wszyscy pełnili swoje funkcje. Dwoje prorektorów złożyło rezygnację z własnej inicjatywy, a z trzecią panią prorektora razem ustaliliśmy szczegóły dotyczące odejścia z funkcji. W przeszłości, gdy mieliśmy 16–17 tys. studentów, było na uczelni trzech prorektorów. Wydaje się zatem, że tyle osób wystarczy również dziś do zarządzania. Przywrócenie decyzyjności kanclerza w odniesieniu do pracowników administracyjnych jest powrotem do tego, co było zawsze na większości uczelni. Ma w tym obszarze największą wiedzę i kompetencje. Struktura administracji centralnej jest już ustabilizowana. Piony naukowo-dydaktyczne również są ustabilizowane. Decentralizację finansów rozpoczął mój poprzednik na początku ubiegłego roku, widząc, że zarządzanie jednoosobowe finansami źle działa. Ja się pod tym podpisałem, a zatem kontynuowa-

łem pomysł. Przeprowadzone analizy wskazywały, że ponad połowa jednostek – kilkanaście instytutów – jest deficytowa, szczególnie w naukach humanistycznych, także w niektórych naukach społecznych. W większości była nadmierna liczba etatów. Cały proces podlegał kanclerzowi, jeszcze gdy był dyrektorem finansowym. To on opracował strategię decentralizacji finansów. Zostały przygotowane arkusze kalkulacyjne dla każdej jednostki. Mamy rok pilotażowy. Dyrektorzy z początkiem kwietnia dostali informację, że będą wdrażać programy restrukturyzacji, w związku z tym musieli wskazać, gdzie szukać oszczędności lub skąd wziąć dodatkowe środki. Tylko Instytut Filozofii i Socjologii nie spełnił tego zadania. Nowa dyrekcja tego instytutu zastaje powołana tylko na rok, ponieważ po roku zdecydujemy o podziale IFIS na dwa odrębne, każdy z innej dziedziny.

Podobno chodzi o zwolnienie 92 osób.

To jest maksimum, które wyszło z przeliczników algorytmowych i przeliczenia etatów nauczycieli akademickich w stosunku do liczby studentów, których mamy obecnie około 11 tys.

Jaki mieliście ostatnio współczynnik SSR?

Okolo 11. Niedawno mieliśmy ponad 16 tys. studentów i niecały tysiąc nauczycieli akademickich. Teraz studentów jest ponad 10 tys., czyli ich liczba znacznie spadła. Koszty etatów pokrywane są z subwencji tylko częściowo – w przypadku nauk humanistycznych to ok. 60%. Każdy instytut, poza IFiS, wskazał propozycję zbilansowania swojego budżetu. Jednocześnie poddano analizie wewnętrzną strukturę zatrudnienia, w tym również wyszczególniono osoby mające przywilej emerytalny. PIT-y pokazują, że etat profesora tytularnego to około 150–160 tys. złotych. Wobec braku propozycji ze strony dyrekcji IFiS-u podjęliśmy decyzję, aby zrównoważyć półtora miliona deficytu – stąd wyliczenia, iż trzeba zredukować dziesięć etatów profesorskich. Zdecydowaliśmy o redukcji ośmiu. Zdaję sobie sprawę, że kryterium wieku emerytalnego może być uznane za arbitralne. Mamy obecnie kontrolę Państwowej Inspekcji Pracy i zobaczymy, jakie będą jej wyniki.

Mieliście górne limity przyjęć na studia. Podobno, gdyby nie one, SSR nawet na filozofii mógłby być korzystniejszy z punktu widzenia algorytmu.

Górne limity przyjęć zostały oszacowane przez poprzednie władze rektorskie. Domyślam się, że założono, iż skoro chcemy być uczelnią badawczą, to powinniśmy być bliżej SSR 11, aby w przypadku dostania się do elitarnej dziesiątki móc szybko dojść do zakładanego dla uczelni badawczych poziomu dziesięciu studentów na wykładowcę. Rozumiem ten punkt widzenia, ale racjonalnie patrząc, nie ma szans, żeby trzecia uczelnia z Krakowa znalazła się w tym elitarnym gronie.

Przyznam, że z mojego punktu widzenia miejsce w dwudziestce to największy sukces UP. Co z tymi limitami?

Chcemy zwiększyć nabór studentów. Panowało przekonanie, że jeśli przekroczy się wskaźnik 13, to uczelnia zostanie ukarana finansowo. Tymczasem w przypadku większej liczby studentów uniwersytet również otrzymuje na nich środki, tyle że mniejsze... I gdy mamy zbyt wysokie zatrudnienie, te pieniądze tym bardziej są nam potrzebne. Opłaci się mieć więcej studentów.

Czy nie opłaciłoby się bardziej znieść limity przyjęć i poczekać z dalszymi działaniami do czasu po rekrutacji?

Uważam, że trzeba działać dwutorowo. Dlatego nie zmniejszamy etatyżacji jednorazowo, tylko rozciągamy ten proces na dwa-trzy lata, żeby przyglądać się konsekwencjom finansowo-

wym obu procesów: zwiększenia liczby studentów i zmniejszenia zatrudnienia w deficytowych jednostkach.

Jeśli pan chce rozciągnąć proces na trzy lata, to te zwolnienia można załatwić samymi odejściami na emeryturę.

Tak dobrze to nie wygląda. Niektórym osobom trzeba pomóc podjąć decyzję o przejściu na emeryturę, gdy jednostka jest niewydolna finansowo. Z prawnego punktu widzenia jest teraz możliwość pracy aż do śmierci.

Jest zwyczaj, że profesor tytularny pracuje do siedemdziesiątki.

No dobrze, jest taki zwyczaj. Profesorowie są zdziwieni, że w ustawie Jarosława Gowina nie ma już tego przepisu. Mamy jednak trudny stan finansowy, okres restrukturyzacji uczelni, który ma te finanse uzdrowić, i chcemy, żeby na koniec roku zostało nam te kilkanaście milionów poduszki finansowej. Tego bez zwolnień nie zdołamy osiągnąć.

Ilu osobom dotychczas wręczył pan wypowiedzenia?

Około trzydziestu pracownikom naukowo-dydaktycznym, dokładnie 24, z czego 17 osobom w wieku emerytalnym, a z 6 pracownikami nastąpi rozwiązanie umów na mocy porozumienia stron z dniem 30 września 2021. To normalny ruch kadrowy. Dlaczego musimy działać dwutorowo? Składnik studencki decyduje tylko o jednej trzeciej subwencji. Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie ma 15,5 tys. studentów i 800 nauczycieli akademickich, a subwencję taką jak my. Oznacza to, że mają do dyspozycji z subwencji więcej o 30 mln, bo średnio etat kosztuje 100 tys. zł. To jest mądre gospodarowanie zasobami. My przesadziliśmy. Nie stać nas teraz na tyle kadry.

A co z pracownikami pomocniczymi, administracją? Czy w tej grupie też zaplanowaliście zwolnienia?

W pionie administracji mamy od wielu lat fluktuację kadr, głównie z tego powodu, że około 40% z nich otrzymuje płacę minimalną. W tej sytuacji pracownicy przychodzą i szybko odchodzą. Ostatnio mówi się też, że zostanie zwolnionych kilkunastu bibliotekarzy. Tymczasem wszystkie te osoby podpisały umowę o odejściu na emeryturę za porozumieniem stron.

Podobno wśród kadry akademickiej jest ogromny odsetek zatrudnionych na umowach czasowych, mówi się o ponad 40% nauczycieli akademickich?

Tak. To prawda. Gdy startowałem w wyborach rektorskich i deklarowałem gotowość przekształcenia umów czasowych na stałe, nie zdawałem sobie sprawy, że mówimy o jednej trzeciej pracowników. Ponad 500 osób miało umowy czasowe. Więcej jest na „czasówkach” pracowników naukowo-dydaktycznych. Każdego tygodnia podpisuję kilkanaście umów o pracę na czas nieokreślony. Do tego muszą być spełnione wymogi formalne, czyli na przykład należy przeprowadzić ocenę okresową na wniosek pracownika. Ankieta jest podstawą do przedłużenia umowy na czas nieokreślony. Jeżeli pracownik uzyskał pozytywną ocenę i są dla niego godziny w planie zajęć, niezwłocznie podpisuję umowę na czas nieokreślony. Natomiast w czasie pandemii nie mogę wnioskować do dyrektorów o ocenę okresową. Jest jednak gros pracowników, którzy nie chcą się poddać ocenie. Ubolewam, że być może dlatego, że nie mają osiągnąć.

Jak wiele osób jest w UP na etatach dydaktycznych?

Może kilkanaście osób.

Bardzo mało.

Faktycznie.

Nie myślał pan o przenoszeniu pracowników na etaty dydaktyczne, zamiast zwolnień?

Pracownicy nie są skłonni przechodzić na etaty dydaktyczne, bo za te same pieniądze muszą realizować znacznie więcej zajęć, zamiast 240–360 godzin rocznie. Nie mamy problemu z obsadą godzin, to spowodowałoby jeszcze większe nadwyżki zatrudnienia i zapotrzebowanie na generowanie zbędnych godzin. W jednostkach, gdzie jest mało studentów, dyrektorowi nie kalkuluje się takie rozwiązanie. Jeden model nie pasuje do wszystkich instytutów, bo sytuacja każdego jest specyficzna. Wróć do pracowników administracji. Duży ruch kadrowy nie wynika z optymalizacji zatrudnienia, ale z decyzji samych pracowników. Co roku mamy po kilkanaście odejść i naborów z uwagi na poziom płac.

Czy jedynym kryterium zwalniania nauczycieli akademickich jest sytuacja finansowa instytutu i wiek emerytalny? Czy nie obawia się pan, że zwalniając profesorów, traci pan potencjał do ewaluacji?

Bierzemy pod uwagę nasz potencjał ewaluacyjny. Nie widzę takiego zagrożenia. Redukujemy w tych dyscyplinach, w których etaty są nadmierne. Nawet jeśli odchodzą profesorowie mają trochę więcej punktów, to po przeliczeniu punktów i kadry pozostajemy na dobrych pozycjach. Wręczam wypowiedzenia osobom, które zostały wytypowane przez dyrekcje instytutów. Tylko w przypadku IFiS to była decyzja rektorska, bo dyrektor instytutu nie dostosował się do prośby władz uczelni.

Prof. Kazimierza Karolczaka wytypował do zwolnienia dyrektor jego instytutu?

Tak. W Instytucie Historii i Archiwistyki wytypowano pięciu emerytów. W rozmowie ze mną, kanclerzem i kierownikiem działu spraw pracowniczych oraz kierownictwem dyscypliny historia dyrekcja instytutu poprosiła o redukcję pięciu etatów, pracowników w wieku emerytalnym, jednocześnie zawioskowała o podpisanie pięciu etatów czasowych na czas nieokreślony dla młodych pracowników i przesunięcie do innych dyscyplin dwóch pracowników, którzy zajmują się innymi niż historia zagadnieniami. Wiem, że wygląda to niedobrze...

Zwłaszcza zwolnienie byłego rektora wygląda fatalnie, niezależnie do postanowień dyrekcji instytutu czy dyscypliny.

Zdaję sobie z tego sprawę.

Historia na pana uczelni jest bardzo silna naukowo. Równocześnie nie ma problemu zwolnień w pedagogice, która jest zapewne najsłabszą dyscypliną na UP.

Jednak tam nie mamy problemów z kosztami

Bo jest sporo studentów.

Tak, instytut uzyskuje dobre przeliczniki kosztochłonności. Wracając do IFiS – obecna pani dyrektor mogłaby opowiedzieć, jak zarządzany był instytut. Nie chcę tego komentować, ponieważ nie chcę mówić niedobrze o osobach, które kończą pracę.

Jak pan odebrał próbę złożenia przez Radę Uczelni wniosku o odwołanie pan z funkcji rektora - było o włos od takiego wniosku do kolegium elektorów?

Informację na ten temat uzyskałem zaraz po zakończeniu posiedzenia Rady Uczelni. Przyjąłem ją z zażenowaniem i rozczarowaniem. Tym bardziej, że prof. Grzegorz Przebinda, który złożył wniosek o to głosowanie, użył w nim nie merytorycznych i subiektywnych argumentów: oddanie władzy kanclerzowi oraz istnienie strachu na uczelni. Wiedział doskonale, że kanclerzowi przywróciliśmy decyzyjność w zakresie administracji centralnej

po nieudanym eksperymencie z rozdziałem kompetencji między prorektorów. Kwestii „strachu” Rada Uczelni obiektywnie nie mogła określić, gdyż nie odbyła ani jednego spotkania z pracownikami. Oczywiście w sytuacji wszczęcia procedury odwoławczej należało liczyć się ze zorganizowaniem zebrania elektorów. Gdyby jednak wniosek Rady Uczelni przypadł - musiałoby mnie odwołać 75 procent elektorów - to z kolei ja nie miałbym wyjścia i zawnioskowałbym do ministra o odwołanie całej Rady w związku z niemożnością współpracy dla dobra uniwersytetu. Nikomu nie były potrzebne te zawirowania i dobrze się stało, że w okresie rekrutacji mamy w miarę stabilną sytuację w zakresie decyzyjności. Pojawia się też pytanie, czy osoby, które poparły wniosek prof. Przebindy, złożą rezygnację z funkcji, czy też podejmą konstruktywną współpracę z kolegium rektorskim. Sam jestem ciekaw, jak członkowie tego gremium będą się zachowywać, tym bardziej, że wcześniej cała Rada Uczelni popierała program restrukturyzacji, wiedząc o złym stanie finansów.

Podobno wygasił pan mandat prof. Grzegorza Przebindy, gdyż ten jakoby zdecydował o rezygnacji z członkostwa w Radzie Uczelni. Czy i jakie procedury opisują sposób rezygnacji z udziału w radzie uczelni lub też odwołania członka rady uczelni?

Przepisy ustawowe określają tylko ogólnie, iż w sytuacji złożenia rezygnacji z członkostwa w Radzie Uczelni rektor jako przewodniczący senatu stwierdza wygaszenie mandatu. Nie ma wymogu pisemnej deklaracji, natomiast wola prof. G. Przebindy została na ostatnim posiedzeniu jasno i dobitnie sformułowana. Ja o niej powiałem wiadomość i po konsultacji prawnej stwierdziłem wygaśnięcie mandatu na podstawie zapisów ustawowych i statutowych. W tej sytuacji w najbliższej przyszłości senat będzie opiniować nową kandydaturę do Rady Uczelni, zgodnie z zapisami statutowymi, przez grupę senatorów lub przez rektora.

Co z konkursem IDUB? Uważam, że to jedno z największych osiągnięć UP.

To prawda. Jesteśmy w drugiej dziesiątce, ale raczej nie mamy szans na pierwszą.

Jakie jest znaczenie badań naukowych w takiej uczelni jak Uniwersytet Pedagogiczny?

Jestem zwolennikiem badań najwyższej jakości, zgadzam się w tej kwestii z moim poprzednikiem. Tu nie ma konfliktu myślenia. On się może pojawić w zderzeniu ideału z rzeczywistością. Ideał – chcielibyśmy wejść do pierwszej dziesiątki uczelni badawczych. Ale trzeźwy osąd każe w to powątpiewać. Nasz profil społeczno-humanistyczny temu nie sprzyja. Ostra polityka prof. Michała Śliwy i jednoznaczne zasady rozwiązywania umów z osobami posiadającymi niewielki potencjał badawczy zbudowały naszą pozycję naukową. Staramy się, aby ona pozostała wysoka. Wiadomo, że są silniejsze i słabsze dyscypliny.

Zadaniem Uniwersytetu Pedagogicznego jest kształcenie nauczycieli. Poprzednie władze UP starały się o postawienie wysokich wymagań uczelniom kształcącym pedagogów. Używały zgodę naukowców i spotkały się ze sprzeciwem części środowisk społecznych, także naukowych, ale regionalnych. Jak pan patrzy na tę sprawę?

Trzon naszego profilu dotyczy właśnie kształcenia nauczycieli przedmiotowych. Zabiegam o to, żeby było ono jak najlepsze. Pamiętam moment, gdy na jednym z senatów, na których był obecny m.in. Jarosław Gowin, rektor Karolczak zaproponował, aby ograniczyć kształcenie nauczycieli do dziesięciu, może kilkunastu specjalistycznych uczelni o odpowiedniej pozycji naukowej. I pamiętam wymijającą odpowiedź ministra, co sugerowało,

że tak się nie stanie. Ja też apelowałem do ministra Przemysława Czarnka o ograniczenie liczby uczelni, które mogą kształcić nauczycieli i wprowadzenie egzaminów państwowych, podobnie, jak to ma miejsce np. w medycynie czy prawie, ale pozostało to bez odpowiedzi. Argument o braku nauczycieli w wielu regionach jest mocny. Nie dziwię się ministerstwu, że wybiera opcję, która umożliwi szybkie przygotowanie kadr do zawodu.

Został zwolniony dyrektor Instytutu Techniki, materiałowca o znakomitym dorobku naukowym, a na jego miejsce powołano pedagoga.

Obecny dyrektor, prof. Henryk Noga, został wybrany przez społeczność instytutu. Jest on z wykształcenia pedagogiem, zadeklarował dorobek w dyscyplinie pedagogika, ale prowadzi też badania w dziedzinie techniki. To, że łączy kompetencje z dwóch dziedzin, nie jest wadą, a w przypadku naszej czelni może być zaletą.

Wspomniał pan o wybieraniu dyrektorów instytutów...

Rada instytutu udziela rekomendacji kandydatom, a rektor wybiera jednego z nich. Staram się honorować decyzję społeczności, czyli podpisuję nominację temu, który uzyskał więcej głosów. Prof. Noga miał dwukrotną przewagę nad konkurentem. Pytałem dyrektora, dlaczego wskazał do zwolnienia specjalistów z inżynierii materiałowej. Okazuje się, że chce profilować instytut w stronę studentów i inżynierii bezpieczeństwa. Inżynierię materiałową studiuje się na innych krakowskich uczelniach. My na kierunku powiązany z tą dyscypliną miewamy po kilku, rzadziej po kilkunastu studentów. Zatem obecny dyrektor zmienia skład kadry stosownie do zaplanowanego profilu instytutu.

Do czego mają doprowadzić zmiany w uczelni, które pan przeprowadza? Jak pan widzi uczelnię na koniec swojej kadencji?

Zmiany mają doprowadzić do zrównoważenia sytuacji finansowej uczelni. Wyobrażam sobie uczelnię z pozytywnym bilansem i nadwyżką środków, poduszką finansową. Chcę stworzyć warunki do spokojnej i wydajnej pracy naukowej i dydaktycznej. Pracujemy nad nową strategią rozwoju uniwersytetu. Planujemy wyremontowanie bazy, którą dysponujemy. Jeśli uda się nam pozyskać tereny, zbudujemy gmach archiwum. Na początek został rozbudowany parking przy uczelni. Niby nic, ale zdecydowanie podnosi komfort codziennego funkcjonowania pracowników.

Co oprócz pieniędzy?

Utrzymanie pozycji najlepszej uczelni pedagogicznej, zintensyfikowanie współpracy z otoczeniem, w tym miejskim, np. z kuratorium, ale także z urzędem marszałkowskim i wojewodą. Trzeba zintensyfikować współpracę ze szkołami. Wyróżnik pedagogiczności musi być naszą marką.

Tymczasem pedagogika jest piętą achillesową UP.

Niestety tak było.

Ma pan na to pomysł? Czy nie obawia się pan o utratę uprawnień w pedagogice?

Prof. Katarzyna Plutecka, dotychczasowa przewodnicząca dyscypliny pedagogika – od początku czerwca rozpoczęła pełnienie funkcji prorektora ds. studenckich – poinformowała mnie, że na kilka miesięcy przed ewaluacją zostawia tę dyscyplinę w dobrym stanie. Chciałbym podkreślić, że pedagogika powinna być perłą w koronie dyscyplin na naszym uniwersytecie. Będę do tego systematycznie dążył.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Rozmowa z prof. Kazimierzem Karolczakiem, historykiem, rektorem Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie w latach 2016-2020.

Kto rządzi uniwersytetem?

Na plusie zawsze były instytuty, które miały wielu studentów i dochody ze studiów niestacjonarnych. Jednocześnie były to jednostki najsłabsze naukowo. Te dwie sprawy – finanse i jakość naukowa – się rozmięły.

Na czym polega dramatyczna sytuacja finansowa Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie i jak to się stało, że pan jej nie zauważył?

Nie mogłem jej zauważyć, bo jej nie ma. To kłamstwo wprowadzone w okresie wyborów rektorskich. Zaczęło się w lutym 2020 r., gdy przewodniczący uczelnianego związku zawodowego „Solidarność” zaczął rozpowszechniać informacje, że uczelnia jest zadłużona. Wówczas przedstawiliśmy na zebraniu kierowników jednostek, dyrektorów instytutów i dziekanów symulację naszej sytuacji finansowej od początku kadencji i propozycję, jakie zmiany w finansowaniu chcemy przeprowadzić. Po tej prezentacji przewodniczący związku zawodowego „Solidarność” zaczął wysyłać do wszystkich pracowników pisma, że rektor kłamie, że brakuje 20 milionów, a uczelnia tonie. Sytuacja stała się śmieszna. Dziś rozumiem, że była to precyzyjnie zaplanowana gra wyborcza, którą kontynuowano, mimo że kwestor wydała oświadczenie, pokazując, jak naprawdę wygląda sytuacja finansowa.

Czy uczelnia była zadłużona?

Nie. Jak daleko sięgam pamięcią, a funkcjonowałem w zarządzie UPK od 2005 roku, gdy zostałem dziekanem największego wydziału – to była niemal połowa studentów UPK...

To był Wydział Humanistyczny?

Tak. Potem podzieliłem go na dwa wydziały: humanistyczny i filologiczny. A gdy zostałem rektorem, jeszcze raz wydzieliłem z humanistycznego Wydział Politologiczny. W sumie na bazie mojego wydziału powstały trzy. Odkąd pamiętam, uczelnia musiała wypracować 20-30 procent środków na pokrycie kosztów swojej działalności. Wtedy robiliśmy to głównie dzięki opłatom za studia niestacjonarne. Potem, wraz ze zmniejszaniem się liczby studentów znaczących, coraz trudniej było o pieniądze. Kłopotliwe stały się wkłady własne w inwestycje. Jeszcze przed moją kadencją, gdy kończyliśmy dla Wydziału Pedagogicznego gmach przy ul. Ingardena, na tyłach Biblioteki Jagiellońskiej, trzeba było jako wkład własny dać niecałe dwa miliony. Nie mieliśmy tych pieniędzy, zatem za zgodą ministerstwa przesuwalimy rozliczenie inwestycji z roku na rok, ostatecznie na styczeń 2017 r., czyli na pierwsze miesiące mojej kadencji. Mimo to lata 2016 i 2017 zostały zamknięte na niewielkim plusie. Od roku 2017 mieliśmy problem wynikający ze zmiany algorytmu i konieczności dostosowania liczby studentów do nowych wymogów. Minister Małgorzata Czerwińska w listopadzie 2016 r. ogłosiła, że od stycznia 2017 r. w naliczaniu dotacji najkorzystniejsze będzie zachowanie wskaźnika 13 studentów na

jednego nauczyciela akademickiego. Przekraczanie tego wskaźnika będzie budżetowo karane. Byliśmy – jak wszystkie uczelnie w kraju – po rekrutacji. Nie było już żadnej możliwości dokonania korekty. Mieliśmy 14,5 studentów na jednego nauczyciela. O ile pamiętam, oznaczało to, że nasza dotacja była mniejsza o 3,7 procent. To była znacząca różnica. Nasza dotacja dydaktyczna na 2017 rok wynosiła 114 milionów. Byliśmy jedną z uczelni, które najlepiej dostosowały się do nowych zasad i na koniec roku 2017 dostaliśmy premię w wysokości 7 milionów złotych, co pokryło straty na dotacji. Problem w tym, że ta kwota nie wliczała się w podstawę do naliczania dotacji na kolejny rok. Mówiąc krótko, to co straciliśmy, wpływało na wysokość dotacji na rok 2018.

Proszę powiedzieć, w jaki sposób dostosowaliście się do nowych wymogów dotyczących SSR 13.

Działaliśmy dwukierunkowo. Zmniejszyliśmy nabór na studia o kilkaset osób. Zwiększałem też systematycznie zatrudnienie nauczycieli akademickich. Dziś z tego robi się zarzut, ale wówczas to było konieczne. Poza tym uruchomiliśmy nowe kierunki, które dziś świetnie prosperują i z roku na rok trzeba było zatrudniać nowych pracowników, bo ruszały programy kolejnych lat kształcenia. Na koniec 2016 r. zatrudnialiśmy 1007 nauczycieli akademickich, w tym 281 samodzielnych pracowników naukowych. W czerwcu 2020 r., gdy kończyła się moja kadencja, było 1082 nauczycieli akademickich, w tym 324 profesorów i doktorów habilitowanych. Zatrudnienie w grupie nauczycieli akademickich wzrosło w ciągu czterech lat o 75 osób, ale w grupie profesorów aż o 43. Nie kupowaliśmy samodzielnych. To się dokonało także drogą awansów naukowych naszych własnych pracowników. Zatrudnienie wzrosło głównie na dwóch kierunkach: psychologii, bo ona dopiero w ubiegłym roku osiągnęła pełny cykl kształcenia, oraz na prawie, które jest w podobnej sytuacji. Oba kierunki cieszą się dużym zainteresowaniem młodzieży. Teraz o rekrutacji. Normalnie przyjmowaliśmy około sześć tysięcy studentów. W roku 2017 było to kilkaset osób mniej. W ten sposób doszliśmy do optymalnego stanu, czyli SSR bliskiego 13. W 2017 byliśmy już do tego wymogu dostosowani i nie traciliśmy więcej, a odrabialiśmy dotację także ze względu na dobre wyniki ewaluacji.

W niedawnej dyskusji przedstawiciele związków zawodowych z UPK podali, że ponad 40 proc. nauczycieli akademickich jest zatrudnionych na umowach czasowych.

Umowy czasowe wynikały ze starej ustawy i statutu. Były tam zapisy dotyczące limitu lat na zrobienie doktoratu i habili-



Prof. dr hab. **Kazimierz Karolczak** (ur. w 1954 r.) jest historykiem. Na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie kieruje Katedrą Historii XIX wieku w Instytucie Historii i Archiwistyki. Ostatnio otrzymał wypowiedzenie umowy o pracę. W latach 2005–2012 był dziekanem Wydziału Humanistycznego, potem (2012–2016) prorektorem ds. nauki i współpracy międzynarodowej, a w latach 2016–2020 rektorem uczelni. Jest laureatem Nagrody im. Adama Heymowskiego za najlepszą książkę (*Dzieduszycy. Dzieje rodu*) w dziedzinie heraldyki i genealogii (2002) i nagrody zespołowej Ministerstwa Edukacji Narodowej za współautorstwo książki *Żydzi w Małopolsce* (1992). Był członkiem Komitetu Nauk Historycznych PAN. Jest współautorem koncepcji Muzeum Dzieduszyckich w Zarzeczcu i członkiem Rady Muzealnej Muzeum Kamienica Orsettich w Jarosławiu (od 2015) oraz Rady Naukowej Biblioteki PAU i PAN w Krakowie (od 2019). Od 1992 roku organizuje we współpracy z Uniwersytetem Lwowskim konferencje „Lwów. Miasto, społeczeństwo, kultura”.

tacji. Niemal wszyscy, których one dotyczyły, mieli umowy czasowe. W starym statucie był też zapis, że pierwsze zatrudnienie po habilitacji było na pięć lat i dopiero po ocenie postępów naukowych można było zatrudnić pracownika na czas nieokreślony. Starałem się, żeby konkursy na pierwsze zatrudnienie były otwarte. Zamieszczaliśmy ogłoszenia nie tylko w naszym ministerstwie, ale także w Brukseli. Czasami wygrywała osoba, której nie widzieliśmy na oczy. Wtedy dyrekcje wnioskowały o czasowe zatrudnienie na okres próbny. To prawo nakazywało nam zatrudnianie na czas określony. W chwili, gdy weszła ustawa 2.0, wszyscy pracownicy, którzy byli zatrudnieni dłużej niż przez 33 miesiące i nie mieli wskazanych okresów na zrobienie doktoratów czy habilitacji, byli zatrudniani zgodnie z decyzjami działu kadr. Ja tego nie zmieniałem. Dział kadr kierował się ustawą albo propozycjami instytutów. Podpisałem ok. 700 przedłużeń zatrudnienia na czas nieokreślony zaraz po wejściu w życie ustawy 2.0. Nie wiem, ile osób pozostało zatrudnionych na czas określony.

Jak doszło do tego, że w roku 2018 uniwersytet miał ujemny bilans?

O takim wyniku dowiedziałem się 30 marca 2019 roku, zatem nie miałem szans na jakąkolwiek korektę. Kwestor była przerażona. Następnego dnia po przekazaniu mi informacji

o ujemnym wyniku finansowym uniwersytetu złożyła rezygnację. Podobno cała sytuacja wyniknęła m.in. ze zbyt późnego przekazania faktur z jednostek. Nie wiem, czy tylko to zdecydowało o wyniku. Może mogły też na to wpłynąć nowe zatrudnienia. Zanim te etaty zostaną uwzględnione w dotacji czy subwencji, uczelnia przez kilka miesięcy musi pokrywać wynagrodzenia z własnych środków. To nie była jakaś wielka strata, niecałe 900 tys. złotych.

W roku 2019 znów jest plus w bilansie.

Zlikwidowaliśmy minus. W tym roku została podjęta inwestycja na Podbrzeziu – przebudowa budynku Wydziału Sztuki. Zdecydowałem się na finansowanie z funduszy unijnych przez Urząd Marszałkowski z wkładem własnym na poziomie 30 procent. Starał się o to już mój poprzednik, ale deklarował za mały wkład własny, co od razu odbierało temu projektowi szansę na zwycięstwo w konkursie. Postanowiłem zwiększyć wkład własny – już wtedy było wiadomo o obligacjach na inwestycje – i dostaliśmy z Unii 7,5 miliona złotych. Projekt był obliczony na 10 mln zł. Jednak w 2018 roku nastąpił gwałtowny wzrost cen materiałów i usług budowlanych. W efekcie w ogłoszonym już przetargu najniższa oferta opiewała na 12 milionów. Zatem trzeba było dołożyć z naszych środków kolejne 2 miliony. Zdecydowałem się na to, gdyż budynek stanowczo wymagał remontu. Były problemy, które mogły go wyłączyć z użytkowania. W 2019 r. była taka sytuacja: na Podbrzeziu trwały prace i musieliśmy płacić wykonawcom, a Urząd Marszałkowski wstrzymał wypłatę kolejnych transz środków, rzekomo z tego powodu, że wprowadziliśmy zmiany w projekcie. Tyle że one dotyczyły zwiększenia naszego udziału, a nie środków unijnych. Zanim to wyjaśniliśmy, była wiosna 2020 r. Zamykaliśmy budżet za 2019 rok, a nie mieliśmy przelewów na kilka milionów złotych z Urzędu Marszałkowskiego. Budżet 2019 r. został jednak zamknięty niewielkim plusem. Mówiąc krótko, rok 2016 na plusie, gdyż przesunęliśmy rozliczenie inwestycji na Ingardena na kolejny rok. W roku 2017 rozliczyłem tę inwestycję, a i tak zamknąłem bilans na plusie. Rok 2018 na lekkim minusie, i rok 2019 na plusie mimo dwóch inwestycji i zniwelowania straty z poprzedniego roku. Odkąd pamiętam, było tak, że uczelnia miała albo niewielki zysk, albo małą stratę. Mój poprzednik miał trzy lata na minusie. Zatem moja kadencja, mimo inwestycji, nie wygląda finansowo źle aż do roku 2020.

Wybucho pandemia i w połowie marca wprowadzane są ograniczenia.

Jednocześnie z remontem budynku na Podbrzeziu kończył się gruntowny remont akademika na Kazimierzu. W lutym 2020 r. chcieliśmy go oddać do użytku. Postanowiliśmy przez kilka miesięcy nie kwaterować tam studentów, ale wynajmować pokoje turystom, co miało przynieść konkretne pieniądze. Niestety przyszła pandemia. Nasz „hotel” nie może rozpocząć działalności. Zamykane są akademiki, tzn. studenci nie mieszkają i nie płacą, ale obiekty trzeba utrzymywać; nie ma przychodów z wynajmu pomieszczeń ani z organizacji konferencji. Nie może też rozpocząć działalności nasz „hotel”. Pojawiły się kłopoty finansowe. Wtedy kanclerz przyszedł z wiadomością, że można odłożyć w czasie i rozłożyć na raty składki ZUS, a to spore pieniądze. Składamy wniosek i otrzymujemy zgodę. Od maja 2020 r. ZUS nie był regulowany w całości, ale już w lipcu, czyli jeszcze za mojej kadencji, zaczęliśmy spłacać zaległe raty. Na jednym ze zdalnych spotkań obecny kanclerz powiedział, że jak się coś takiego robi, to trzeba pokazać, skąd się weźmie pieniądze na spłatę. Wtedy byłem tym tak zaskoczony, że nie odpowiedziałem. A było tak: Jako przewodniczący Konferencji Rektorów Uczelni Pedagogicznych niezwłocznie podjąłem w ministerstwie starania o uzyskanie rekompensat dla tej grupy szkół wyższych w związku ze stra-

tami, jakie mogły ponieść do października 2020 roku z powodu ograniczeń epidemicznych – wtedy byliśmy przekonani, że od października uczelnie zaczną działać normalnie. Jednocześnie to samo zgłosiłem w KRASP. To miały być w naszym przypadku środki na regulowanie płatności ZUS. Natomiast, wbrew twierdzeniom obecnych władz, wypłaciłem w marcu 2020 r. trzynastą pensję za rok 2019. Pojawiają się też zarzuty, że nie wypłaciłem nadgodzin. Zgodnie z zarządzeniem wydanym kilka lat wcześniej wypłacaliśmy je zawsze do końca września, więc wypadło to już po rozpoczęciu kadencji obecnych władz. W mediach natomiast pokutuje informacja, że zostawiłem po sobie 24 miliony zadłużenia. Podał ją mediom obecny rektor, a podejrzewam, że zaczerpnął od przewodniczącego „Solidarności”.

Wspomniał pan o zmianie struktury uniwersytetu, rozbudowie. Teraz jednak wydziałów jest mniej.

Owszem, ponieważ po wejściu w życie ustawy 2.0 kolejny raz zmieniliśmy strukturę uczelni – stworzyliśmy cztery wydziały dziedzinowe. Gdy zacząłem pracę na uczelni, miała ona trzy wydziały: humanistyczny, geograficzno-biologiczny i matematyczno-fizyczny. Z Wydziału Humanistycznego w 1992 lub 1993 roku wydzielił się Wydział Pedagogiczny. Jako dziekan wydzieliłem z niego Wydział Filologiczny, a jako rektor – politologiczny. Trochę wcześniej z Wydziału Pedagogicznego wyszedł Wydział Sztuki. Gdy wchodziła w życie ustawa 2.0, uniwersytet pracował w strukturze siedmiowydziałowej. Wraz z nowym prawem cała ewaluacja została przeniesiona na dyscypliny. Tymczasem w naszym uniwersytecie np. historycy byli na czterech wydziałach: humanistycznym, politologii, filologicznym i pedagogicznym. Gdzie stworzyć radę dyscypliny? Powołaliśmy dwie komisje, które przeanalizowały sytuację uniwersytetu i złożyły propozycje zmian jego ustroju. Na podstawie prac tych zespołów i długich debat postanowiliśmy stworzyć wydziały dziedzinowe i tam umieścić naukę, a dydaktykę przenieść do instytutów. Dyrekcje instytutów uzyskały większe niż wcześniej kompetencje. Wszelkie sprawy naukowe przypisano wydziałom – mamy uprawnienia w czterech dziedzinach, zatem powstało właśnie tyle wydziałów: nauk humanistycznych, nauk o sztuce, nauk społecznych oraz nauk o Ziemi i ścisłych. Cały czas pedagogzy chcieli mieć swój wydział. Przywrócenie go obiecał rektor Borek. Teraz w dziedzinie nauk społecznych mamy zatem dwa wydziały. Może tak być, choć to jest mniej czytelne. Na czele wydziału stoi dziekan, któremu podlegają kierownicy rad dyscyplin. Uniwersytet ma trzysta uprawnień do nadawania stopni naukowych. Na Wydziale Sztuki jest tylko jedno uprawnienie, ale już na Wydziale Nauk Humanistycznych cztery i tyleż rad dyscyplin. Taka struktura powoduje, że po kolejnej ewaluacji, gdy dojdą nowe uprawnienia, nie trzeba zmieniać struktury, tylko na którymś wydziale pojawi się nowa rada dyscypliny. Mamy jeszcze piątą dziedzinę – nauki techniczne – ale nie mamy w niej uprawnień do nadawania stopni naukowych, a zatem nie ma rady dyscypliny, a pracownicy podlegają bezpośrednio prorektorowi ds. nauki. W najbliższej ewaluacji miała być oceniana inżynieria materiałowa z bardzo dobrymi publikacjami. Według mojego rozeznania miała duże szanse na B+. Niestety już zwolniono kilka osób, a zatem już jej nie ma. Ja na szefa Instytutu Techniki mianowałem inżyniera z dobrymi badaniami i publikacjami w zakresie inżynierii materiałowej, a nie drugą wskazaną przez Radę Instytutu osobę – pedagoga ze „słowacką” habilitacją. Na początku roku akademickiego nowy rektor odwołał „moją” dyrekcję i bez jakiegokolwiek opinii Rady Instytutu powołał na dyrektora Instytutu Techniki owego pedagoga. Nowy dyrektor otrzymał polecenie, że ma przedstawić osiem osób do zwolnienia. Przedstawił całą poprzednią dyrekcję i osoby najlepiej publikujące. Nie mamy już inżynierii materiałowej.

Przejdźmy do ewaluacji. Przypomnę, że w ewaluacji w 2013 r. nie mieliście żadnej kategorii A, za to 5 B i 1 C. W roku 2017 zyskaliście zdumiewająco dobre wyniki: choć początkowo 4 A, 1 B i 1 C, to ostatecznie 5 A i 1 B, a potem 2 B.

To był wynik znakomitej pracy zespołu rektorskiego poprzedniej kadencji. Byłem w tym gremium prorektorem ds. nauki i współpracy międzynarodowej. Monitorowałem funkcjonowanie wydziałów pod względem naukowym. Ewaluacja obejmowała ten właśnie okres. Martwiła mnie wówczas sytuacja Wydziału Pedagogicznego, który wcześniej bezskutecznie starał się o uprawnienia habilitacyjne, oraz Wydziału Geograficzno-Biologicznego, który w roku 2013 dostał kategorię C. Po tym wydarzeniu biolodzy wzięli się do pracy, przyszło otrzeźwienie. W pedagogice część osób starała się o dobre wyniki, ale spora grupa uważała, że trzeba kształcić, mieć nadgodziny. To spowodowało, że w ewaluacji w 2017 r. pedagogika otrzymała kategorię C. Ówczesny dziekan zlecił przygotowanie ankiety ewaluacyjnej nowemu pracownikowi i zostawił go bez żadnego nadzoru i pomocy. W ankiecie nie uwzględniono wielu elementów działalności jednostki. W odwołaniu uzupełniliśmy to i pedagogzy dostali kategorię B. Gdyby dostali C, nie mielibyśmy szansy na konkurs IDUB. Drugą kategorię B dostał Wydział Matematyczno-Fizyczno-Techniczny. W wyniku odwołania podwyższoną ją do A. W trakcie ewaluacji nie było jeszcze Wydziału Politologii. Został on oceniony później i uzyskał kategorię B. Gdyby przejął kategorię po humanistycznym, z którego się wyłonił, miałby kategorię A.

Udział w konkursie IDUB jest, moim zdaniem, największym sukcesem uczelni. Co to dało Uniwersytetowi Pedagogicznemu?

Po pierwsze jeszcze przed konkursem dostaliśmy dodatkowe środki, żeby się do niego przygotować. Za te pieniądze przeprowadziliśmy wiele szkoleń dla pracowników. Takiej intensywności podnoszenia kwalifikacji i kompetencji nie było w historii uczelni. Zrobiliśmy audyt całego uniwersytetu po zmianach dostosowujących uczelnię do nowej ustawy. Powstał raport, który przekazałem nowemu rektorowi. Audytorzy uznali, że gdyby uniwersytet nie zmienił struktury, nie byłoby szans na rozwój. Gdybyśmy natomiast poszli w bardziej radykalne zmiany, byłoby to ryzykowne, zatem nie rekomendowano takiego działania. Przyszłość uczelni po zmianach, które wprowadziliśmy, oceniono jako perspektywiczną. Zatem zrobiliśmy to, co należało. Druga korzyść z IDUB to przekonanie pracowników, że pracują na uniwersytecie, który ma ambicje, daje szanse rozwoju, kontaktów międzynarodowych. Nie weszliśmy do dziesiątki, ale to nie jest porażka. Mamy szansę w następnym konkursie. No i w końcu to jest 2 procent do subwencji przez sześć lat od 2020 do 2025 roku, co daje kilkanaście milionów złotych.

Obecne władze uznały, że jednym ze sposobów poprawy sytuacji finansowej uczelni jest zwolnienie 92 pracowników. Chcąc nie chcąc został pan jedną z ofiar tej redukcji.

Chyba jestem pierwszym rektorem, który po kadencji został zwolniony z uczelni. Argument, że profesorowie są za drodzy i trzeba się ich pozbyć, ma krótkie nogi. To jak w fabryce, gdzie z powodu trudności finansowych można zwolnić stu robotników, by następnego roku ich przyjąć. Tak się nie da zrobić z profesorami. Żeby dojść do profesury, trzeba mieć unikalne zdolności, przejść wieloletnią karierę, kolejne stopnie awansu i wtajemniczenia zawodowego. Pozbywanie się profesorów jest samobójstwem dla uniwersytetu. Jeżeli ponosi się pewne straty finansowe, gdy zwiększa się zatrudnienie, to odrotnie działało to tak, że po zwolnieniu pracownika przez rok otrzymuje się większe pieniądze – etat jest wciąż wliczony w sub-

wencję. Potem jednak nie ma na tych profesorów subwencji. We wskaźniku kadrowym profesorowie mają współczynnik 2,5. Gdy będziemy mieli asystentów zamiast profesorów, w subwencji otrzymamy na nich środki ze współczynnikiem 1. Ale to nie rachunek ekonomiczny jest najważniejszy. Uniwersytet funkcjonuje na zasadach pewnych autorytetów i relacji mistrz-uczeń. Jeżeli wyrzucimy profesorów, odetniemy te autorytety i oprzemy się na samej młodzieży, która co prawda świetnie pisze po angielsku, idea uniwersytetu nie będzie przekazywana i zostanie zatracona. Robimy firmę, jak to nazywa obecny kanclerz, a uniwersytet znika. To będzie miało ogromne konsekwencje w przyszłości.

O ile wiem, jednym z motywów zwolnień jest samodzielność finansowa instytutów. Pan to zainicjował.

Rozpocząłem dyskusję na temat zmiany sposobu funkcjonowania finansowego uczelni. Zatrudniłem specjalistkę, panią, która tego rodzaju reformy przeprowadziła na kilku uczelniach w Polsce, m.in. na UAM, UPL. Zaczęła robić analizę naszej sytuacji jesienią 2019 roku. Na spotkaniach z dyrektorami jednostek analizowaliśmy sytuację instytutów, ale nigdy nie było mowy o zwalnianiu pracowników. W marcu 2020 roku miało być kolejne takie spotkanie, ale pojawiły się ograniczenia epidemiczne. Symulacje dotyczące funkcjonowania instytutów były robione także w przeszłości. Na plusie zawsze były instytuty, które miały wielu studentów i dochody ze studiów niestacjonarnych. Jednocześnie były to jednostki najsłabsze naukowo. Te dwie sprawy – finanse i jakość naukowa – się rozmięły. W najlepszej sytuacji finansowej były, i pewnie są, instytuty pedagogiczne.

W pewnej dyskusji stwierdzono, że gdyby nie górne limity przyjęć na studia, być może nie byłoby problemów ze zbyt małą liczbą studentów.

Obecny kanclerz przenosi wymóg zachowania SSR 13 na instytuty. To nieporozumienie. On dotyczy całej uczelni. W jednym instytucie może być czterech studentów na wykładowcę, a w innym – osiemnastu. To bardzo ważne, bo gdyby nie to, trzeba by zlikwidować wiele niezbędnych uniwersytetowi kierunków, dyscyplin i jednostek, które w danym momencie nie są popularne wśród studentów i dotyczy to nie tylko Uniwersytetu Pedagogicznego, ale także wielu innych. Jeżeli przenosimy ten wskaźnik na instytuty, to na przykład w moim trzeba by zwolnić kilkanaście osób (17!). Tymczasem Instytut Historii i Archiwistyki jest liderem naukowym uczelni. Mieścimy się na szóstym-siódmy miejscu w Polsce w gronie instytutów historycznych. Jesteśmy na poziomie bardzo dobrych uniwersytetów. Mamy granty, które uzupełniają budżet uczelni. Liczba studentów to tylko jeden element, częśćka finansowania. Trzeba patrzeć także na jakość naukową, zdolność do samoodtworzenia kadry, do awansów naukowych, do pozyskiwania grantów. Jakość badań przekłada się na dobre publikacje, co przekłada się na wynik ewaluacji, a to na finanse. Nie ma też możliwości przyjęcia wszystkich, np. 600, kandydatów na szczególnie oblegany kierunek, bo zatrudniona tam kadra może bez uszczerbku dla jakości kształcić np. maksymalnie 100 osób na roku.

Z grantami chyba nie jest najlepiej na UPK?

W 2016 roku mieliśmy 41 projektów badawczych finansowanych ze źródeł zewnętrznych, a w 2020 już 58. Zatem ta liczba rosła i powinno nam zależeć, aby tę tendencję utrzymać. Jesteśmy uniwersytetem humanistyczno-społecznym, zatem granty nie są tak wysokie, jak w dyscyplinach przyrodniczych i technicznych, gdzie są liczone w milionach. W humanistyce, gdy

ktos dostanie 200-300 tysięcy, mówimy, że ma dobry grant. A to od tego liczone są koszty stałe dla uniwersytetu.

Mówiąc krótko, z kosztów stałych w grantach nie utrzyma się humanistyki.

W humanistyce może być trudno, ale niektóre nasze dyscypliny mają takie szanse. W dużych grantach można finansować zatrudnienie pracownika, część jego pensji, co zmniejsza obciążenie uczelni. Takiemu człowiekowi możemy zmniejszyć obciążenia dydaktyczne. Jednak tego rodzaju myślenie z trudem przebija się w humanistyce. Pracownicy uważają, że jak uzyskują grant, to mają mieć dofinansowanie do pensji, a niższa godzin to dodatkowa gratyfikacja. To postawienie sprawy na głowie. Jeżeli na astronomii prof. Andrzej Baran ma grant w wysokości kilku milionów, to może z niego nie tylko pokryć swoją pensję, ale jeszcze zatrudnić asystentów czy adiunktów. To odciąża uczelnię, a poza tym są koszty stałe...

Podobno macie bardzo wysokie płace profesorów?

Nie zmieniałem systemu płac. Przy regulacjach podwyższaliśmy płace proporcjonalnie.

Czy z związku ze zwolnieniem będzie się pan odwoływał do sądu pracy?

Tak, chociaż trudne byłoby kontynuowanie pracy w atmosferze strachu paralizującego zdrową współpracę.

Widzi pan w działaniach obecnych władz zagrożenie dla uczelni?

Uniwersytet Pedagogiczny – w moim odczuciu – osiągnął największy sukces w swojej historii właśnie u progu 75-lecia istnienia, ale nowe władze jakby tego nie zauważały. Pod hasłem naprawy rozpoczęły demontaż kilku bardzo dobrze rozwijających się instytutów, co grozi w przyszłości obniżeniem kategorii naukowej. Moje twierdzenie wynika z 44-letniej pracy na uczelni. Do wyrzucenia z pracy wytypował mnie kanclerz zatrudniony przed dziewięciu miesiącami, a pismo wysłane pocztą podpisał rektor, któremu przed laty jako dziekan procedowałem wniosek profesorski, a wcześniej prowadziłem kolokwium habilitacyjne. W ostatnich latach uniwersytet przyciągał wielu znakomitych badaczy, którzy widzieli u nas szansę własnego rozwoju. Czy pozostaną na uczelni, której władze przejęły narrację przewodniczącego jednego ze związków zawodowych, piętnującego poprzedniego rektora za „fanaberie w dążeniu do uczelni badawczej”, podczas gdy „powinniśmy ograniczyć się do kształcenia nauczycieli, bo to dobrze robimy”? To ostatnie hasło było mocno akcentowane w programie wyborczym rektora Borka i ku mojemu zaskoczeniu zyskało mocne wsparcie elektorów. Przewodniczący Rady Dyscypliny Historia, mój uczeń, nazywający mnie „ojcem naukowym”, odmówił zajęcia stanowiska w sprawie mojego zwolnienia... „bo więcej można osiągnąć współpracując z rektorem”. Obawiam się, że wszechobecny strach przed utratą pracy może sparaliżować działania opiniodawcze statutowych jednostek organizacyjnych uniwersytetu. Rada dyscypliny czy rada instytutu nie zajmuje stanowiska w sprawie zwalnianych pracowników w obawie przed dalszymi restrykcjami, a robią to rady innych uczelni. Zastanawiam się, kto obecnie kieruje uniwersytetem, może kanclerz, który nie ma doświadczenia w zarządzaniu szkołą wyższą, realizujący – wszystko na to wskazuje – pomysły magistra pedagogiki przedszkolnej i wczesnoszkolnej przewodniczącego (od 30 lat!) związku zawodowego?

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Zbigniew Drozdowicz

Pożytki z historii

Historia z politycznego „portfela” ma długie, liczące wiele stuleci tradycje. Dzisiaj pozostaje ona z w wyraźnych związkach z historią „z telewizora”, zwłaszcza w krajach, w których środki masowego przekazu znajdują się pod kontrolą jednej opcji politycznej.

Jeśli ktoś twierdzi, że historia jest nauczycielką życia, to powinien zgodzić się przynajmniej z tym, że nie zawsze najlepiej to nauczanie jej wychodziło. Do pełnienia nauczycielskiej roli miała i ma zresztą wielu konkurentów i oponentów, którzy stawiali i stawiają znaki zapytania przy jej naukowości. Przynajmniej niektóre ich argumenty były i są zasadne. Mimo wszystko warto się zastanowić nad pożytkami z tej nauki.

Kilka wstępnych uwag

Trzeba na wstępie wyraźnie powiedzieć, że czymś innym są dzieje, a czymś innym historia. Do tych pierwszych należy wszystko to, co się działo w określonym miejscu i czasie; a dzieje się przecież tak wiele, że nie sposób tego wszystkiego opisać i objaśnić. Natomiast do drugiej należy to, co zostało z dziejów wybrane oraz lepiej lub gorzej opisane i objaśnione. Wydaje się to oczywiste. Jednak nie dla tych, którzy nakreślony przez siebie obraz tego, co się działo w dziejach, traktują tak, jakby to było niemal lustrzane odbicie rzeczywistości. Niejednokrotnie podejmowali oni przy tym próby przekonywania adresatów swojego obrazu, że wykonali go z najwyższą starannością. Niektórym udawało się to na tyle, że zapewnili sobie miejsce w pantheonie wielkich dziejopisów.

Z najdawniejszych przykładem może być żyjący w V w. p.n.e. grecki dziejopis Herodot (nazywany jest „ojcem historii”). W późniejszych wiekach do głosu doszli dziejopisarze, którzy wprawdzie nie mogli już pretendować do roli najważniejszych znawców dziejów ludzkich (taką rolę w świecie zachodnim przejął bowiem Kościół), jednak mogli przynajmniej uchodzić za wiarygodne źródło informacji o tym, co się działo w wybranym miejscu i czasie. Uprawiali oni ten sposób historycznego przekazu, który przyjęło się nazywać kronikami. Jedne z nich – tak jak np. *Kronika Galla Anonima* przedstawiały panowanie książąt i królów z konkretnego rodu. Natomiast inne – tak jak *Księga kronik*, nazwana również *Kroniką norymberską* (opublikowana w Norymberdze w 1472 roku), oraz *Historię świata Schedela* (napisana w 1472 przez medyka i kolekcjonera książek Hartmanna Schedela) – przedstawiały historie świata począwszy od jego stworzenia, a skończywszy na epoce końca świata i Sądu Ostatecznego. Ich autorzy traktowali wprawdzie swoje pióro jako działalność służebną, ale mającą służyć społecznie ważnej sprawie, jaką stanowiło przekonywanie wiernych i poddanych, że przynajmniej niektórzy panujący chcieli i potrafili dobrze wiązać się ze swoich obowiązków.

Oświeceniowy przełom

W epoce Oświecenia pojawili się historycy, którzy za życiowe powołanie uznali rozprawienie się z mitami o umiejętności, sprawiedliwości i zwyczajnej przyzwoitości „miłośników” panujących. Przykładem takiego pojmowania i realizowania roli historyka może być zarówno *Historia Anglii* Davida Hume’a, jak i *Wiek Ludwika XIV* Voltaire’a. XIX stulecie zwykło się nazywać m.in. „wiekiem historii” nie tylko dlatego, że pojawiło się wówczas szereg znaczących dzieł historycznych, a ich autorzy zajmowali katedry historii na znaczących uczelniach, ale również dlatego, że historia jako dyscyplina naukowa „wybiła się” na niezależność od przekonania, że za tym, co się działo, dzieje i dźiać będzie stoi wola Boga lub siła i zdolności ziemskich władców.

Czy to oznacza całkowitą desakralizację dziejów i odebranie historykom uprawnień do występowania w służebnej roli wobec jakiegokolwiek wiary i jakiegokolwiek władzy? Pytanie jest raczej retoryczne. Nie tylko dlatego, że ich znacząca część nadal realizowała i realizuje służebną rolę wobec Kościoła i świeckiej władzy, ale także dlatego, że inna ich część za swoje powołanie uznała demaskowanie „historycznych kłamstw”, które wynosiły na ołtarze „świętych” i „wielkich ludzi”, którym jednak sporo brakowało do świętości i wielkości, oraz wskazywanie wartości i wielkości, które uznawała za zbawienne dla ludzkości.

Historia „z telewizora”

Dzisiaj historyków mających status akademickich uczonych jest wprawdzie sporo (w naszym kraju ponad trzy tysiące), jednak znacznie liczniejsi nie posiadają takiego statusu, ale wypowiadają się publicznie na temat dziejów i to niejednokrotnie z takim przekonaniem, jakby byli niekwestionowanymi autorytetami naukowymi. Występują oni m.in. w telewizyjnych programach, które prezentują wydarzenia zarówno z bliższej, jak i znacznie odleglejszej przeszłości. Siła oddziaływania historii „z telewizora” jest znaczna. Autorzy programów posilają się bowiem zarówno zachowaną dokumentacją, jak i animacją, która jest w stanie „przywrócić do życia” również to, co nie zostało w odpowiedni sposób udokumentowane. Do tego dochodzą niejednokrotnie inscenizacje grup rekonstrukcyjnych i relacje żyjących jeszcze świadków i uczestników wydarzeń ze stosunkowo nieodległej przeszłości. Rzecz jasna nie odmawiam im prawa do występowania w programach telewi-

zyjnych i wypowiedania się w kwestiach historycznych. Uważam jednak, że obowiązuje ich obiektywność spojrzenia na przedstawiane wydarzenia i powstrzymywanie się od formułowania ocen i uogólnień nieopartych gruntowną i krytyczną analizą odpowiednio prezentowanych artefaktów.

Mają z tym spory problem nie tylko autorzy i uczestnicy takich programów. Żyjemy w czasach ciągłego pośpiechu, nazywanych przez znawców współczesnej kultury czasami „płynnych nowoczesności”, w których wszystko jest w gruncie rzeczy względne i obliczone na chwilowe potrzeby. Sprawia to, że



nawet profesjonalnym historykom trudno się oprzeć urokowi tego, co ma wprawdzie wartość jedynie „półprawdy” lub subiektywnego przekonania, jednak łatwiej można tym zainteresować tzw. szerokiego odbiorcę. A że „półprawda” zaczyna później żyć takim życiem, jakby była „jedynie prawdziwą prawdą”, to już zupełnie inna sprawa.

Nie twierdzą jednak, że z historii „z telewizora” nie ma żadnego pożytku. Zaspokaja ona bowiem w jakiejś mierze naszą naturalną ciekawość poznawczą. Twierdzą natomiast, że w niejednym przypadku takie przedstawianie wydarzeń z przeszłości pozostaje w dosyć luźnych związkach z tym, co się faktycznie działo.

Historia z politycznego „portfela”

Historia z politycznego „portfela” ma długie, liczące wiele stuleci tradycje. Dzisiaj pozostaje ona w wyraźnych związkach z historią „z telewizora”, zwłaszcza w krajach, w których środki masowego przekazu znajdują się pod kontrolą jednej tylko opcji politycznej. Nie chciałbym kolejny raz przypominać niechlubnych czasów, w których jedna tylko partia polityczna miała monopol i na władzę, i na wiedzę o tym, co się istotnego wydarzyło w dziejach, a także co można i warto pokazywać w środkach masowego przekazu. Nie upierałbym się jednak, że pod tym względem wszystko w naszym kraju się zmieniło. Zgadzam się natomiast z tymi, którzy uważają, że dzisiaj jest znacznie trudniej nie tylko zdobyć, ale i utrzymać monopol oraz przekonać tzw. szerokiego odbiorcę, że historyczna prawda może być tylko jedna.

Rzecz jasna nie oznacza to, że odmawiam siłom politycznym, które znajdują się u władzy, prawa do kreowania swojej narracji historycznej. Problem jednak nie tylko w tym, aby taka narracja była w stanie przetrwać dłużej niż władza, ale także w tym, aby była ona oparta na racjach politycznych, a także na wiarygodnej dokumentacji. Z tym bywa spory kłopot. Wiele bowiem zależy od tego, co się uznaje za wiarygodną dokumentację historyczną oraz w jaki sposób ją się interpretuje. Do tego potrzeba jednak nie tylko politycznego przyzwolenia i odpowiedniej polityki historycznej, ale także kompetencji profesjonalnego historyka. Tej ostatniej niejednokrotnie brakowało ludziom, którzy pisali historie na tzw. polityczne zamówienie. Sprawiało to, że po zmianie na szczytach politycznej władzy trafiały one na karty historycznych przekłamań (przykładem mogą być narracje o tym, co się działo w Katyniu).

Chciałbym jednak mimo wszystko powiedzieć coś pozytywnego o historii z politycznego „portfela”. Związane jest to z moim doświadczeniem jako recenzenta wydawniczego tekstów przygotowanych do druku przez pracowników i współpracowników regionalnych oddziałów Instytutu Pamięi Narodowej. Niejeden z nich oparty był na analizie dokumentów zgromadzonych w archiwach IPN. W niejednym też przypadku autorami tekstów byli profesjonalni historycy. Jednak nawet w tych, których autorami były osoby doświadczane przez polityczne władze czasów słusznie minionych, można było znaleźć coś interesującego i skłaniającego do głębszej refleksji. Przyznam, że pewne wrażenie zrobiło na mnie trwanie przy „swoim” niejednej z represjonowanych osób. Natomiast moje zdumienie wywołało m.in. to, że niejeden z TW miał tak marne kwalifikacje „zawodowe”, że z trudem radził sobie z zawilociami języka polskiego. Z kolei moje rozbawienie wywołała treść niektórych donosów. Przykładowo: jeden z TW donosił swoim mocodawcom, że inwiligowany przez niego proboszcz parafii po śmierci J. Stalina wprawdzie kazał bić w dzwony, ale umiarkowanie. Te i inne jeszcze fakty z najnowszej historii Polski nie ujrzałyby

dziennego światła bez prowadzonej przez władze polityczne polityki ujawniania zasobów archiwalnych.

Historia z uniwersyteckich katedr

Dzisiaj moje związki z historią są okazjonalne. Mam jednak w swoim CV m.in. dyplom ukończenia magisterskich studiów na kierunku historia, na tak znaczącej uczelni, jak UAM. Wprawdzie minęło sporo czasu od ich ukończenia i zapewne niejedno się zmieniło w prezentowaniu historii z uniwersyteckich katedr, to jednak nie sądzę, aby zmiany były aż tak radykalne, że obecnie studia w niczym nie przypominają tych sprzed pół wieku. Rzecz jasna po latach obraz tego, z czym miałem wówczas do czynienia na studiach, nie może być całkowicie obiektywny. Dobrze jednak pamiętam, że trzeba było sobie przyswoić nie tylko wiele dat i miejsc znaczących wydarzeń z przeszłości, ale także takich, które swoją dziejową „doniosłość” zawdzięczały gustom i preferencjom któregoś z akademickich nauczycieli. Przykładowo: na jednym z egzaminów trzeba było się wykazać, poza wszystkim innym, dobrą znajomością trylogii H. Sienkiewicza, bowiem egzaminator stawiał pytania z gatunku: „gdzie Skrzetuski zatrzymał się na popas”.

Rzecz jasna nauczycieli akademickich miałem różnych. Byli wśród nich tacy, którzy mniej lub bardziej udolnie i gorliwie starali się realizować wskazania ówczesnych władz politycznych. Stanowili oni jednak mniejszość. Większość z nich stanowili wysokiej klasy specjaliści, którzy potrafili dzielić się swoją gruntowną wiedzą historyczną ze studentami na wykładach. Niektórzy zresztą nieźle „dawali się we znaki” na egzaminach studentom, którzy nie chodzili na wykłady albo na nich „przysypiali”. Inni z kolei okazywali wyrozumiałość dla różnych studenckich słabości. Należał do nich m.in. promotor mojej pracy magisterskiej prof. Janusz Pajewski. Trudno mi powiedzieć, czym się kierował, wykazując daleko idącą tolerancję wobec moich licznych „wycieczek” na grunt filozofii francuskiej (pozostało mi to zresztą do dzisiaj). Mogę natomiast z pełnym przekonaniem powiedzieć, że był znakomitym wykładowcą. Po wielu latach w rozmowie prywatnej ze mną przyznał, że wymagało to z jego strony sporych przygotowań. Miałem również wykładowcę, który próbował wyjść poza typowy prezentyzm historyczny i formułował historyczne generalizacje, które w historycznym przekonaniu wskazywały na historyczne tendencje i trendy. Jakąś odpowiedzią na pytanie, na ile były to próby udane, może być chociażby to, że uznawany był wówczas za współtwórcę tzw. poznańskiej szkoły metodologicznej, o której dziś mówią już tylko jej nieliczni epigoni.

PS. Odniosę się do pojawiających się w obiegu publicznym uwag na temat związku między historycznym wykształceniem i pełnieniem odpowiedzialnych funkcji urzędowych (z funkcją premiera i ministra włącznie). Skłonny jestem polemizować z tymi, którzy uważają, że wykształcenie historyczne wyklucza lub znacznie utrudnia ich pełnienie. Moim zdaniem, nie tylko nie ogranicza ono umysłowo, ale wręcz przyczynia się do rozwinięcia wyobraźni, a to przecież może być i jest przydatne w różnych zawodach. Dzisiaj kształcić się trzeba praktycznie przez całe życie, a przebranżowienia należy nieraz dokonywać wielokrotnie. Jednym to przychodzi łatwiej, innym trudniej. Wiele jednak zależy nie tylko od uzyskanych na studiach kwalifikacji, ale także od stawianych sobie celów życiowych i umiejętności ich realizacji. Tak czy inaczej, samo przebranżowienie się jeszcze nie hańbi. Hańbić może natomiast podejmowanie się pracy, do wykonywania której nie ma się odpowiednich kwalifikacji i nie próbuje się ich zdobyć.

Rozmowa z prof. Bogdanem Wegnerem, wieloletnim pedagogiem Wydziału Malarstwa i Rysunku Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu

A za plecami... konceptualizm

Czas moich studiów przypadł na okres rozkwitu nowej figuracji. Ten kierunek bardzo dobrze przyjął się w Polsce. Myślę, że wyrażał coś, co wiąże się z „duszą polską” – jakieś romantyczne rozdarcie, krzyk, wybebeszenie wnętrza.

Kierunek malarstwo, w czasach gdy zdawał pan na studia w poznańskiej PWSSP, cieszył się dużym powodzeniem.

Tak, na jedno miejsce przypadało średnio siedmiu, ośmiu kandydatów, ale zdarzały się roczniki, gdy było ich ponad dziesięciu. Niektórzy kandydaci nie zdali poprzednio i próbowali po raz kolejny, nierzadko po odświeżeniu wojska. W czasie służby wojskowej można było wziąć urlop na czas egzaminów, jednak w myśl ówczesnego regulaminu żołnierze, którzy dostali przepustkę, nie mogli rozstać się z mundurem. Żołnierz przy sztaludze – wyglądało to pociesznie. Czterech takich umunduro-

wanych chłopaków zdawało wraz z mną. Ci, którzy dostali się na studia, byli zwolnieni z dalszej służby.

Jakie było miejsce malarstwa w ogólnym krajobrazie uczelni? Rozpoczął pan studia niedługo po reformie prof. Stanisława Teisseyre'a, wcześniej szkoła miała profil bardziej zawodowy.

Podobnie zresztą jak inne wyższe szkoły sztuk plastycznych. Zdarzało się jednak, że student architektury mógł zrobić dyplom również z malarstwa, jak chociażby prof. Jan Świtka, który później na całe życie związał się z malarstwem. W czasach gdy studiowałem, istniał odrębny wydział malarstwa, grafiki i rzeźby, ale właśnie malarstwo zdawało się tym najbardziej elitarnym kierunkiem. Potem pojawiła się moda na nowoczesną grafikę i co za tym idzie – pewna rywalizacja pomiędzy tymi dwoma kierunkami. Koniec lat sześćdziesiątych i początek siedemdziesiątych to wybuch grafiki, dla której bazę stanowiła fotografia, co było pewnego rodzaju nowością. Ten trend nie pozostawał bez wpływu na malarstwo. Pojawiły się światłoczułe emulsje, na które można było wrzucić obraz fotograficzny i później kontynuować malarsko. Prof. Teisseyre wykonał cykl takich obrazów, co twórczo inspirowało także nas – studentów jego pracowni.

Początek studiów malarskich był bardzo klasyczny. Na pierwszym roku pracowaliśmy wszyscy razem, a od drugiego zdecydowaliśmy się na wybór konkretnej pracowni malarskiej. Funkcjonowały wtedy cztery pracownie: Stanisława Teisseyre'a, Zdzisława Kępińskiego, Mariana Szmańdy i Eustachego Wasilkowskiego. Dwie pierwsze uchodziły za bardziej awangardowe, a dwie kolejne w oczach studentów były pracowniami kontynuującymi jeszcze nurt koloryzmu polskiego. Na pierwszym roku było nas niewielu. Profesorowie wszystkich znali i proponowali niektórym studentom przyjęcie do swojej pracowni, szczególnie na wystawie końcoworocznej, kiedy orientowali się, kogo warto do siebie ściągnąć.

Dlaczego wybrał pan pracownię prof. Teisseyre'a?

Wydawało mi się, że tam znajdę odpowiednią ścieżkę dla siebie, choć wtedy nie było to jeszcze konkretnie sprecyzo-





wane. W wielu pracach Stanisława Teisseyre'a pojawiały się pejzaże, który mnie zawsze interesował, inspirował i był takim – jak to kiedyś mówiono – „motywem” (kiedyś jeżdżono na „motyw”, szukano ciekawego kadru w pejzażu). Ale czas moich studiów przypadł na okres rozkwitu nowej figuracji. Ten kierunek bardzo dobrze przyjął się w Polsce. Myślę, że wyrażał coś, co wiąże się z „duszą polską” – jakieś romantyczne rozdarcie, krzyk, wybebeszenie wnętrza. Byłem pod wpływem nowej figuracji, wszyscy prawie byliśmy, z tym że z mojego punktu widzenia nowa figuracja to jest postać, kadłub ludzki – krzyczący, rozdarty, dramatyczny, a tło bywa najczęściej bezosobowe, gładkie. Natomiast ja próbowałem ciągle umieścić tam swój pejzaż, przestrzeń otwartą. To z latami narastało, narastało aż w końcu pozostał sam pejzaż, a ja stałem się starą figuracją [śmiech].

Jak pan wspomina postać prof. Stanisława Teisseyre'a?

Postać anegdotyczna, ale zajęcia były prowadzone bardzo solidnie. Przychodził do nas prawie codziennie, jeśli nie zatrzymywały go obowiązki rektorskie. Oczywiście miał już swoje lata, a do pracowni musiał wchodzić po schodach z poziomu rektoratu. Kiedyś widzieliśmy, jak odpoczywał przed pracownią, bo wejście w jego stylu powinno być nagłe i gwałtowne – z hukiem. Pamiętam taką sytuację: rozpoczynały się zajęcia na drugim roku, jedna ze studentek, ładna, ciemnowłosa, stremowana i dokładnie przygotowana do zajęć, miała już farby wyciśnięte na palecie. Czekaliśmy na przyjście profesora. Gdy drzwi otwarły się z hukiem, ona zemdlała i upadła w te farby, w tę paletę. Profesor szybko doskoczył i zawołał do asystenta: Terpentynie! Będziemy myć!

Często wprowadzał studentów w stan stresu?

Czasami. Na zajęcia przychodziły także dziewczyny z grafiki, które w programie miały malarstwo, ale studenci kierunku malarstwo byli bardziej honorowani. Jak mnie się wydaje, profesor zawsze miał swojego pupila. Wybierał sobie z grupy osobę, którą prowadził w sposób szczególny. Prof. Teisseyre był bardzo pracowity w sensie organizacyjnym, a nawet fizycznym. Gdy przygotowaliśmy wystawy końcoworoczne, pracował razem z nami, wbijał gwoździe, przynosił druty. Na przegłą-

dzie zawsze musiał się znaleźć czas na pogawędkę, koniecznie przy winie. Przychodził z torbą wypełnioną winami i wzywał Lillę Kulkę (dziś panią profesora z Krakowa). „Lilla, policz, ile nas jest. Pójdiesz po kieliszki do rektoratu!”. Uważał, że lepiej rozmawia się przy winie – korekty są pełniejsze, a studenci bardziej otwarci.

Czy prof. Teisseyre prowadził także plenery malarskie?

Nie, prowadzili je młodzi pracownicy naukowcy. Plenery miały charakter ogólnoszkolny, gdyż jak wspominałem, studentów nie było zbyt wielu. Odbywały się na innej zasadzie niż dzisiaj – trwały przez cały miesiąc. Na swój pierwszy plener pojechałem do Mieroszowa położonego przy samej granicy Czechosłowackiej. Plener trwał, trwał i po pewnym czasie byliśmy już bez grosza w kieszeni, bo pieniądze wyszły (jedzenie oczywiście mieliśmy zapewnione). I proszę sobie wyobrazić, że w połowie pleneru zajeżdża samochód, z którego wysiada rektor Teisseyre z panią kasjerką. On przyjechał zobaczyć, jak pracujemy, a ona przywoziła pieniądze i wypłacała stypendium. To było prawdziwe święto! Wszyscyśmy odżyli. Godne podziwu, że wybrał się w taką podróż, przecież to jest kawał drogi.

Postać rektora Teisseyre'a nie była jednoznaczna, dobrze wpisywała się w ówczesny kontekst polityczny. W latach pięćdziesiątych przewodniczący krajowego Zarządu ZPAP, z prominentnymi znajomościami w świecie polityki, a jednocześnie człowiek, który w czasie okupacji z narażeniem życia pomagał Żydom.

Te różne uwarunkowania nie bardzo do nas docierały w okresie studiów.

Nie rzutowały na relacje ze studentami? Pracownia jest miejscem rozmaitych dyskusji...

Tak, ale to wszystko nie było wtedy dla nas zbyt istotne. Dzisiaj tak się rozpatruje, mierzy, rozlicza, a wtedy czasy były inne, system po prostu trwał. Rektor oddziaływał przede wszystkim swoją osobowością, był świetnym gawędziarzem i mówcą. Dokumentuje to film zrobiony przez naszego nieżyjącego już kolegę Jarka Maszewskiego. Teisseyre przywołuje w nim wspomnienia związane z okresem powojennym, gdy organizowano związek i uczelnię. Wspomina na przykład, że walutą przetargową w tych czasach była wódka, dzięki niej załatwiano się różne sprawy, na przykład jakieś materiały.

Czy jego opowieści dotyczyły też okresu przedwojennego? Wspominał Lwów i tamtejsze środowisko artystyczne?

W pracowni mówił o tym niewiele, prawie nic. Natomiast pomimo że urodził się na początku XX wieku, uważał się jeszcze za pokolenie XIX-wieczne. Niektóre anegdoty o prof. Teisseyre przekazali mi starsi koledzy z Gdańska. Na przykład taką: pracownicy uczelni zorganizowali swoją wystawę w Paryżu (ewenement w tych czasach). Prof. Teisseyre z racji pochodzenia i doskonałej znajomości języka francuskiego miał wygłosić przemówienie na wernisażu, na którym pojawił się między innymi francuski minister kultury. Artyści byli niezwykle stremowani, a profesor spokojny, zdystansowany, starał się uspokoić kolegów stwierdzeniem: „Moja rodzina zubożała już w XIX wieku, więc ja nie mam nic do stracenia”.

A profesor jako pedagog?

Zostawiał dużą swobodę. Sam lubił różne nowinki technologiczne. Akurat na rynku pojawiła się nowa emulsja marki Polinit. Wychwycił ją od razu. Oczywiście majstrowie od technologii zżymali się, że to taka farba mało podobna do prawdziwego gruntu malarskiego, który robiło się samemu. Ale z obecnej perspektywy sędzę, że chyba miał dobre wyczucie,

bo dzisiejsze grunty Gesso są takie same jak ta emulsja, może nieco szlachetniejsze.

Jak zmieniły się technologie malarskie? Wspomniał pan, że kiedyś samodzielnie przygotowywaliście grunt.

Tak, grunt przygotowywaliśmy w pracowniach, tak że początek pleneru schodził na gruntowaniu. Musieliśmy później czekać aż grunt wyschnie. Ten klasyczny podkład stosuje się zresztą do dzisiaj, pomimo gotowych produktów.

Nie było kłopotu ze zdobyciem materiałów malarskich?

Do gruntowania stosowaliśmy ogólnie dostępną kredę, biel cynkową, klej i olej. Musieliśmy korzystać z maszynki do podgrzewania. Niektóre kleje sprzedawano w tabliczkach. Przed użyciem trzeba było je pokruszyć i namoczyć. Jakość gruntu zależała od proporcji składników. Materiały były nieco inne niż obecnie, zwłaszcza płótno lniane – wówczas bardzo gęste. Niektórzy profesorowie pokazywali nam, że odpowiednio gęsty grunt można nakładać szpachlą na to płótno i nic nie przejdzie na drugą stronę. Dziś mamy płótna, przez które można cały świat obejrzeć. Myślę, że coraz więcej sztucznych dodatków pojawia się w strukturze tych płócien i dlatego są coraz gorsze.

Postęp technologiczny nie zawsze się sprawdza.

Młodzi ludzie dzisiaj też narzekają, bo z walka kupuje się takie gotowe, zagruntowane płótno przypominające zaprasowaną żelazkiem ceratę. To płótno nie żyje, grunt też nie żyje na tym płótnie, jest bardzo śliski. W czasach moich studiów grunt można było sobie przygotować w zależności od potrzeb – chudy, średni, tłusty; czynimy to zresztą do dzisiaj. Farby też były inne niż popularne obecne holenderskie, angielskie czy niemieckie. Wówczas można było kupić tylko polskie, bardzo przeolejone, przetłuszczone, co wynikało z oszczędności – więcej oleju, mniej treści w tubce. Radziliśmy sobie odsączając ten olej. Podczas wyciskania farby z tubki na paletę można było podłożyć jakiś papier.

Trzeba się było chwycić sposobów.

Tak, mieliśmy różne sposoby, zresztą do tej pory bardziej lubię biel tamtego chowu niż obecną. Ta biel dzisiejsza wydaje mi się jałowa – taka sucha w dotyku i w oglądzie. A tamta, przeolejona, była pewnego rodzaju błotem malarskim, które do tej pory czasami stosuję. Farby produkowała Wytwórnia Farb Artystycznych Karmański. W uczelni działał taki małeńki sklepik prowadzony przez naszego magazyniera. Oddając wyciśniętą tubkę, taniej można było kupić nową.



Co szczególnie utkwiło panu w pamięci z okresu studiów w PWSSP?

Przede wszystkim to, że uczenia była mała, mieliśmy więc możliwość poznać wszystkich pracujących w niej profesorów. Mówię „profesorów”, gdyż niebawem nastąpił czas docentów, dobrze sportretowany w filmach Zanussiego. Pamiętam taką inaugurację, gdy rektor Teisseyre wygłaszał mowę wstępną, a obok niego siedziało jeszcze dwóch profesorów – Kępiński i Węclawski. Po zakończeniu przemówienia rektor spojrzął na nich i powiedział: „Chyba jesteśmy jak te ostatnie żubry w puszczy białowieskiej. Idzie epoka docentów”. Z postaci spotykanych na korytarzu pamiętam szczególnie Jacka Pugeta – interesującego abnegata, prof. Węclawskiego – zawsze z cygarem. Gdy spojrziałem na umieszczoną przed rektoratem tablicę z fotografiami profesorów, którzy już odeszli, okazało się, że znam każdego z nich, przynajmniej z widzenia.

Studenci malarstwa poza pracownią dyplomową mieli do wyboru jeszcze dwie dodatkowe pracownie artystyczne. Chodziłem na zajęcia do pracowni malarstwa ściennego prowadzonej przez Zbigniewa Bednarowicza. Bednarowicz był właściwie scenografem, ale gdy spojrzymy na elewacje kamienic, połowa Starego Rynku w Poznaniu to jego dzieło.

Malarstwo ścienne było prowadzone bardziej w kontekście artystycznym czy użytkowym?

Była to pracownia artystyczna. W czasie studiów mieliśmy praktykę na poznańskich Ratajach. Akurat budowano wtedy pierwsze długie bloki, tzw. deski. Ich wejścia były przesłonięte rodzajem kurtyny, z zaprojektowanym od zewnątrz reliefem. Razem z murarzami formowaliśmy ten relief, a potem malowaliśmy go. W pracowni z kolei przygotowaliśmy projekt, którego fragment trzeba było wykonać. To była ciężka robota. Zaprawę wapienną nakładano się do specjalnej skrzyni i na tym malowało odpowiedni fragment projektu. W tej pracowni wykonałem część mojego dyplomu. Musiałem potem wraz z trójką kolegów wnosić pracę na ostatnie piętro. Proszę sobie wyobrazić co to za wysiłek. Ciężar był ogromny. Uczestniczyłem także w zajęciach w Pracowni Ceramiki, którą prowadził pan Kruszwicki, dbający przy tym, by jego receptury nie przenikały za bardzo do studentów, zwłaszcza jeśli chodzi o skład szkliva. Wiele czynności wykonywał sam, aby nie zdradzić swoich tajemnic. W jego pracowni udało mi się wykonać – myślę, że całkiem udaną – realizację: ścianę złożoną z lamp, zamkniętych skorup ceramicznych z umieszczoną w środku żarówką. Zamontowaliśmy je na korytarzu w ramach wystawy końcoworocznej. Na drugi dzień, gdy przyszliśmy przed otwarciem wystawy, połowy ściany już nie było!

Pewnie w sklepach brakowało żarówek?

Chodziło nie tylko o żarówki. Te ceramiczne moduły, które składały się na ścianę, można było wykorzystać jako pojedyncze kinkiety.

Zaraz po obronie rozpoczął pan pracę na uczelni?

Od razu nie, miałem półtora roku przerwy, a potem zostałem asystentem u prof. Jana Świtki, który był wtedy jeszcze docentem. Na początku prowadziliśmy zajęcia ze studentami architektury wnętrz. Pamiętam, że pojechaliśmy z nimi na plener na Dolny Śląsk, do Paczkowa – miasta, w którym zachowała się większość murów obronnych wraz z obronnym kościołem. Zamieszkaliśmy w szkole, nieopodal tego kościoła. Ten ciekawy plener w takiej scenarii zawdzięczaliśmy opieszałości XIX-wiecznego niemieckiego burmistrza, który nie wykonał zlecenia cesarskiego i nie rozebrał murów.

Wracając jeszcze do pana studiów, czy na plenerach obowiązywała jakaś określona konwencja malarska?

Nie, to był czas dużej intensywności artystycznej. Wszystko się otwierało (sięgnijmy chociażby do teatru), czas ruchu hipisowskiego, marzec 68, a za plecami... konceptualizm.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska



Wyzwania na nowe czasy

Sztukę porozumiewania powinien ćwiczyć się stale. Nie wystarczająco czytelną i mało zrozumiałą z punktu widzenia odbiorcy komunikacja spowodować może wiele szkód w różnych obszarach międzyludzkich relacji. Jak wiele znaczy właściwe tempo oraz odpowiednio dobrany sposób przekazywania informacji, pokazała pandemia Covid 19. W tym niesłychanie trudnym czasie okazało się, że podmioty, które nie potrafią szybko znaleźć właściwych dla nowej rzeczywistości środków wyrazu, muszą mierzyć się z problemem rozluźnienia więzi między uczestnikami tworzącymi wspólnotę.

O tym, jak ważne jest poszukiwanie rozwiązań dopasowanych do czasu, miejsca oraz konkretnego człowieka, przekonuje pismo Uniwersytetu Wrocławskiego „Przegląd Uniwersytecki” (nr 1/2021). W uczelni ze stolicy Dolnego Śląska podjęto wiele kroków mających na celu usprawnienie procesu komunikacyjnego pomiędzy grupami funkcjonującymi w obrębie uczelni a pod wieloma względami zróżnicowanymi. Umiejętne zdiagnozowanie potrzeb poszczególnych jednostek tworzących społeczność, a następnie właściwe sformułowanie przekazywanych treści, to klucz do osiągnięcia sukcesu.

Wrocławska uczelnia rozpoczęła też prace nad ujednoczeniem i odświeżeniem wizerunku. Postawienie na spójną identyfikację wykorzystującą rozpoznawalne i charakterystyczne elementy ma wyróżnić Uniwersytet Wrocławski, a także sprawić, by odbierano go jako miejsce otwarte na śmiałe idee oraz interesujące pomysły. Podejmowane aktywności mają stanowić zachętę oraz inspirację dla tych chętnych, którzy nie ustają w poszukiwaniu ścieżek własnego rozwoju, którzy nieustająco stawiają sobie nowe wyzwania i dążą do osiągnięcia celu, a także zainteresowanych poszerzeniem posiadanych kompetencji. Uniwersytetowi Wrocławskiemu zależy, by właśnie w jego murach znaleźli oni sprzyjający klimat do realizowania się zarówno na niwie naukowej, jak i w obszarze osobistych zdolności.

Zanurzeni w wirtualnym świecie

Technologia rozszerzona, rzeczywistość mieszana czy techniki symulacyjne to jeszcze do niedawna mogły być elementy kojarzone głównie z gatunkiem science fiction. Dzisiaj świat tak bardzo się zmienił, że wszystkie te składniki weszły do repertuaru nowoczesnych form nauczania. O tym, jak wygląda edukacja wykorzystująca innowacyjne technologie na Politechnice Łódzkiej, opowiada „Życie Uczelni” (nr 155/2021).

W biuletynie znaleźć można informacje o projektach, w których uczelnia uczestniczy bądź jako koordynator, bądź jako partner. Cechą wspólną opisywanych przedsięwzięć jest wykorzystywanie niekonwencjonalnych sposobów kształcenia. W projekcie o akronimie ATOMIC, przy którym PŁ, jako jego pomysłodawca, współpracuje z uczelniami z Chorwacji, Estonii i Portugalii, wykorzystuje się rozszerzoną rzeczywistość, po to, by rozwijając umiejętności zarządzania. Mr. UD to z kolei europejskie przedsięwzięcie używające rzeczywistości mieszanej.



Jego celem jest podniesienie kompetencji zarówno wśród pedagogów, jak i przyszłych inżynierów w zakresie projektowania uniwersalnego. Koordynowany przez Uniwersytet w Tartu VRAna jest wreszcie konceptem przeznaczonym dla studentów kierunków medycznych. Realizuje on tematykę budowy ludzkiego układu kostnego i mięśniowego, włączając w to wzajemne powiązania oraz ograniczenia ruchowe.

Nie można zaprzeczyć, że klasyczne metody nauczania odchodzą powoli do lamusa. Przyszłość jest przed tymi, którzy szybko i skutecznie zdołają przystosować się do nowej rzeczywistości.

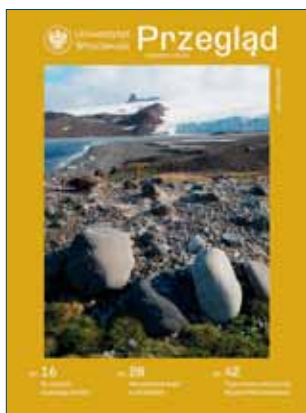
Pół wieku sukcesów

Jubileusz 50-lecia obchodzi w tym roku Wydział Ogrodnictwa i Architektury Krajobrazu Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie. Funkcjonujący od października 2010 r. pod obecną nazwą, swój początek wywodzi z Katedry Ogrodnictwa powstałej w 1951 r. na Wydziale Rolnym UMCS. Podczas kilkudziesięciu lat istnienia zrealizowanych zostało wiele projektów naukowych, wdrożono szereg innowacyjnych rozwiązań oraz zdywersyfikowano tematyczną bazę badawczą. Od początku swojej działalności lubelski ośrodek stawiał na rozwój nowatorskich koncepcji. To właśnie tutaj wykonane zostały badania przy użyciu podkładek karłowatych, tutaj także wprowadzono nowoczesne metody agrotechniki sadów z wykorzystaniem herbicydów.

Strukturę organizacyjną wydziału tworzą cztery wyspecjalizowane jednostki. Instytut Produkcji Ogrodniczej koncentruje się na żywieniu i agrotechnice roślin ogrodniczych. Jego pracownicy wykonują również ekspertyzy oraz analizują stan zdrowotny drzew cennych przyrodniczo i historycznie. W Katedrze Ochrony Roślin ważną jest tematyka epidemiologii i zróżnicowania kilku rodzajów grzybów. Katedra Warzywnictwa i Zielarstwa natomiast, zajmuje się problematyką doskonalenia technologii upraw warzyw i roślin zielarskich, zaś w Katedrze Architektury Krajobrazu prowadzi się badania obejmujące obszar krajobrazu kulturowego.

Więcej informacji na temat historii, dokonań oraz ludzi przez lata związanych z obchodzącym jubileusz wydziałem UP, znaleźć można w „Aktualnościach Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie” (nr 1/2021).

Aneta Zawadzka



Marek Misiak

Łamanie tekstu jako źródło cierpień

Rosnące bogactwo narzędzi oferowanych przez edytory tekstu zdaje się wyzwalać w niektórych użytkownikach źle ukierunkowaną kreatywność. Efektem jest sugerowanie osobie zajmującej się składem, by stosowała możliwie bogaty system wyróżnień – nie tylko kursywę i pismo pogrubione, ale także podkreślenia oraz różne kroje i stopnie pisma oraz barwy druku.

Napisałmy książkę naukową lub jesteśmy jej współautorem. Tekst przeszedł już przez redakcję i publikacja została złożona przez grafika DTP. Słowo stało się ciałem – oglądamy wprawdzie dopiero plik PDF, ale to już książka, a nie tylko tekst w Wordzie. Osoba odpowiedzialna za skład, sama lub za pośrednictwem redaktora, pyta o naszą opinię. Jaki mamy na tym etapie wpływ na kształt publikacji? Jakie modyfikacje jest sens sugerować, a jakie nie?

Każda książka, w tym naukowa, powinna być spójnym dziełem sztuki edytorskiej – i to właśnie fachowiec, czyli grafik DTP, najlepiej zadba o taką spójność. Autor może i powinien zadawać pytania, sugerować, ale obstawanie przy własnych pomysłach oznacza czasem nieświadome działanie na własną szkodę, gdyż realizacja niektórych pomysłów może oznaczać powstanie publikacji sprzecznej z przyjętymi w branży standardami.

– Autorzy nie mają czasem wyobrażenia, jak dana publikacja powinna wyglądać, ale jak już otrzymają w miarę spójną propozycję składu, często zaczyna się jej „ulepszanie”, czyli przesuwanie np. podtytułów a to w lewo, a to w prawo, a to centrowanie – mówi doświadczony projektant książek, Maciej Szłapka. – Osoby te koncentrują się na jakimś jednym, wybranym elemencie, lecz nie widzą już całościowego zamysłu.

A takie manipulowanie jednym elementem powoduje, że traci on spójność z innymi, a w konsekwencji cała publikacja staje się edytorsko niespójna. – W dobrym składzie najważniejsza jest konsekwencja. Nie zawsze da się ją w pełni zachować ze względu na ograniczony czas na pracę nad książką, ale pewne elementy zawsze warto ujednolicić – podkreśla Izabela Mrowiec, ceniona graficzka i projektantka. – Jeśli np. pojawiają się wyróżnione cytaty, powinny być one prezentowane tak samo w całej publikacji; podpunkty też powinny wyglądać tak samo.

Powoływanie się na to, że określone rozwiązania spotykało się w książkach opublikowanych przez wydawnictwa naukowe, np. oficyny uniwersyteckie, może być zwodnicze. Niektóre takie instytucje, nie tylko w Polsce, zachowują wprawdzie podstawowy poziom profesjonalizmu, ale od dawna nie mogą już sta-

nowić wzorca. – Problemem składu w wydawnictwach naukowych jest drastyczne niedofinansowanie, przez co publikacje wyglądają tak samo od lat dziewięćdziesiątych albo bardzo prosto. Dobry projekt to ostatnia rzecz, w którą się inwestuje, bo dla odbiorcy książki naukowej ważna jest jednak treść, zaś przy promocji najistotniejsze jest nazwisko autora. Przez to książki naukowe często są po prostu *źle zaprojektowane i brzydkie*. *Bywa, że nie ma grafika od rycin i w książkach można znaleźć obrazki z Power Pointa, i to kiepskiej jakości – ta opinia red. Aleksandry Król, redaktora i składacza w jednej osobie, jest mocna, ale niestety mnie również nie pozostaje nic innego, jak tylko się zgodzić.* – Dobry skład przede wszystkim dobrze się czyta. Zasad poprawnego składu jest mnóstwo, ale koniec końców cel jest taki, by czytelnikowi było wygodniej. Z błędów składu (nie tylko w książkach naukowych) najczęściej widzę za małą interlinię, za duże lub za małe wcięcia akapitowe (wszystkie wartości pozostawiane są jako domyślne), brak ustawień kerningu, martwą (tj. niezmienną w całej książce) żywą paginę, źle przygotowane zdjęcia, a przede wszystkim ogólną „przaśność” edytorską publikacji naukowych.

Kicz, siatki, proporcje

Polska książka naukowa bardziej niż kiedyś odzwierciedla też oczekiwania autorów, a te bywają dla redaktorów i składaczy zaskakujące. – Niektórzy autorzy chcą po prostu kiczu w swoich książkach. „Komiksowe” obrazki czy jaskrawe kolory to norma – kręci z niedowierzaniem głową red. Król. – Redaktor jest tutaj mediatorem między grafikiem a autorem. Jednak często wydawnictwa naukowe robią książki określonego typu na jednej makiecie i problem sam się rozwiązuje.

Jeśli dane wydawnictwo stosuje jedynie ściśle i odgórnie określony layout (kształt graficzny) przygotowywanych książek lub książka ma być częścią serii wydawniczej, pole do negocjacji jest faktycznie dość wąskie. Autor powinien mieć to na uwadze, gdy składa manuskrypt w konkretnym wydawnictwie, aby się później nie okazało, że ma niewielki wpływ na kształt publikacji.

Ilustracje, tabele, infografiki i inne elementy wstawione w ciągły tekst nie mogą być rozmieszczane w sposób całkowicie dowolny. Powinny pasować do reszty strony i do sąsiadującej strony na rozwarciu, a ponadto poszczególne ilustracje muszą współgrać ze sobą wzajemnie, choćby pod względem proporcji. – Grafik buduje siatkę na rozkładówce publikacji. W ten sposób ustala, jak można umieszczać ilustracje. Różne są szkoły tworzenia siatek. Niektórzy pracują na złotym podziale, inni odpowiednimi wzorami matematycznymi dostosowują siatkę do potrzeb. Dzięki dobrze zbudowanej siatce czytelnik się nie gubi, a czytanie lub wyszukiwanie konkretnych wiadomości przychodzi mu z łatwością – wyjaśnia Izabela Mrowiec. Taka siatka nie jest rzecz jasna sztywna. – Przy dobrej siatce osoba

składająca ma znaczne pole manewru na rozkładówce, gdy pojawią się nieprzewidziane elementy. Niestety, często dobra siatka pozostaje tylko w marzeniach składacza – wzdycha graficzka. Odmienna wielkość ilustracji może zależeć od ich charakteru, np. od tematyki zdjęć. – Problemem bywa to, że autorzy nie wiedzą, że należy zachować proporcje między np. portretami a zdjęciami panoramicznymi, czyli zadbać o odpowiednią wielkość poszczególnych zdjęć i chociaż trochę je zróżnicować – tłumaczy Maciej Szłapka. Zdjęcie portretowe niekoniecznie musi zajmować całą stronę, za to fotografia skomplikowanej elewacji budynku, na której istotne są szczegóły, powinna być możliwie duża.

Kwestie związane z jakością zdjęć były już poruszane na łamach „FA”; tu warto jeszcze wspomnieć o konieczności przekazywania grafikom oryginalnych plików graficznych, a nie wersji wklejonych do edytora tekstu (wiąże się to ze znaczącą stratą jakości), oraz materiałów graficznych, w odniesieniu do których dysponujemy prawami autorskimi, zgodą dysponenta takich praw lub wiedzą, że dany materiał znajduje się w domenie publicznej. No i rzecz najważniejsza: wszelkie wykresy, diagramy, grafy itp. muszą być edytowalne. – Przy skomplikowanych ilustracjach: wykresach, diagramach, składacz ucieka się czasem do wykonania zrzutu ekranu artykułu w Wordzie i osadzenia go w programie do składu, tak jakby to było zwykłe zdjęcie – zdradza Izabela Mrowiec. – Zdarza się też, że nieedytowalne wykresy trzeba wykonać na nowo, co zajmuje więcej czasu, a autorzy są zaskoczeni efektem, gdyż wykresy czy diagramy mogą się mocno różnić od tego, co przysłali. W zależności od polityki wydawcy autor jest pytany o zgodę na takie działanie lub niekoniecznie. Gdy mamy dwudziestu autorów, a na skład jest niewiele czasu, wydawca nie jest w stanie uzyskać informacji zwrotnej od wszystkich autorów na czas.

Kłopoty z matematyką

Szczególnie grzaskim gruntem jest ingerowanie w wybór kroju pisma, którym złożony będzie główny tekst lub np. podpisy pod ilustracjami. Często projektanci starają się zestroić krój pisma z tematyką książki, ale autorzy nie zawsze akceptują proponowane rozwiązania. – Autorka książki o architekturze gotyckiej była kategorycznie przeciwna użyciu do stylizacji czcionki przypominającej czcionkę gotycką, gdyż kojarzyło jej się to z pismem hitlerowskich Niemiec – wspomina Maciej Szłapka. Warto też zaufać fachowcom, jeśli chodzi



For. Stefan Ciechan

o dopasowanie do siebie poszczególnych krajów pisma zastosowanych w publikacji – jeśli np. tekst główny jest złożony innym krojem, a podpisy pod ilustracjami innym, to nie można ich dobierać każdego w izolacji. – Ogólne zasady są dwie – tłumaczy red. Król. – Po pierwsze, w tekstach naukowych należy wybierać kroje szeryfowe do tekstu głównego – proste, bez wielu ozdóbek. Po drugie, w jednej publikacji mogą się pojawiać maksymalnie dwa kroje pisma.

Wiele krojów nie zawiera niektórych znaków specjalnych (np. matematycznych) albo nie istnieją ich adaptacje w innych alfabetach (cyrylicim, greckim, hebrajskim). Można rzecz jasna posiłkować się znakami z innych krojów, ale nie zawsze rezultat estetyczny jest zadowalający. – Znaki matematyczne świetnie działają w edytorach tekstu; niestety w podstawowych wersjach programów do składu do tej pory nie ma tak podobnych możliwości – rozkłada ręce Izabela Mrowiec. – Składacz, który nie ma dostępu do rozszerzonej wersji programu DTP, musi sobie jakoś z tym poradzić. Jeśli się to całe równania itd., są na to odpowiednie sposoby. Natomiast gdy w ciągłym tekście pojawiają się pojedyncze znaki, czasami problem jest nie do przeskoczenia. Niektóre wydawnictwa zaznaczają, że prac naukowych ze znakami matematycznymi nie przyjmują; są też takie, które się w tym specjalizują.

Dążenie do perfekcji

Rosnące bogactwo narzędzi oferowanych przez edytory tekstu zdaje się wyzwalać w niektórych użytkownikach złe ukierunkowaną kreatywność. Efektom jest sugerowanie osobie zajmującej się składem, by stosowała możliwe bogaty system wyróżnień – nie tylko kursywe i pismo pogrubione, ale także podkreślenia oraz różne kroje i stopnie pisma oraz barwy druku. Tymczasem nadmiar wyróżnień w tekście wcale nie sprzyja czytelności. – Gdy na jednej stronie mamy kilka stopni pisma, podkreślenia, wytłuszczenia, kolory i jeszcze niekiedy dodatkowo kursywę, wcale nie ułatwiamy czytelnikowi odbioru, lecz jedynie go zniechęcamy i zmuszamy do większego wysiłku – ocenia Izabela Mrowiec. – Warto zastanowić się nad użyciem brzytwy Ockhama, gdy liczba różnego rodzaju wyróżnień przekroczy trzy. Przy składzie publikacji naukowych, gdzie sama treść często wymaga od czytelnika sporego skupienia, trzeba pamiętać, by główna treść była przedstawiona jednolicie. Wyróżniamy zatem tylko tytuły i śródtytuły.

Tu również można zaobserwować złe ukierunkowane dążenie do perfekcji. – Mam wrażenie, że w niektórych książkach powstających długo lub etapami autor przy każdym podejściu chce jeszcze lepiej przedstawić dane niż stronę wcześniej – zastanawia się Izabela Mrowiec. – Brak konsekwencji złe wpływa jednak na przyswojenie przez czytelnika informacji. Osoba składająca również ma zagwozdkę, jak złożyć dzieło, by przynajmniej wydawało się ono uporządkowane i przemyślane.

To właśnie wyróżnienia są najczęstszym polem konfliktów przy publikacjach, w których różne rozdziały przygotowują różne osoby. Zdarza się, że jeden autor chce, by w jego rozdziale zastosować inne wyróżnienia niż w pozostałych – i nie rozumie, że to niemożliwe. Konsekwencję, nie tylko przy wyróżnieniach, należy zachowywać w czasopiśmie, a co dopiero w publikacjach zwartych.

Tekst po składzie nie powinien być już znacząco zmieniany. Korekty po składzie powinny polegać na usuwaniu drobniejszych usterek przeoczonych przez redaktora (literówek, błędów interpunkcyjnych) oraz błędów składu. To ważna różnica między redakcją a korektą: redakcja może oznaczać głębokie ingerencje w tekst, korekta zaś nie powinna już na tym polegać. Instrukcje dla autorów w niektórych wydawnictwach zawierają wręcz ostrzeżenia, że po składzie zmiany w tekście powy-

żej pewnego progu (i to dość niskiego, np. 5%) będą wiązać się z dodatkowymi kosztami, które będzie obowiązany pokryć autor. Znaczne przeróbki – usuwanie lub dodawanie dużych partii tekstu, tabel, ilustracji itp. – oznaczają bowiem konieczność tzw. przeskładania materiału, a zatem dodatkową pracę i czas. – Czasem mam wrażenie, że niektórzy autorzy na etapie korekt po składzie tak naprawdę piszą część lub całość publikacji po raz wtóry – rozkłada ręce Leonard Szlępka, doświadczony składacz. – Dodają obszerne nowe partie tekstu, wstawiają zupełnie nowe ryciny i tabele, przenoszą dłuższe fragmenty tekstu w inne miejsce, a to wszystko w całej książce.

Ach te poprawki!

Autor może i powinien cyzelować pracę razem z redaktorem i grafikiem, ale gdy na późnych etapach pracy nad książką dokończonywane są duże zmiany, rośnie szansa, że dążenie do perfekcji poskutkuje publikacją pełną niedociągnięć znacznie poważniejszych niż te, których autorzy usiłowali uniknąć.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na bardzo ogólną kwestię: We wszelkich kontaktach z wydawnictwem – zarówno z redaktorem, jak i ze składaczem – istotna jest pewna dyscyplina, polegająca na przekazywaniu uwag do danego projektu całościowo i jednym kanałem komunikacji, najlepiej pocztą elektroniczną, aby można było łatwo prześledzić historię korespondencji. – Zdarza się, że autor (lub redaktor) dosyła treści i materiały do jednej publikacji w osobnych mailach, a później mu się czegoś zapomni i wysyła uwagi do jakiegoś konkretnego tekstu w jeszcze innym mailu o innym tytule. Składacz traci wtedy wątek i nie pamięta już, jakie miał przemyslenia albo czy wprowadził już daną uwagę, czy jeszcze nie – wskazuje Izabela Mrowiec. Grafikowi najlepiej pracuje się na całości, zatem skład najlepiej zaczynać, gdy ma się już komplet materiałów, a poprawki przekazywać wszystkie do całości lub do danej części tekstu, a nie w małych transzach. Istotne jest również przestrzeganie konkretnych, wskazanych przez redaktora lub składacza sposobów wprowadzania poprawek. Redaktor lub grafik zawsze muszą mieć możliwość prześledzenia, co zostało zmienione. – Tymczasem zdarzają się autorzy, którzy część uwag wpisują jako komentarze w edytorze tekstu, część jako zmiany w samym tekście bez powiadamiania, że wprowadzili jakieś zmiany, jeszcze inne uwagi przekazują w mailu, kilka telefonicznie, a kolejne jako komentarze nałożone na plik PDF. Osobiście jestem wielbicielką ostatniej opcji. Wiadomo wtedy konkretnie, w którym miejscu trzeba coś poprawić – radzi Izabela Mrowiec. Najmniej konstruktywnym sposobem komunikacji z grafikiem DTP (jak również z redaktorem) jest natomiast ingerowanie w sam plik PDF. Komentarze są nakładane na złożony materiał, nie są częścią jego struktury i można je usunąć, nie naruszając składu. Natomiast dopisywanie tekstu i inne ingerencje w złożony już materiał rujną pracę grafika i często skutkują tym, że złożony już tekst trzeba łamać zupełnie od nowa.

Projektowanie książek jest sztuką, często niedocenianą, a jeszcze częściej słabo opłacaną. Praca z utalentowanymi grafikami DTP pozwoliła mi ją docenić. Poziom edytorski książek wydawanych przez polskie oficyny uczelniane rośnie, coraz częściej inwestuje się w usługi fachowców. Na półce u mnie w domu stoi jednak książka, która jeszcze długo będzie zawstydzają mnie jako redaktora. *Четырёхзначные математические таблицы*, czyli tzw. tablice Bradisa – radzieckie tablice trygonometryczne przygotowane przez akademika Władimira Modestowicza Bradisa, wydanie z 1955 roku. Niby tylko użytkowe materiały dla uczniów i studentów, ale ich prosta, niewymuszona elegancja, rozplanowanie stron czy dobór kroju pisma i cyfr starzeją się z godnością niedostępną wielu współczesnym, znacznie bardziej fachowym publikacjom.

Klimatyczny wachlarz emocji

Zagadką jest to, które emocje uruchamiają nasze zaangażowanie proekologiczne. Naukowcy stawiają tezę, że jedną z nich może być... złość.

Z wielu miejsc, w których można na własne oczy zobaczyć to, co od pewnego czasu dzieje się z klimatem, obszary podbiegunowe wydają się najlepszym punktem obserwacyjnym. Jeszcze cztery dekady temu arktyczne lodowce rozciągały się na powierzchni 7,5 mln km², dziś to już nieco ponad o jedną trzecią mniej. Utrata globalnych pokładów lodu silnie przyspieszyła w ostatnim ćwierćwieczu, kiedy przyrost prędkości topnienia wyniósł ponad 60%. Zdecydowana większość tej masy roztopiła się na skutek cieplejszej atmosfery, pozostała część – przez cieplejsze oceany.

Tempo wzrostu temperatury oceanów powiększyło się od końca ubiegłego stulecia ponad dwukrotnie. Temperatura oceanów wzrosła od końca ubiegłego stulecia ponad dwukrotnie. Jedną z konsekwencji jest ograniczona ilość tlenu i substancji odżywczych dla organizmów morskich. Postępuje degradacja ekosystemów – zmniejsza się liczba ryb, poważnie zagrożone są rafy koralowe i małże. Zmiany w oceanach powodują, że pogoda na świecie staje się bardziej ekstremalna, cyklony już teraz przynoszą ze sobą większe opady deszczu, silniejsze wiatry.

Maksymalne temperatury są też głównym czynnikiem decydującym o przetrwaniu danej populacji. W ciągu ostatnich 500 lat wyginęło co najmniej 80 gatunków ssaków i 140 gatunków ptaków, a przez najbliższe półwiecze może ubyć nawet jedna trzecia żyjących obecnie gatunków. W tropikach, a więc tam, gdzie występuje większość z nich, wymieranie może być dwu-, a nawet czterokrotnie intensywniejsze.

W majowym FA dużo miejsca poświęciliśmy suszy. Jej częstotliwość i nasilenie w ostatnich latach to także efekt zmiany klimatu. Wylizcać można by długo... Ale liczby to przecież nie wszystko. Za nimi kryje się coś jeszcze. Bo czyż te doniesienia nie przerażają? A może wywołują przygnębienie? Albo złość? Jak reagujesz na zmieniające się wokół środowisko?

– Emocje są osią naszego doświadczenia, choć często nie bierze się ich pod uwagę. W badaniach dotyczących psychologii zmiany klimatu bądź psychologii środowiskowej naukowcy skupiają się zazwyczaj na mechanizmach poznawczych. Tymczasem to emocje w dużej mierze decydują o tym, w jaki sposób zapamiętujemy i przetwarzamy informacje oraz mają wpływ na nasze zdrowie i samopoczucie. Co za tym idzie, determinują

naszą aktywność, zaangażowanie – tłumaczy Michalina Marczak, doktorantka w Norweskim Uniwersytecie Nauki i Technologii w Trondheim (NTNU).

Międzynarodowy zespół z jej udziałem rozpoczął właśnie badanie emocji odczuwanych w związku ze zmianą klimatu. Naukowcy chcą poznać nie tylko rodzaj, zakres, ale również kontekst, w jakim są odczuwane oraz sedno ich przeżywania. Spróbują też określić wpływ różnych przekazów na zachowania proekologiczne. Wreszcie, za pomocą metody funkcjonalnego rezonansu magnetycznego, zmierzają odpowiedź mózgu na emocjonalne opisy zmiany klimatu.

– Należy pamiętać, że w przypadku emocji mamy do czynienia zazwyczaj z bardzo szerokim ich spektrum. W kontekście klimatu na pierwszym planie pojawiają się smutek, lęk, złość. Ale w naszej ocenie jest ich zdecydowanie więcej, bo to zjawisko wielowymiarowe – przekonuje dr hab. Artur Marchewka, prof. Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Marcellego Nenckiego PAN.

Smutek, złość, strach

Słowa lidera projektu znajdują potwierdzenie w przeprowadzonych dotąd ponad 70 pogłębionych wywiadach. Pytano m.in. o emocje towarzyszące myślom o zmianie klimatu, radzenie sobie z nimi, najbardziej niepokojące zjawiska związane z klimatem czy działania podejmowane w trosce o środowisko. Badacze nie definiowali, czym jest zmiana klimatu, pozwalali rozmówcom swobodnie opowiadać. „Zacząłem odczuwać egzystencjalny żal. Wszedłem na inny poziom, na którym nauczyłem się doceniać życie w zupełnie inny sposób. Doceniać i kochać życie, takie, jakim jest teraz” – usłyszeli od jednego z uczestników. U innego pojawiła się rozpacz: „Płacę z czystego smutku. Kiedy śledzę wiadomości, czytam prasę, oglądam telewizję. Widzę (...) naprawdę okropne rzeczy, które dzieją się ze środowiskiem naturalnym. Zdarza mi się płakać, kiedy myślę o przyszłości moich dzieci i wnuków i myślę – o Boże, w jakim nieśczęsnym świecie przyjdzie im żyć”.

Wywiady przeprowadzano w Polsce i w Norwegii – miejscach, wydawać by się mogło, z różnych krańców ekologicznej skali. Z jednej strony kopalnie, smog spowijający miasta

i zamięłowanie do betonozy, z drugiej – krystalicznie czysta woda w fiordach, nieskażone powietrze i technologie sprzyjające środowisku. Tyle że ten wyidealizowany obraz Północy mocno kłóci się z eksploatacją złóż ropy naftowej, na której oparte jest przecież bogactwo Norwegii.

– Tłumacz się, że w zamian mają zielone technologie, a ich platformy wiertnicze są zasilane panelami słonecznymi. W Polsce często mówi się: „co z tego, że zamkniemy kopalnie, skoro w Niemczech otwierają nowe”. Punkt odniesienia stanowią dla nas inni. Norwegowie, z którymi rozmawialiśmy, mają z kolei ogromne poczucie winy – wiedzą, że mogliby coś zrobić dla świata, ale nie ma do tego woli politycznej. Słyszałam w ich głosie wiele frustracji z tego powodu – przyznaje Michalina Marczak.

Z wywiadów tam zebranych wyłoniły się trzy główne emocje. Najsilniej odczuwany był smutek, wiele osób, z którymi badacze rozmawiali, miało łzy w oczach z powodu nieodwracalności zmian zachodzących w środowisku. Czuli też złość na tych, którzy mają moc decyzyjną – polityków, korporacje – ale niewiele robią. Irytowali się na społeczeństwo, które nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia, żyje jak gdyby nigdy nic. Młodszy mieli pretensje do starszych o to, że ci ukradli im przyszłość poprzez swój sposób życia i to, jak zorganizowali gospodarkę. Na pograniczu smutku i złości występowało rozczarowanie wobec ludzi, którzy powoli i nieskutecznie reagują na kryzys klimatyczny. Pojawiał się też strach, niektórzy wspominali o objawach lękowych. Dzieleni się niepewnością dotyczącą przyszłości: jak organizować życie, skoro za chwilę wszystko może się zmienić?

– Obok pierwotnych reakcji emocjonalnych można wyróżnić jeszcze wtórne, jak np. poczucie osamotnienia i izolacji. Dużo było też poczucia beznadziei – wymienia Marczak.

I przywołuje wypowiedź uczestniczki, która porównała obciążającą ją świadomość zmiany klimatu do otrzymania diagnozy śmiertelnego nowotworu: przewidywała nadciągającą katastrofę ekologiczną, a wraz z nią społeczną, wojny o wodę... Inni odczuwali winę za całą ludzkość, pytali, jak

ludzie mogą być tak okrutnymi, samolubnymi szkodnikami, niszcząc wszystko dookoła. „Naszemu gatunkowi należy się kara, tylko jeśli wyginie, będzie można ocalić resztę przyrody” – to jeden z bardziej wstrząsających cytatów.

Ale, co ciekawe, pojawiły się też pozytywne emocje. Przejawiały się w aktywizmie młodych ludzi czy obserwacji choćby takich inicjatyw, jak sprzątanie przez wolontariuszy plaży w Bombaju czy przekształcenie gospodarstwa przemysłowego w regeneratywne. „Mam nadzieję, że natura okaże się wytrzymała, że będzie w stanie się dostosować do naszych działań. I że nie uda nam się chociaż tego zepsuć. To jest inny rodzaj nadziei” – opisywał swój stan jeden z uczestników.

Podobnie w Polsce, choć tu wypowiedzi wciąż są jeszcze opracowywane. Wstępna analiza pokazuje jednak również występowanie pozytywnych emocji. Tym niemniej widmo katastrofy i tu jest widoczne. Wbrew pozorom reakcje wywołuje u pytanych nie tylko to, co dzieje się wokół nich. Rzeczywiście u Norwegów, którzy zmiany dostrzegają gołym okiem (duża część kraju znajduje się w Arktyce, widać topniejące lodowce, umierające stada reniferów pozbawione pokarmu na skutek degradacji ekosystemów), smutek, złość czy strach mogą w dużej mierze wynikać z obserwacji otoczenia. Ale i w jednym, i w drugim kraju niebagatelne znaczenie odgrywają też procesy globalne. „Każda konfrontacja z faktami i liczbami sprawia, że czuję się sfrustrowana tym, jak bardzo ludzkość rości sobie prawa do świata, w którym żyje. Mam wrażenie, że udało nam się oszukać samych siebie i wydaje nam się, że zajmujemy na tym świecie jakieś szczególne miejsce. Podejrzewam, że wielu ludzi, którzy zaprzeczają istnieniu kryzysu klimatycznego, nawet nie dopuszcza do siebie myśli, że człowiek może być jednym z wielu gatunków na drodze do wymarcia” – gorzko wypowiadała się Polka biorąca udział w badaniu.

Polak, Norweg, Tybetańczyk...

Michalina Marczak zauważa, że o ile Norwegia, kraj bardzo podzielony w kwestii zmian klimatu, nie doświadczyła w swojej historii tragedii na miarę II wojny światowej, miejscowy rząd



Dno jeziora Rakutowskiego zlokalizowanego w Kotlinie Płockiej w czasie suszy w 2008 roku

Fot. Marcin Lamentowicz

cieszy się ogromnym zaufaniem, a obywatele mogą w potrzebie zawsze liczyć na pomoc państwa, o tyle w Polsce sytuacja wygląda inaczej. Dlatego stawia hipotezę, że finalnie wyniki badań pokażą większy strach i obawy co do przyszłości po naszej stronie. Nie spodziewa się jednak zbyt wielkich różnic. Jej zdaniem, reakcje emocjonalne na duże zagrożenia czy kluczowe wyzwania cywilizacyjne są dość uniwersalne. Na wieść o wymieraniu gatunków zarówno mieszkańcy Antarktydy, jak i Tybetańczycy czy Nowojorczyki reagują podobnie. Ale to nie przypadek, że badania prowadzone są właśnie w dwóch krajach.

– Dane z krajów o odmiennej kulturze i statusie socjoekonomicznym pokażą, w jaki sposób w danej populacji emocje motywują do angażowania się – wyjaśnia lider projektu.

Wywiady to pierwszy etap. Na bazie uzyskanych wyników powstanie pierwsze na świecie kompleksowe narzędzie do mapowania spektrum emocji odczuwanych w związku ze zmianą klimatu. Będzie to kwestionariusz, za pomocą którego opracowany zostanie model tego, co kształtuje emocje i jak determinują one nasze zaangażowanie. Naukowcy wykorzystają go następnie w badaniu populacyjnym, które przeprowadzą w obu krajach na próbie ponad tysiąca osób. Dotąd intencjonalnie rozmawiano bowiem tylko z tymi, którzy czuli się wyraźnie zmartwieni zmianą klimatu.

– Trzeba podkreślić, że poszczególne grupy społeczne nie muszą odczuwać tych samych emocji. Młodzi mogą mówić o strachu przed życiem w nieakceptowanym przez nich, zdegradowanym środowisku. Starsi mogą irytować się na nieodpowiedzialność innych i częściej odczuwać rezygnację. Róż-

nice będą też wynikały z wiedzy na ten temat, a także statusu socjoekonomicznego. To bardzo złożony proces, a my jesteśmy na samym początku drogi do jego zrozumienia – wyjaśnia A. Marchewka.

Badacze chcą sprawdzić m.in., w jaki sposób reagują osoby mające silną emocjonalną więź z przyrodą. Czy ich emocje będą intensywniejsze? Dzięki specjalnej aplikacji dowiedzą się też, w których miejscach ciała umiejscawiamy reakcje emocjonalne dotyczące klimatu. Być może będą to ramiona, a może brzuch albo czoło? W ostatnim etapie wykorzystana zostanie metoda fMRI, dzięki której w sposób nieinwazyjny obserwowana będzie aktywność mózgu w zależności od zabarwienia emocjonalnego nadawanych komunikatów o zmianie klimatu. Oglądając film, np. o huraganie Katrina, możemy nie do końca umieć zwerbalizować to, co czujemy. Metody obrazowania mózgu pokażą obiektywnie, jaka odpowiedź popłynie z centralnego układu nerwowego. Stąd już tylko krok, by dowiedzieć się, w jaki sposób odpowiedź mózgu przełoży się na działania proekologiczne. Innymi słowy zagadką do rozwiązania jest to, które emocje będą czynnikiem uruchamiającym zaangażowanie. Moi rozmówcy stawiają tezę, że jedną z nich może być... złość. W końcu to pod jej wpływem niejednokrotnie przystępujemy do działania. Dlaczego w przypadku klimatu miałyby być inaczej?

– Przez dziesiątki lat żyliśmy w przekonaniu, że emocje są oddzielone od tego, w jaki sposób podejmujemy decyzje. Tymczasem wszystkie nasze wybory, czy to ekonomiczne, czy społeczne, mają związek z emocjami. Reagujemy emocjonalnie na informacje, które są kluczowe dla naszego funkcjonowania. Jeśli pominiemy ten aspekt, nie będziemy w stanie zbudować dyskursu społecznego ani motywować ludzi do działania. Bez tej wiedzy trudno będzie pójść do przodu – nie ma wątpliwości dr hab. Artur Marchewka, który od lat zajmuje się wpływem emocji na nasze zachowanie oraz mechanizmami ich przetwarzania w ludzkim mózgu.

Z kajta do... laboratorium

Tematem emocji klimatycznych zainteresował się między innymi przy okazji... swojego hobby. Od wielu lat uprawia kitesurfing oraz wakeboarding, woda i wiatr to jego żywioły, i coraz częściej przy okazji sportowej pasji doświadcza ekstremalnych zmian wiatrów. Postanowił te pozazawodowe obserwacje przenieść niejako na grunt naukowy. Zwłaszcza, że – jak się okazało – holistyczne badania nad emocjami klimatycznymi to aspekt zaniedbany przez badaczy. Dzięki inicjatywie Michaliny Marczak, która wcześniej w Instytucie Nenckiego zajmowała się reakcjami emocjonalnymi związanymi z marnowaniem żywności, a obecnie w ramach doktoratu u dr. Christiana A. Klöcknera, czołowego psychologa klimatycznego na świecie, bada wzajemne powiązania między emocjami, dobrostanem psychicznym i stanem środowiska naturalnego, połączyli siły. Stworzyli interdyscyplinarny zespół, do którego zaangażowali m.in. psychoterapeutę pracującego z osobami z lękami bądź fobiami, psychologów zajmujących się depresją i zaburzeniami osobowości oraz interesujących się wykorzystaniem technologii w terapii i diagnostyce. Efektem trzyletnich prac mają być swego rodzaju wytyczne, zarówno dla rządzących, NGO-sów czy mediów, na temat skutecznej komunikacji ze społeczeństwem.

– Chcemy przyczynić się do tego, by informacje o tym, co dzieje się z klimatem, dotarły do szerokiego grona odbiorców i wpłynęły na zmianę naszego postępowania wobec środowiska naturalnego – konkludują badacze biorący udział w projekcie „Climate Change Emotions”, finansowanego z funduszy norweskich w ramach konkursu GRIEG Narodowego Centrum Nauki.



Rys. Sławomir Makal

Alicja Kulecka

Patriotyzm, poświęcenie, jedność

Społeczeństwo 1863 roku w dokumentach powstania

Powstania polskie, których celem głównym było odzyskanie państwowości, doczekały się licznych refleksji przybierających różne formy narracji. Stawały się wątkami opowieści literackich, dyskusji historycznych, filozoficznych, politycznych. Każdy ruch społeczny i wysiłek zbrojny, którego celem było odzyskanie niepodległości, stanowił świadectwo pragnienia restytucji suwerennego państwa jako najlepszej gwarancji ochrony i rozwoju tożsamości narodowej postrzeganej jako efekt wspólnoty emocjonalnej, intelektualnej i historycznej, której głównym podmiotem była Rzeczypospolita w jej granicach sprzed pierwszego rozbioru.

Rozważania o powstaniu 1863 roku, jego genezie, przyczynach, przebiegu, konsekwencjach, rozpoczęły się wraz z zakończeniem tego ruchu. Pierwszymi ich inspiratorami byli uczestnicy. Za czołową wśród nich postać uznać należy Agatona Gillera, członka elit tajnych stowarzyszeń, Tymczasowego Rządu Narodowego i Rządu Narodowego, nieformalnego prezesa jednego ze składów tego gremium. Istotnym motywem prowadzącym do dyskusji o dziejach powstania w gronie uczestników była najczęściej chęć wyjaśnienia, poznania przyczyn klęski, kolejnego niepowodzenia podjętej walki o niepodległość. Te wątki były podejmowane przez literatów, historyków, innych twórców refleksji humanistycznych. Ze względu na dorobek historiografii badania nad dziejami powstania wymagają poszukiwania obszarów słabiej dotychczas poznanych, niepoddanych refleksji wcześniejszych pokoleń historyków. Stefan Kieniewicz, jeden z badaczy zajmujących się dziejami ruchu powstańczego, znawca i edytor źródeł do tego wydarzenia, traktował uprawianą tematykę jako zbiór problemów uniwersalnych, które mogły inspirować nowe interpretacje kolejnych pokoleń historyków. Powstanie stanowiło określony akt polityczny. Inspirowały je idee dobrze widoczne w komunikacie kierowanym do społeczeństwa, zawarte w manifestie i pierwszych dekreтах wydanych przez Komitet Centralny Narodowy jako Rząd Tymczasowy. Były nimi: równość społeczna, postrzegana jako równość wobec prawa, poszanowanie godności i wolności osobistej

każdego człowieka, zapewnienie godnych warunków życia każdej grupie społecznej poprzez nadanie własności ziemi uprawiającym ją chłopom i niepodległość.

Analiza dotychczasowego bogatego dorobku historiograficznego w zakresie powstania 1863 roku przyczyniła się do sformułowania tezy zakładającej, że ideologia społeczna stanowiła rzadziej występujący temat refleksji historyków w stosunku do rozważań o genezie, przyczynach, przebiegu i konsekwencjach. Za istotny jej element uznana została wizja obowiązków i praw społeczeństwa oraz poszczególnych grup, ich pozycji i roli w tej strukturze, w najważniejszych dokumentach powstania. Za takie uznano akty prawne wydawane przez Komitet Centralny Narodowy jako władzę zwierzchnią Organizacji Narodowej, Tymczasowy Rząd Narodowy, Rząd Narodowy. Instytucje te dążyły do kształtowania postaw społecznych poprzez tworzenie dokumentów stanowiących efekt idei państwa prawa. W wyniku analiz zawartości przyjęto założenie, że pożądany system wartości służących odzyskaniu państwowości oparty miał być na ideach patriotyzmu, poświęcenia, jedności. Elity spiskowe i powstańcze dążyły do przekazywania komunikatów do społeczeństwa poprzez wydawanie druków ulotnych. Stanowiły one istotne narzędzie walki o społeczeństwo równych, zintegrowanych wokół idei wolności. Zawierały programy, różne teksty prawne. Ważną rolę w komunikacji miała pełnić prasa zawierająca komentarze do bieżących wydarzeń politycz-

nych. Ten system komunikacji służyć miał kształtowaniu poglądów i postaw. Elity tajnych stowarzyszeń i władz powstania posiadały ograniczone możliwości wykonawcze. Wynikało to z faktu, że terytorium ziem polskich tworzących przed 1772 rokiem Rzeczpospolitą administrowały państwa zaborcze. One były formalnym gospodarzem terenu. Tworzona w wyniku programów i prawa stowarzyszeń spiskowych struktura administracyjna miała charakter władzy alternatywnej, mogącej funkcjonować jedynie dzięki indywidualnym wyborom ideowym. Programy Komitetu Centralnego Narodowego, Tymczasowego Rządu Narodowego i Rządu Narodowego zawierały założenie o odzyskaniu niepodległości samodzielnie, poprzez wysiłek całego społeczeństwa. Przyjmowano tezę, że to jego samoorganizacja jest najskuteczniejszą metodą służącą restytucji państwowości. Odrodzona suwerenność stanowiąc miała dzieło zbiorowe, wysiłek wszystkich grup społecznych.

Wizja społeczeństwa w dokumentach powstania

Przedmiotem mojej refleksji stały się następujące elementy ideologii społecznej powstania: problem reprezentacyjności społecznej Komitetu Centralnego Narodowego i władz powstania, wizja przyszłego państwa, administrowanie ruchem powstańczym, podatki oraz inne świadczenia finansowe i materialne, powinności wojskowe, społeczne wsparcie powstania, ograniczenia, zakazy, kary jako czynniki kształtujące postawy społeczne, pluralizm, sprawy różnorodności postaw i poglądów oraz wolności wypowiedzi prasowych, rola poszczególnych grup w społeczeństwie.

Problemy reprezentacyjności

Jedną z istotnych kwestii wiążących się z relacjami pomiędzy elitami spiskowymi i władzami powstania a społeczeństwem była kwestia reprezentacyjności stowarzyszeń spiskowych. To zagadnienie łączy się z pytaniem, w jakim stopniu tego typu organizacje spełniały oczekiwania społeczeństwa, bardzo zróżnicowanego w aspekcie majątkowym i intelektualnym. W monarchii absolutnej, jaką była Rosja lat sześćdziesiątych XIX wieku i połączone z nią Królestwo, trudno byłoby odnaleźć mechanizmy służące weryfikacji programów i działań poszczególnych grup ideowych. Przyznawały one sobie status reprezentanta całego społeczeństwa, całego narodu. Miało to służyć legitymizacji ich władzy. Za najważniejsze funkcje wynikające z jej sprawowania uważano tworzenie programów zawierających strategię i taktykę walki o niepodległość. Zawierały założenie, że jest ona pragnieniem całego społeczeństwa. Realizacja programów i przyjmowanych w nich założeń stanowić miała płaszczyznę podporządkowania społeczeństwa gremiom wyłanianym przez tajne stowarzyszenia i władze spiskowe. Komitet Centralny Narodowy przedstawił szereg argumentów wspierających tezę o pełnieniu przezeń roli reprezentanta całego społeczeństwa. Były to: a) reprezentowanie interesów wielu grup społecznych – inteligencji, mieszczaństwa, duchowieństwa niższego i średniego, chłopów, części ziemiaństwa, poprzez udział osób wywodzących się z nich w pracach spiskowych; b) inicjowanie prac narodowych, czyli działań w różnej formie o szerokim zakresie społecznym, kierowanych do wszystkich członków społeczeństwa, służących odzyskaniu suwerenności; c) kierowanie nimi. Program stowarzyszeń spiskowych i władz powstania był skierowany do całego społeczeństwa, ale praktycznie docierał i był aprobowany przez tych jego członków, którzy odczuwali przynależność do wspólnoty narodowej, posiadali świadomość więzi emocjonalnych i historycznych z nią, zamieszkiwali jednak w różnych państwach zaborczych i innych państwach Europy. Jednym z istotnych kryteriów wyróżniających wspomnianą zbiorowość stała się chęć

podporządkowania się władzy instytucji rządu powstańczego, akceptacja jego programu, niechęć do prowadzenia negocjacji z innymi środowiskami politycznymi, szczególnie tymi współdziałającymi z administracją państw zaborczych.

Działalność organizacji spiskowych i władz powstania opierała się na wybranych reprezentantach społeczeństwa. Za najdoskonalszych uznano członków organizacji spiskowej i powstańczej. Ich zasadniczym wyróżnikiem miał być patriotyzm oznaczający chęć walki zbrojnej o niepodległość. Dokumenty kolejnych rządów powstańczych adresowane były do całego narodu. Demonstrowano w nich świadomość jego zróżnicowania i istnienia wewnątrz tej wspólnoty różnic wiary, pochodzenia, stanu. Rząd zdawał sobie sprawę z odmienności wyznaniowych, majątkowych i narodowościowych zbiorowości odczuwającej więzi emocjonalne i historyczne z utraconą Rzeczpospolitą. Program jego działania zakładał stworzenie społeczeństwa zintegrowanego wokół walki o niepodległość. Podstawą tworzenia tych nowych więzi stać się miała równość, która prowadzić miała do poszanowania godności, wolności osobistej, stworzenia społeczeństwa połączonego wzajemnym zrozumieniem potrzeb i interesów różnych grup. Tak zintegrowane społeczeństwo stanowiło gwarancję realizacji zasadniczego celu, jakim była niepodległość.

Programy Komitetu Centralnego Narodowego jako władzy naczelnej Organizacji Narodowej, Tymczasowego Rządu Narodowego i Rządu Narodowego zawierały założenie udziału w walce o suwerenność całego społeczeństwa. Każdy miał obowiązek osobistego uczestnictwa w niej lub wsparcia w oczekiwanych przez władze powstania formach. Różnicowanie ideowe elit kierujących władzami spiskowymi prowadziło do powstawania różnych ośrodków władzy. W pierwszym okresie powstania pojawiła się idea dyktatury jako sprawnej władzy łączącej uprawnienia wojskowe i cywilne służące realizacji celów militarnych powstania. Za minimalny cel uznano opanowanie terytorium umożliwiającego ujawnienie się rządu powstańczego i kierowanie walką z niego. Ani dyktatura Ludwika Mierosławskiego, inspirowana i ustanowiona przez czerwonych, ani Mariana Langiewicza, której patronowali biali, nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Władza najwyższa przez większą część okresu walki o wolność była sprawowana przez instytucję kolegiatną ze słabo wyodrębnioną funkcją prezesa, pierwszego ministra, formalnie niezapisaną w żadnym dokumencie. W czasie działań kolejnych gabinetów Rządu Narodowego wykształcała się umiejętność współdziałania różnych orientacji politycznych, prezentujących różne wizje przyszłego państwa i społeczeństwa. Ta integracja nie była jednak doskonała. Rywalizacja pomiędzy białymi i czerwonymi prowadziła także do powstawania rządów o jednolitym składzie ideowym, za jakie uznać należy dwa rządy, którym przewodził Franciszek Dobrowolski: czerwcowy, określane także mianem rządu czerwonych prawników, i wrześniowy. Niechęć czerwonych wobec rządu Karola Majewskiego, choć formalnie ich reprezentanci byli w jego składzie, przyczyniła się do organizowania i stosowania przez nich terroru indywidualnego skierowanego przeciwko przedstawicielom administracji Królestwa Polskiego, Imperium Rosyjskiego i osób znanych z przekonań legalistycznych. Takie działanie stanowić miało świadectwo tożsamości i siły orientacji czerwonej.

W analizowanych dokumentach Rządu Narodowego widoczne było przekonanie o pełnieniu misji z woli całego narodu i działaniu dla zaspokojenia jego potrzeb, w tym istotnej potrzeby posiadania własnego suwerennego państwa, traktowane jako prawo naturalne. Rząd postrzegał społeczeństwo nie jako zbiór jednostek indywidualnych, federację osobowości, lecz jako organizm połączony siecią wzajemnych powi-

zań i zależności. Taka wizja bliższa była ideologii konserwatywnej. Wskazać jednak należy, że demokratyzm z podstawowym założeniem równości, szacunku dla godności i wolności, również nie sprzyjał postrzeganiu społeczeństwa jako zbiorowiska indywidualności.

Wizja odrodzonego państwa

Posiadanie własnej państwowości stanowiło w wieku XIX jedno z kryteriów oceny wartości politycznej wspólnoty narodowej, jej skuteczności w obronie własnej tożsamości, prawa do silnego statusu na forum międzynarodowym, wpływu na kształtowanie wizji świata, udziału w rozwoju nowych technologii i korzystania z ich dobrodziejstw. Istnienie narodu bez państwa nie wydawało się perspektywą trwałą. Nie było postrzegane jako doskonała forma bytu politycznego. Wizja przyszłego państwa stanowiła istotny element programu politycznego. Treści z nią związane kierowane były do różnych grup społecznych. Znalazły się w wielu dokumentach.

Jedną z pierwszych wizji odrodzonego państwa została zarysowana w okólniku kierowanym do społeczności chłopskiej wydanym z okazji święta Matki Boskiej Zielnej 15 sierpnia 1862 r. przez Organizację Narodową. Odrodzone państwo miało być oparte na zasadzie równości wobec prawa. Zniesione miały być wszystkie świadczenia w naturze, w tym pańszczyzna. Wymierzanie kary miało być możliwe jedynie na podstawie wyroku sądowego. Zapowiadano niskie podatki. Ich zmniejszenie wynikać miało z likwidacji systemu szpiegowania społeczeństwa oraz zmniejszenia stanu armii. W odrodzonym państwie działać miał sprawnie system

edukacyjny złożony ze szkół parafialnych, gminnych, powiatowych, wojewódzkich. Dzięki niemu dzieci chłopskie miały uzyskiwać posady urzędnicze i stanowiska w armii. Rząd miał kształcić dzieci tych, których nie stać było na wydatki na edukację.

Wizja przyszłego państwa zawarta została także w dokumencie regulującym kwestie uwłaszczenia na Rusi, tzw. Złotej hramocie. Występowała w nim, podobnie jak we wcześniejszych aktach prawnych, wizja państwa obywateli równych wobec prawa, obdarzonych wolnością osobistą, z prawem do swobodnego przemieszczania się. Znalazły się w nim także zapowiedzi istnienia instytucji reprezentacyjnych, wyborów do nich, tolerancja wobec odmienności wyznaniowych, etnicznych i językowych. Językiem używanym w szkołach miał być ten, który dominował na określonym terytorium. Widoczna tu była wizja państwa z systemem parlamentarnym, wielonarodowego i wielowyznaniowego. Taka idea bliska była kształtowi terytorialnemu Rzeczypospolitej sprzed 1772 roku. Idea różnych form autonomii miała służyć budowie państwa odrodzonego, uwzględniającego zmiany, które następowały na tym terytorium, a przede wszystkim początki kształtowania odmienności opartych na języku i wyznaniu, tak jak w przypadku Rusinów postrzeganych jako zbiorowość obdarzona silnym poczuciem wspólnoty opartej na wspomnianych czynnikach.

Rządy powstania miały świadomość istnienia wielu grup o silnej tożsamości i odrębności opartej na języku, wyznaniu, kulturze. Metodą ich integracji z odrodzoną państwowością polską miała być tolerancja. Generalia ustroju odrodzonego państwa nie były precyzyjnie określone. Państwo tajne wal-



Rys. Sławomir Makiel

czące o wolność miało kształt republiki. Na jej czele stał Rząd Narodowy. Posiadał silną władzę ustawodawczą i wykonawczą. Brak było trójpodziału władzy. Nie istniały instytucje kontrolne. Dopuszczano także odrodzenie państwowości w formie monarchii parlamentarnej.

Administracja cywilna powstania służyć miała prowadzonej walce zbrojnej. Jednym z zasadniczych celów jej działania było zapewnienie zaopatrzenia i odpowiednich miejsc ochrony dla poszczególnych oddziałów.

Obowiązki społeczeństwa

Przejawem dobrze funkcjonującego, skutecznego państwa miało być sprawny system podatkowy. Takie przekonanie wynikało z różnych doświadczeń historycznych. Odnosić się mogło także do dziejów Rzeczypospolitej. Systemy podatkowe państw z nią sąsiadujących, późniejszych zaborców, były bardziej efektywne, co przyczyniło się do wyższego poziomu wyposażenia i organizacji sił zbrojnych. Podstawę walki o niepodległość prowadzonej siłami wewnętrznymi, a także było założenie programowe Organizacji Narodowej, stanowić musiały odpowiednie środki finansowe. Do społeczeństwa kierowane były liczne rozporządzenia nakładające podatek narodowy, a także zachęcające do udzielania pożyczek narodowych. Oprócz świadczeń pieniężnych oczekiwano także dostarczenia określonych produktów na potrzeby armii. Pobór podatków, udzielanie pożyczek, dostarczenie lub rekwizycja produktów musiały być udokumentowane. W odrodzonym państwie miano otrzymywać rekompensaty.

W gronie elit powstania widoczny był brak zaufania wobec pluralizmu i stowarzyszeń. Traktowano je jako czynniki uniemożliwiające skuteczną walkę zbrojną. Niechęć wobec demonstracji odmiennych postaw wykazywał zarówno rząd Agatona Gillera, jak i Franciszka Dobrowolskiego (rząd czerwcowy) oraz Romualda Traugutta. Zakaz działalności stowarzyszeń wymierzony był przeciwko grom politycznym Ludwika Mierosławskiego. Kolejne rządy podtrzymywały takie stanowisko. Ustanowienie trybunałów rewolucyjnych służyć miało kontroli poglądów i wymierzaniu kar za nie. Te środki dyscyplinujące wymuszały jednolitość postaw w czasie walki o niepodległość. Dopiero z perspektywy klęski powstania postrzegano je jako przesadzone, nieprzynoszące odpowiednich rezultatów, zniechęcające społeczeństwo (opinie tzw. rządu Brzezińskiego i Zbigniewa Chądzyńskiego). Kara wydawała się atrakcyjnym narzędziem kształtowania postaw. Takie przekonanie wynikało z powszechności jej stosowania w różnych systemach ustrojowych współczesnych powstaniu, w tym przede wszystkim w systemie Cesarstwa Rosyjskiego. Wymierzanie kary jednostkom, które uznano za szkodliwe z punktu widzenia określonych ideologii, stanowiło jedną z metod politycznych stosowanych głównie przez stowarzyszenia oparte na systemie wartości, w którym znajdowała się akceptacja takich działań. Takie postawy widoczne były m.in. we włoskim ruchu odrodzeniowym. Prowadzona przez elity spiskowe wojna wymagała odrzucenia idei wolności stowarzyszenia się, parlamentaryzmu, wolności słowa. Dopiero zwycięska walka i odzyskanie państwowości miały zapewnić powrót tych wartości politycznych.

Problemy integracji

Elity spiskowe i rządy powstańcze dążyły do integracji społeczeństwa. Wiele uwagi poświęcały istniejącym napięciom pomiędzy ziemiaństwem a chłopami. W początkowym etapie powstania rolę instytucji, która miała łagodzić konflikty pomiędzy tymi grupami, pełnić miał Kościół. Władze powstania, usiłując uwiarogodnić swoje programy wobec chłopów, dążyły do realizacji dekretu uwłaszczeniowego 22 stycznia 1863 roku. Pra-

gnęły nadać mu uroczystą oprawę państwową. Sprawy własnościowe rozstrzygane miały być na drodze kompromisu. Straty wynikające z uwłaszczenia chłopów miał pokryć skarb odrodzonego państwa. Taka postawa miała uczynić ziemiaństwo przychylnym wobec tego wydarzenia. Taka formuła rozwiązania kwestii uwłaszczenia opierała się na programie wypracowanym przez ziemiaństwo zachowawcze, związane z Towarzystwem Rolniczym. Idee demokratyczne zawarte w programie czerwonych nie stawały się czynnikiem zamykającym drogę stosowaniu rozwiązań proponowanych przez inne kręgi ideowe. Na przełomie 1863 i 1864 roku dopuszczano karę śmierci wobec osób nieprzestrzegających zapisów dekretu uwłaszczeniowego.

Liczne wymagania wobec społeczeństwa sprawiły, że można uznać, iż w okresie powstania 1863 roku skonstruowana i rozbudowana została ideologia obowiązku. Nie odmawiano mu jednak prawa do informacji. Realizowane było poprzez publikację wydawanych aktów prawnych. Druk ulotny stanowił jedną z istotnych metod walki, jeden z rodzajów broni powstania. Jego zadaniem miało być przekonywanie wahaających się, nieufnych wobec programu przemian społecznych i politycznych.

Różne przestrzenie powstania

Powstanie było ważnym doświadczeniem społecznym. Miało wielowymiarowy charakter. Można w nim wyróżnić: a) szeroki ruch społeczny przejawiający się w dyskusjach o wolności, równości, roli państwa w życiu narodu, przybierający formę wsparcia dla przedsięwzięć służących odzyskaniu niepodległości, w tym tworzenia tajnych stowarzyszeń, instytucji państwa tajnego; b) ruch militarny polegający na formowaniu oddziałów powstańczych, prowadzeniu walk zbrojnych z armią rosyjską; c) terror bezpośredni wymierzony przeciwko urzędnikom administracji Królestwa Polskiego i Cesarstwa Rosyjskiego oraz osobom znanym z legalizmu i niechętniej postawy wobec niepodległości, stanowiący wyraz przekonania o konieczności kary jako skutecznej metodzie przekonania społeczeństwa do określonych idei, wymagający istnienia grupy osób zdolnej poświęcić się wykonaniu tych założeń, liczących się z koniecznością oddania życia; d) działania dyplomatyczne prowadzone przez agendy rządu powstańczego. Wydarzenia te pozostawiły trwały ślad w myśli społecznej. Inspirowały zarówno postawy aprobaty, jak i niechęci i potępienia wobec ruchów spiskowych. Każdy nurt ideowy był zmuszony zajmować stanowisko wobec tych wydarzeń. Występujące w ideologii powstania hasła równości, poszanowania godności, wolności i konieczności tworzenia równych szans poprzez edukację i odpowiedni status dla każdego człowieka prowadziły do powstania programów upodmiotowienia społeczeństwa, zjawiska stanowiącego normę współczesności. Rekonstrukcja katalogu oczekiwań elit władz spiskowych i powstańczych pozwala wesprzeć tezę o braku realizmu w formułowaniu oczekiwań wobec społeczeństwa, nadmiernej roli przywiązania do określonego systemu wartości, a zwłaszcza spojrzeniu nań jako na rzeczywisty czynnik służący osiągnięciu tak trudnego celu politycznego, jakim była rekonstrukcja państwowości. Ta sfera refleksji nie uwzględniała złożoności realiów politycznych i społecznych, licznych czynników i uwarunkowań decydujących o postawach i wyborach indywidualnych i zbiorowych.

Powyższy artykuł prezentuje monografię autorki *Patriotyzm, poświęcenie, jedność. Społeczeństwo 1863 roku w dokumentach powstania*, wydaną w roku 2021 przez Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego.

Prof. dr hab. Alicja Kulecka, Zakład Archiwistyki, Dydaktyki i Historii Historiografii Uniwersytetu Warszawskiego

Zbigniew Bednarek

Polskie dziennikarstwo wojenne

Twórcy, gatunki, konflikty zbrojne i polityka międzynarodowa

Zróżnicowanie korespondencji wojennej jest bogate i pozwala wskazać wiele sposobów jej funkcjonowania w polskim piśmiennictwie faktograficznym. Teksty będące wynikiem pracy polskich dziennikarzy wojennych różnią się gatunkiem, stylem wypowiedzi, zastosowanymi w nich środkami językowymi, a wielu z nich nie można odmówić nie tylko dokumentalności, ale i artyzmu.

Wojny towarzyszą ludzkości od zarania dziejów. Dziennikarstwo, które je opisuje, uprawiane jest od niewiele ponad dwóch stuleci. W książce poświęconej polskiemu dziennikarstwu wojennemu, kreśląc tło polityczno-historyczne wojen, zanalizowałem ponad czterdzieści dziennikarskich sprawozdań wojennych wydanych w formie książkowej, z dziewięciu wojen prowadzonych od 1918 r. do początku XXI wieku w różnych częściach świata (Europa, Afryka, Indochiny, Kaukaz, Bałkany, Irak, Afganistan).

W mojej książce przedstawiłem pracę dziennikarzy w czasie wojny na przestrzeni lat, tradycję relacji wojennej od starożytności oraz jej status w dziennikarstwie światowym, definicję i typologię korespondentów wojennych, kwestie źródeł, etyki zawodowej, wartości dokumentalnej sprawozdań, a także propagandy wojennej i sposobów oddziaływania na odbiorców. Ważne miejsce zajmują wojskowe komunikaty i sprawozdania od wojny polsko-bolszewickiej do misji pokojowej i misji stabilizacyjnej na przełomie XX i XXI wieku, a także praca oficerów prasowych Wojska Polskiego. Panoramiczny obraz polskiego dziennikarstwa wojennego kreślę w kontekstach medioznawczym, genologicznym, wojskowym, społecznym, historycznym i politycznym.

Tradycja relacji wojennej

Od starożytności sprawozdania wojenne, ich forma podawcza, gatunkowa czy stylistyczna, ulegały licznym przekształceniom, z których jedne rozwijały, a inne uwsteczniały ten typ wypowiedzi, najpierw zdecydowanie literacko-dokumentalnej, a z czasem dziennikarskiej. Za najkrótszą korespondencję wojenną uznaje się jedno słowo wypowiedziane przez greckiego żołnierza po bitwie stoczonyj pod Maratonem w roku 490 p.n.e. Gdy w pełnej zbroi przebiegł 42 kilometry z pola bitwy do Aten, aby przekazać wiadomości, był tak wyczerpany,

że zanim umarł, krzyknął jedynie: „Zwycięstwo!”. Należy jednak przypuszczać, że korespondencja wojenna wywodzi się ze starożytnych sprawozdań wojennych, których autorami byli w V w. p.n.e. Herodot (*Dzieje* – relacja z wojen między Grekami a Persami), Ksenofont (*Wyprawa Cyrusa* – o bitwie pod Kunaksą w 401 r. p.n.e.) i Tukidydes (*Historia wojny peloponeskiej* – o wojnie między Atenami a Spartą) czy w I w. p.n.e. Juliusz Cezar (*O wojnie galijskiej* i *O wojnie domowej*). Wydaje się, że właśnie w tej prozie dokumentalnej należy szukać pierwowzoru schematu gatunkowego współczesnej dziennikarskiej korespondencji wojennej.

W następnych epokach sprawozdania wojenne funkcjonowały w oparciu o inne zasady. W okresie średniowiecza, dokładnie między XI a XIII w., ważny był również nurt poezji epickiej chansons de geste – pieśni o bohaterskich czynach. Gesta miały za zadanie upamiętnić postawy szczególnie godne naśladowania, ale ich celem było także samo dokumentowanie przebiegu bitew wojennych. Relacje z przebiegu bitew w czasach średniowiecznych nierzadko były częściami kronik. Przykładowo, o wojnach w Europie Zachodniej prowadzonych w latach 1326–1361 pisał Jean Le Bel w swych *Kronikach prawdziwych*, a na ziemiach polskich – Jan Długosz, który w *Annales seu cronicae incliti Regni Poloniae* (*Roczniki, czyli kroniki słynnego Królestwa Polskiego*) utrwalił opis bitwy pod Grunwaldem. Już wówczas mamy więc do czynienia z pozycją autora jako rekonstruktora wydarzeń wojennych.

Ponieważ Rzeczpospolita w latach 1654–1667 prowadziła wojnę z Rosją, informacje o jej przebiegu zamieszczano także w najstarszej periodycznej polskiej gazecie, „Merkuryszu Polskim, dzieje wszystkiego świata w sobie zamykającym dla informacji pospolitej”, ukazującym się w 1661 r. W późniejszym okresie, do czasów napoleońskich, nie uważano za celowe informowanie opinii publicznej o przebiegu konfliktów, więc

zajmowali się tym wyłącznie dowódcy wojskowi lub żołnierze, a ich relacje były spisywane w formie wojskowego raportu.

Dopiero od początku XIX w. można mówić o zawodzie korespondenta wojennego i reporterach specjalizujących się w tej odmianie dziennikarstwa. Jednym z pierwszych był H.C. Robinson wysłany w 1807 r. przez „The Times” z zadaniem relacjonowania wojny francusko-pruskiej, zwanej też IV koalicją antyfrancuską (1806–1807). Do szybkiego rozwoju tej odmiany dziennikarstwa w bardzo dużym stopniu przyczyniła się powstająca od 1833 r. w Europie i USA masowa, nastawiona na sensację prasa tabloidowa – tzw. penny press. Zapotrzebowanie na materiały sensacyjne miała zapewnić korespondencja wojenna. Pierwsza regularna korespondencja wojenna w gazetach codziennych była publikowana w USA na bieżąco i pochodziła z wojny meksykańsko-amerykańskiej prowadzonej w latach 1846–1848.

Na ziemiach polskich – ze względu na zabory – rozpo-
wszechnianiem i utrwalaniem wiedzy o narodowych zrywach

powstańczych zajęli się publicyści i literaci. Wśród wypowiedzi publicystycznych podejmujących kwestię powstania styczniowego należy wymienić *Listy ze starego obozu* – felietony Bolesława Prusa publikowane w 1872 r. na łamach „Opiekuna Domowego”, i tekst *Dusza pokolenia z roku 1863* Andrzeja Struga, wydrukowany w 1913 r. w „Jednodniówce Strzeleckiej”. Wśród tekstów literackich o tematyce powstańczej wypada wymienić powieści: Józefa Ignacego Kraszewskiego *Dziecię Starego Miasta* z 1863 r., Elizy Orzeszkowej *Ludzie i robaki*, nowelę Stefana Żeromskiego *Rozdziobią nas kruki, wrony* z 1895 r. czy nieco zapomniane opowiadanie Marii Dąbrowskiej pt. *Powstanie 1863. Powitanie wojny i swobody*, wydane w 1916 r.

Styl sprawozdań również zmieniały się na przestrzeni lat. Około 1920 r. można wskazać różnicę pomiędzy stylem tekstów amerykańskich i radzieckich, a w tekstach korespondencji pochodzących z I wojny światowej było „więcej rozlewności”, z drugiej wojny światowej – „większa oszczędność słów”. Styl potoczny, służący uzewnętrznianiu się, został wyparty



Foto: Sławomir Męka

w ciągu dwudziestu lat rozdzielających obie wojny przez styl zwarty, syntetyczny i oszczędny w słowach. Jednocześnie do stylu korespondencji z okresu II wojny światowej przeniknęły wulgaryzmy, którymi posługiwali się żołnierze, natomiast zniknęły z niej sformułowania o znaczeniu ogólnym, np. strach.

Melchior Wańkowicz napisał, że „korespondencja wyłukskiwała się bardzo powoli. [...] Korespondent zawodowy wojskowy poczyna się rodzić dopiero w początkach XIX, poród trwa przez cały wiek XIX, a w wieku XX, nie wyłączając drugiej wojny światowej, widzimy jeszcze ciągle ząbkowanie korespondencji wojennej”.

Po II wojnie światowej można już mówić o istnieniu nurtu tzw. nowego dziennikarstwa (New Journalism), charakteryzującego się przede wszystkim stosowaniem technik literackich w reportażach i nadawaniem im cech ekspresjonistycznych, np. przez preferowanie mowy potocznej w dialogach czy informowanie odbiorcy o wielu szczegółach z codzienności. Wśród głównych przedstawicieli tego nurtu należy wymienić m.in. Toma Wolfe'a czy Normana Mailera. Drugim ważnym nurtem było powstałe w Stanach Zjednoczonych zjawisko określane mianem Writing Vietnam. Amerykańscy weterani, którzy wracali do kraju, pisali o swoich doświadczeniach w czasie wojny wietnamskiej, przytaczali wojenne wydarzenia oraz historie życia żołnierzy i samych Wietnamczyków. Ponadto pisali o tym, jaki wpływ wojna wietnamska miała na nich samych i psychikę ich kolegów z armii. Światowe konflikty zbrojne przełomu XX i XXI w. również przyczyniły się do rozwoju korespondencji wojennej i udoskonalenia warsztatu tego jej autorów, zarówno dziennikarzy, jak i wojskowych oficerów prasowych. Ten typ dziennikarskiej wypowiedzi wciąż się kształtuje i ewoluuje.

Polskie dziennikarstwo wojenne

Pierwszą wojną, jaką przyszło opisywać polskiemu dziennikarstwu wojennemu po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, była wojna polsko-bolszewicka (1919–1921). Bardzo ważne dla czytelników były informacje z jej przebiegu, które stały się nieodzownym elementem prasy. Dzienniki pozyskiwały wiadomości z frontu na trzy sposoby: z Generalnego Sztabu Wojska Polskiego, za pośrednictwem korespondentów Polskiej Agencji Telegraficznej oraz od własnych korespondentów. Spórą część zajmuje ówczesna „korespondencja inicjałowa” i „pseudonimowa” – określenia te odnoszą się do tekstów prasowych, które podpisywane były jedynie inicjałami imienia i nazwiska autora. Oprócz prasy codziennej ważną rolę pełniły także tzw. jednodynki, czyli specjalne wydania gazet publikowane z okazji ważnych wydarzeń. Nierzadko zawierają one wiele informacji na temat przebiegu bitew, dlatego też były dla społeczeństwa polskiego bardzo ważnym źródłem informacji o wojnie. Charakterystykę jej poszczególnych bitew i innych wydarzeń przytaczali również Adam Grzymała-Siedlecki, Melchior Wańkowicz, Juliusz Kaden-Bandrowski, ks. Wiktor Mieczkowski czy Stefan Żeromski.

Zainteresowanie polskich mediów w późniejszym czasie skupiało się na wojnie domowej w Hiszpanii (1936–1939), którą relacjonowali Ksawery Pruszyński, Jerzy Przywieczerski i Adam Sikorski. Dla polskiej opinii społecznej wojna ta była interesująca z kilku powodów, m.in. dlatego, że postrzegano ją w perspektywie wspomnień polskiej walki z bolszewizmem i odczytywano także w kontekście walk o niepodległość Rzeczypospolitej. Do walk w Hiszpanii podchodzono z wielką empatią, a w ciągu pierwszego roku konflikt ten stał się „wojną tytułową” i zarazem „wojną korespondentów”.

Z czasów II wojny światowej zanalizowałem korespondencje wojenne „podziemia walczącego” podczas powstania warszaw-

skiego oraz relacje i opinie Melchiora Wańkowicza, Ryszarda Kiersnowskiego i Romana Umiasztowskiego. Indochiny były kolejnym ważnym miejscem, przez które przetaczały się wojny w Laosie, Wietnamie i Kambodży, a ich świadkami byli polscy prozaicy, reportażyści, dziennikarze: Wojciech Żukrowski, Daniel Passent i Monika Warneńska, która między innymi opisywała świadectwa zbrodni Czerwonych Khmerów w Kambodży. Gdy przebywała w Wietnamie, z Vietcongiem przemierzyła dżunglę w porze deszczowej: w duchocie, dużej wilgotności, z ledwo widocznymi ścieżkami, przez bujne krzewy, po grząskim gruncie, wśród węży, pijawek, jaszczurek i pajaków. Afrykańskie wojny, toczące się w Gwinei-Bissau, Angoli, Rwandzie, Mozambiku, Nigerii i na pograniczu etiopsko-somańskim, polscy czytelnicy mogli obejrzyć oczami korespondentów Mirosława Ikonowicza, Ryszarda Kapuścińskiego i Wojciecha Tochmana. Wojny na Bałkanach po 1991 r., po rozpadzie Jugosławii, to przede wszystkim wojna w Bośni i Hercegowinie, NATO-wska operacja lotnicza o nazwie „Allied Force” (Sojusznicza siła) w 1999 r., której celem było zakończenie czystek etnicznych w Kosowie, jak również konflikty i zbrojne działania w dawnych jugosłowiańskich republikach, m.in. w Macedonii. Konflikty zbrojne na Kaukazie Północnym i Południowym przełomu XX i XXI wieku, w Abchazji i w Czeczenii, relacjonowali Witold Michałowski, Wojciech Jagielski i Wiktor Bater. Dwaj ostatni, podobnie jak Piotr Langenfeld, który jako korespondent wojenny był w Afganistanie dwukrotnie z armią Stanów Zjednoczonych i przebywał w kilku amerykańskich bazach wojskowych, czy Radosław Sikorski, opisywali wydarzenia w Afganistanie podczas interwencji sowieckiej i NATO. W centrum zainteresowania polskich dziennikarzy wojennych były również wydarzenia zbrojne w Iraku, które opisywali Wiktor Bater oraz Przemysław Marzec i Jan Mikruta, jedyni polscy dziennikarze relacjonujący wojnę w Iraku wiosną 2003 roku, a także Marcin Firlej i Jacek Kaczmarek, którzy zostali uprowadzeni przez żołnierzy Saddama Husajna, o czym między innymi wspominają w swoim tekście.

W książce ważne miejsce zajmuje również praca oficerów prasowych Wojska Polskiego, ich zadania i obrazy wojen, m.in.: wojenne komunikaty prasowe Sztabu Generalnego Wojska Polskiego z wojny polsko-bolszewickiej 1920 r., wojskowe periodyki, tekst odnoszący się do II wojny światowej, którego autorem jest Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, a także sprawozdanie komandora Artura Bilskiego o misji pokojowej w Bośni oraz płk. Wojciecha Hajnusa o misji stabilizacyjnej w Iraku na przełomie XX i XXI wieku.

Na przestrzeni niemal stu lat w polskiej korespondencji wojennej jako formie dziennikarskiej wypowiedzi zachodziły rozmaite zmiany, a jednocześnie wykrystalizowały się jej elementy stałe. Co więcej, funkcje tej formy wypowiedzi zmieniały się w zależności od okoliczności politycznych w Polsce. Zróżnicowanie korespondencji wojennej jest bogate i pozwala wskazać wiele sposobów jej funkcjonowania w polskim piśmiennictwie faktograficznym. Teksty będące wynikiem pracy polskich dziennikarzy wojennych różnią się gatunkiem, stylem wypowiedzi, zastosowanymi w nich środkami językowymi, a wielu z nich nie można odmówić nie tylko dokumentalności, ale i artyzmu. Stanowią one znaczącą i ważną część światowego dorobku i dziedzictwa dziennikarskiego. Widoczna jest ewolucja korespondencji wojennej po 1918 r. jako formy dziennikarskiej wypowiedzi, a interesujące jest również, jak będzie się rozwijała i dokąd zmierzała w przyszłości.

Dr Zbigniew Bednarek, adiunkt w Katedrze Teorii i Historii Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego, były dziennikarz telewizyjny, medjoznawca.



Piotr Hübner

Organizacja publiczno-prywatna

Ambicje warszawskich uczonych zostały krytycznie przyjęte przez Polską Akademię Umiejętności. Nowej Akademii w Warszawie nie powołano.

Idee pozytywizmu warszawskiego i rosnąca rola inteligencji, w połączeniu z aspiracjami niepodległościowymi, przyniosły w Królestwie Polskim rewolucję 1905 roku. Względna liberalizacja polityki carskiej doprowadziła do wydania *Przepisów tymczasowych o stowarzyszeniach i związkach* z 17 marca 1906 roku. Pojawiła się możliwość działania koncesjonowanego przez administrację ruchu społecznego. Ustawa (statut) TNW, sporządzona przez Władysława Holewińskiego, zarejestrowana 1 marca 1907 roku, stwierdzała, że jest ono powołane „w celu rozwijania i popierania badań we wszystkich gałęziach wiedzy oraz ogłaszania dzieł naukowych w języku polskim”. Obok możliwości zebrania i wydawania publikacji, TNW mogło „dostarczać członkom swym środków do prowadzenia badań naukowych”, urządzać konkursy, wykłady, odczyty oraz „utrzymywać biblioteki i niezbędne do badań naukowych zbiory, gabinety, pracownie”. Powołano trzy wydziały: językoznawstwa i literatury; nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofii oraz nauk matematycznych i przyrodniczych. W ramach wydziałów działały komisje dyscyplinowe.

Ignacy Baranowski, w którego mieszkaniu nadal odbywały się „zebrania koleżeńskie członków”, wyjaśniał (list do Marii Skłodowskiej-Curie z września 1912), że Towarzystwo „powstało staraniem ludzi ożywionych jedną myślą, ale nie związanych, poza tą jedną myślą stosunkami towarzyskimi. A że u nas instytucji opartych o działalność zbiorową, prawie wcale w kraju nie było, prócz paru zawodowych zrzeszeń (...) pierwsze chwile pożycia wewnętrznego TNW nie były łatwe, nie mijały bez kolizji, bez starć płynących z trudności porozumienia się ludzi sobie obcych. Otóż żeby członkowie TNW przypatrzyli się sobie wzajem, zbliżyli towarzysko, postanowiliśmy raz na miesiąc spotykać się na gruncie neutralnym. Zebrania nasze są właściwie bezprogramowe; ale w ciągu kilku lat każdorazowo znalazł się temat do poważnej rozmowy o treści zbliżonej do zadań i celów TNW. Gospodarz lokalu (...) nie odgrywa żadnej roli. Uważam się tak, jakby za wynajmującego lokal na cele nie dotyczące wprost mojej osoby. Istotnie, gdyby nie było ograniczeń co do zebrania publicznych schodziliby-

śmy się nie u mnie, lecz w jakiejś sali wynajętej”. Przez autora przemawiała skromność – był od roku 1871 profesorem UW, następnie współzałożycielem Kasy imienia Józefa Mianowskiego i TNW. Towarzystwo więc realnie działało – do czasu uzyskania własnego państwa – jako organizacja publiczno-prywatna. W kolejnym liście (z 25 I 1914) Baranowski podkreślał: „Zależność polityczna, jakiej od przeszło stulecia kraj ulegał, rozbiła, zanarchizowała społeczeństwo nasze. Dziś przedstawiamy poniekąd szkołę elementarną życia społecznego”.

Po wojnie

Nowa ustawa Towarzystwa, zarejestrowana 1 marca 1911 roku, zawierała rozbudowane zapisy o gabinetach i pracowniach „z zakresu różnych gałęzi nauk przyrodniczych” oraz zapis o „instytucie biologicznym doświadczalnym”. Wprowadzono dodatkowo urzędy Protpektora Towarzystwa (wybieranego dożywotnio spośród członków honorowych), kuratora Instytutu Biologicznego, a także Komisję Rewizyjną.

W roku 1916 działały pracownie: antropologiczna, chemii fizjologicznej i patologicznej, fizjologiczna, medycyny doświadczalnej z oddziałem chirurgicznym, meteorologiczna, mineralogiczna, neuro-biologiczna, radiologiczna, serologiczna, zoologiczna. Powołano Biuro Atlasu Gleboznawczego – była to dawna Pracownia Gleboznawcza Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, założona w 1902 roku. Inkorporowano Obserwatorium Astronomiczne imienia Jana Jędrzejewicza, budowane w Płońsku od 1873 roku. Działał od 1917 roku Gabinet Filologiczny dysponujący biblioteką ofiarowaną dwa lata wcześniej przez Gabriela Korbuta. Ten wydał dzieło *Literatura polska od początku do powstania styczniowego* tomy I-III, 1917-1921. Badania TNW finansowała Kasa Mianowskiego, także w czasie I wojny światowej. Do Towarzystwa należało 113 członków rzeczywistych i 4 honorowych. Majątek Towarzystwa wynosił w końcu 1914 roku około 500 tys. rubli.

Mimo odzyskania niepodległości działania Towarzystwa Naukowego Warszawskiego były utrudnione wobec następstw wojny i powojennej inflacji. Uchwalony na Zebraniu Ogól-

nym kolejny statut TNW (19 VI 1922) powoływał się na tradycję Królewskiego Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk. Celem TNW było „rozwijanie i popieranie badań we wszystkich gałęziach wiedzy”. Nadal nie stosowano wydziałowego numerus clausus. Wspierano możliwość powoływania instytutów i zakładów badawczych Towarzystwa. W nowym brzmieniu statutu Towarzystwo „utrzymuje Zakłady Badawcze oraz zbiory naukowe”. Nazwa Wydziału II uległa modyfikacji – na „Nauk historycznych, społecznych, filozoficznych i antropologicznych”. Teren działalności TNW „rozciga się na całą Polskę”. Towarzystwo posiadało już osobowość prawną. Członków dzielono na honorowych, czynnych miejscowych i czynnych zamiejscowych. Zacieśniano kryterium przy członkach czynnych – mógł to być tylko „uczony znany z twórczej działalności naukowej”. Do komisji wydziałowych mogli być dopraszani „współpracownicy”. Grono kierowników zakładów badawczych tworzyło Radę Naukową mającą „charakter instytucji doradczej Zarządu”. Zwiększone kompetencje uzasadniały przekształcenie urzędu sekretarza w urząd Sekretarza Generalnego. Funkcje sekretarza wypełniał w latach 1909-1914 oraz 1922-1925 Franciszek Pułaski. Jak oceniał Witold Kamieniecki (*Historycy i politycy warszawscy 1900-1950*, 1992): „Rozgałęzione stosunki osobiste zarówno w arystokracji, jak i zamożnej burżuazji warszawskiej ułatwiały Pułaskiemu zdobywanie potrzebnych funduszy (...) na cele naukowe miał podatkowywać największych skąpców i egoistów (...) utrzymywał równowagę budżetową, rozmach organizacyjny, porządek biurowy. Wielkim osiągnięciem Pułaskiego było nakłonienie Józefa Potockiego z Antonin do nabycia dla Towarzystwa gmachu przy ulicy Śniadeckich. Obok innych instytutów badawczych znalazła tam pomieszczenie Pracownia Radiologiczna pod tytularnym kierownictwem Marii Skłodowskiej-Curie”.

Próbą łagodzenia skutków kryzysu było powołanie efemerycznego Zrzeszenia Polsko-Amerykańskiego dla Spraw Naukowych, z siedzibą tymczasowego Zarządu w gmachu TNW. Delegaci instytucji naukowych ze wszystkich ośrodków akademickich apelowali w odezwie *Do Polaków w Ameryce* (III 1924) o wsparcie finansowe za pośrednictwem Towarzystwa Przyjaciół Kultury Polskiej w Ameryce.

Najdalej idące projekty rozważała w roku 1925 Komisja Reorganizacyjna TNW. Była to koncepcja przekształcenia w Oddział PAU bądź w Zrzeszenie Towarzystw Naukowych, ułatwiające w szczególności działalność wydawniczą towarzystw dyscyplinowych, bądź w otwarte dla miłośników Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Zamierzano też nadać autonomię organizacyjną zakładom badawczym TNW i utrzymać je z dotacji budżetu państwa.

Mimo powojennego kryzysu powołano w roku 1920 – na podstawie legatu z roku 1909 Nadzieży Siebier-Szumowej w wysokości 50 tys. rubli w złocie – Instytut Biologiczny imienia Marcellego Nenckiego, a w roku następnym Instytut Antropologiczny wraz z Muzeum Prehistorycznym imienia Erazma Majewskiego. W roku 1933 Muzeum usamodzielniono (w ramach Wydziału II), kierował nim Włodzimierz Antoniewicz. Instytut Biologii Doświadczalnej przeniesiono w roku 1928 z Wydziału III Nauk Matematyczno-Fizycznych do Wydziału IV Nauk Biologicznych, kierował Instytutem (1927-1934) Jan Dembowski. W ramach Instytutu działały: Stacja Hydrobiologiczna na Wigrach, Zakłady Embriologii Eksperymentalnej, Zakład Biometrii, Stacja Morska na Helu i Stacja (Rzeczna) w Pińsku.

Nowy statut TNW, z 18 marca 1928 roku, wprowadzał akademizację. Powołano dodatkowo Wydział IV Nauk Biologicznych, przekształcając nazwy i zakres pozostałych wydzia-

łów: I. Wydział Językoznawstwa i Historii Literatury i Sztuki, II. Wydział Nauk Historycznych, Społecznych i Filozoficznych, III. Wydział Nauk Matematyczno-Fizycznych. Członków podzielono na zwyczajnych i korespondentów, a zwyczajnych na miejscowych i zamiejscowych (numerus clausus – po 20 w każdym wydziale i kategorii). Dotychczasowi członkowie honorowi i czynni zatrzymywali niezmienny status. Każdy zakład badawczy uzyskiwał własną radę naukową (mogły być wspólne rady dla kilku zakładów). Do pierwszego grona członków zwyczajnych zaliczono członków założycieli, członków PAU oraz profesorów szkół akademickich, będących dotychczas członkami TNW. Z Zarządu wyłaniano Prezydium Towarzystwa. Tworzyły to grono osoby funkcyjne, z wyłączeniem przewodniczących i sekretarzy wydziałów. W statucie z 1930 roku, zarejestrowanym dopiero 4 kwietnia 1935, mówiono o wiedzy „czystej i stosowanej” i o tym, że na członków TNW „mogą być wybierani wybitni uczeni i badacze”. Do tego, jak oceniał Nawroczyński, TNW „z instytucji niezależnej od funduszy państwowych stało się (...) instytucją subsydiowaną”.

Nie ma racji bytu

Rosnące trudności, związane z programem sanacji, a także stołeczne usytuowanie Towarzystwa Naukowego Warszawskiego przyniosły próbę „budowy drugiej Akademii”. Wojciech Świętosławski wspominał (18 XII 1929) „posłuchanie u pana Prezydenta Rzeczypospolitej”, który „wypowiedział się za zupełnym powściągnięciem się od wszelkiej roli czynnej” w sprawie projektu „utworzenia Akademii Nauk w Warszawie i połączenia jej z Towarzystwem Naukowym Warszawskim i z mającą powstać Akademią Nauk Technicznych”. Ambicje warszawskich uczonych zostały krytycznie przyjęte przez Polską Akademię Umiejętności. Nowej Akademii w Warszawie nie powołano, ale w Komitecie Porozumiewawczym Towarzystw Akademickich TNW miało połowę głosów (dzięki fuzji z ANT), a Rada Nauk Ścisłych i Stosowanych wraz ze swymi komitetami była bliższa TNW niż PAU.

Kryzys gospodarczy i związana z nim polityka oszczędności budżetowych dotknęły także TNW. Subwencje rządowe, parlamentarne, z Funduszu Kultury Narodowej i banków spadły (1930-1932) z 375 tys. zł do 78 tys. zł rocznie. Spadły też zapisy darczyńców, które przez 25 lat przyniosły odpowiednik 5 mln zł. W „Sprawozdaniu” sekretarza generalnego TNW, Edwarda Lotha (za lata 1930-1932) wskazywano, iż budżet Towarzystwa został zredukowany do 1/5, a zadłużenie sięgnęło kwoty 80 tys. zł. TNW musiało oddać w najem gmach przy ulicy Śniadeckich i przenieść działalność (XI 1930) do niewykończonych wnętrz Pałacu Staszica. W tych warunkach „żywa i wszechstronna działalność TNW słabnie i chwilami niemal zamiera, ustają wydawnictwa, nawet sprawozdania miesięczne ukazują się tylko z trudem. Praca naukowa w Instytutach badawczych maleje, brak nam opału i światła, następuje redukcja personelu i poborów”. W roku 1933 przyłączono do Instytutu Biologii Doświadczalnej Pracownię Neurobiologiczną, przekształconą w zakład (1935), a w 1938 – wileński Instytut Badań Mózgu.

Akademicki charakter towarzystwa został poddany licznym ograniczeniom, jakie wprowadziły władze komunistyczne. Działacze Towarzystwa Naukowego Warszawskiego w okresie głębokiej stalinizacji usiłowali ratować Kasę im. Józefa Mianowskiego oraz wspierali Towarzystwo Naukowe w Płocku. W okresie budowy Polskiej Akademii Nauk władze TNW przystąpiły do wymuszonej reorganizacji i uznały, że w nowych realiach ustrojowych towarzystwo – jak to określały władze komunistyczne – „nie ma racji bytu”.

Kilka większych uwag o rzeczach małych

W dniu matki, 26 maja, przyszła mi na myśl jako ojcu taka oto refleksja. Wciąż widzę przed sobą zdziwione oczy moich małych kiedyś dzieci, niedowiarków pewnie do dziś, choć już dorosłych, pytające niemo, ale ze sceptycyzmem: po co ty to wszystko robisz? To wszystko, czyli to, czego inni nie robią, bo zajmują się przecież czym innym. Ale też i pytające o sens, co jest praktyczne, a co nie, i jak to przeliczać na profity. Bo przeważnie działałam niezyskownie.

W ciągu jednego dnia przerzucam się bowiem z rzeczy na rzecz, nie wszystkie pomysły realizując i zadowolając się jedynie zebraniem tak zwanego materiału intelektualnego. Wciąż, jak małe dziecko, na oczach moich dorosłych dzieci, poznaję, uczę się, grzebię w książkach, manipuluję śrubokrętem, mierzę miernikami, a zaspokoivszy ciekawość, rzucam się na kolejną niestrawną potrawę, by skutecznie odszukać coś, czego w niej zdaniem wielu osób nie ma.

Można by rzec, że mam prawo czuć się osaczony przez ludzi życzliwych, ale jednak krytycznych i praktycznych, aż do bólu trafnie oceniających moje postępowanie, a skoro tak, to podjąc próbę ostatnią i poznać to, co oni uważają za swój świat, za postępowanie życiowe godne pochwały. U mnie to wygląda tak, że jednak potrafię wymienić klocki hamulcowe, położyć klepkę dębową, napisać felieton, ułożyć algorytm, który bez słownika wstawia prawidłowe podziały wyrazów (działa!), wymienić spaloną płytkę w telewizorze, odczytać zaszyfrowany list w Internecie, zeskanować zdjęcie, zredagować cudzą książkę i wydać własną. Też przekształcać kłamstwa i prawdy do postaci materialnej.

To wszystko jednak jest w końcu niczym. Nikt mi nie uwierzy, że umięjąc tyle rzeczy, choć jedną z nich zrobiłem poprawnie.

Wierzę, że oni, moja córka i mój syn, nauczyli się ode mnie, że zdaniem większości społeczeństwa jedyną rozsądną rzeczą jest zająć się czymś jednym. Ludzie wierzą, że tylko wtedy można było osiągnąć mistrzostwo, a przez to stać się zauważonym.

Ale nie mogłem ich uczyć stosowania tej metody życia, bo to jest myślenie niepoprawne, mimo że właściwe dzisiejszym mediom, nastawionym na uderzenia, ataki, przebicia sztyltem czy wystrzały w kosmos. Jeśli moja codzienność jest sumą rzeczy małych, a nie czymś gwałtownym, bijącym w oczy, to w medialnej rzeczywistości nie zaistnieje. A ponieważ nieistnienie w świadomości czytelników i widzów równa się, zdaniem tych osób, nieistnieniu w ogóle, osiąganie licznych, drobnych sukcesików nie ma uzasadnienia. Malarz, który w każdym obrazie jest inny, choćby wszystkie jego dzieła były pojedynczo genialne, nigdy nie zostanie zauważony jako ktoś, kto jest wart rozgłosu. Przeciwnie, artysta, który wynalazł jeden jedyny sposóbik na malowanie, konsekwentnie przez lata malując tą metodą, pewnego dnia w oczach

mediów, a za ich pośrednictwem w świadomości społecznej, okaże się gwiazdą.

Dyletanctwo jest promowane, a znajomość rzeczy nie. Gdy to pierwsze uderza z całą mocą, to drugie jest wyśmiewane i poniżane. Odwróciły się funkcje wartości. Nie powiem, żebym się czuł z tego powodu gorszy czy właśnie poniżony. Po pierwsze nie czuję się jakimś ważnym autorytetem. Każdy prędzej czy później zauważy, że można wiele rzeczy robić nawet najlepiej, i że wykonawcą może być wciąż ta sama osoba nieroszcząca sobie praw do tytułu człowieka renesansu. Trzeba jedynie spełnić kilka warunków.

Główny warunek z pewnością dotyczy samokształcenia w myśleniu. Wydawałoby się, że tak różne czynności jak napisanie felietonu czy wymiana klocków w hamulcu zupełnie nie mają ze sobą nic wspólnego. A jednak mają i to wiele. Na przykład pewną dyscyplinę w korzystaniu z prostej wiedzy. W obu wypadkach trzeba znać metodę i schemat postępowania. Oczywiście o ile w czasie naprawy hamulców wystarczy przeczytać jedną kartkę, to do napisania felietonu trzeba tych kartek przetrwać setki lub tysiące. Obie czynności są jednak najzupełniej wykonalne.

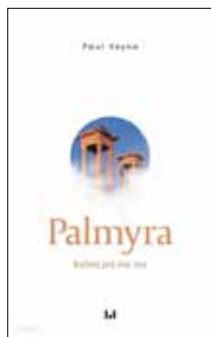
Dalej trzeba pamiętać, że każda instrukcja została lepiej czy gorzej przygotowana przez fachowców i że zawarto w niej sumę czyichś doświadczeń. Jak łatwo zauważyć, większość tych, którzy nigdy klocków nie wymieniali, po prostu bała się tego zajęcia, nigdy więc nie czytała, jak to zrobić. A przecież wystarczy nałożyć wiedzę z kartki na podstawy fizyki ze szkoły podstawowej, żeby rzecz ukończyć bez błędów. To samo z felietonem. Przyglądając się setkom felietonów zauważymy, że wszystkie mają początek, koniec, jakąś myśl, którą rozwijają i której z zasady nie kończą; że zdania mają wynikać z poprzednich albo wiązać myśl w całość.

Recepta na wykonanie czegoś porządnie to dalszy ciąg tego co robiliśmy albo co inni robili, dorobek doświadczenia człowieka wciąż ciekawskiego. Może trochę inaczej jest, kiedy pisze się wiersz albo powieść, wtedy właśnie należy uciekać od tego wszystkiego, co stworzono do tej pory, ale czyż nie jest to nadal korzystanie z cudzego dorobku na opak? Niektórzy wręcz udają, że przed nimi nikt niczego nie napisał, co widać choćby u Mickiewicza czy Faulknera, ale to właśnie jest dowód na znajomość rzeczy od podszewki.

Zastanawia mnie myśl, z którą się wożę od lat, czy przypadek Romain Gary, który nagle zmienił nazwisko na Ajar, nie jest tym właśnie, co powinienem zrobić? Odbić się od tego obrazu wszystkoizmu i zastosować jakiś chwyt, jeden z dziesiątków mi danych w młodości, i wyprodukować serię nic nieznaczących, ale jednakowych dziełek, o których prasa napisze, że są genialne.

e-mail: lpj@lpj.pl

Barbarzyństwo i pustka



Już na pierwszej stronie książki uderza wpis: „Pamięci Chalida al-Asada, archeologa, w latach 1963-2003 naczelnego dyrektora Służby Starożytności w Palmyrze, zamordowanego za to, że interesował się bożkami”.

Syryjczycy szczególnie dotkliwie doświadczają nie tylko nienawistnej eksterminacji wojującego islamu, ale też opresyjności systemu Baszszara al-Asada i pozostałych graczy konfliktu. Naloty i bombardowania przyczyniają się do kolejnych tragedii i umęczenia narodu. Z rąk ISIS, al-Asada, od pocisków zachodnich czy wschod-

nich „sprzymierzeńców” giną ludzie. Organizacje pokojowe i społeczność międzynarodowa przyzwyczyły się niestety do takiego stanu rzeczy.

W środkowej Syrii, w starożytnym mieście Palmyra, samozwańcze Państwo Islamskie w latach 2015–2017 wysadziło w powietrze najcenniejsze zabytki starożytności. Unicestwione zostały świątynie Baalszamina i Bela, kamienny lew ze świątyni bogini Allat, kolumnady głównej ulicy, łuk triumfalny i tetrapylon. Przepadła też praca archeologów, w skwarze i mozole wykopujących przez lata z pustynnych piasków monumenty tego niepowtarzalnego miasta. Zniweczona została praca nestora polskiej archeologii śródziemnomorskiej Kazimierza Michałowskiego i jego następców.

Książka *Palmyra, której już nie ma* jest opowieścią emerytowanego profesora archeologii Paula Veyne o pustce po tym barbarzyństwie, która pozostała w światowym dziedzictwie i duszy. To wspomnienie – w warstwie osobistej, ale zarazem wykład o tym, czym była Palmyra. Palmyra, którą autor wyłaniał z piasków pustyni i zmusnie odtwarzał ze szczątków źródeł starożytności, przestała wprawdzie istnieć, ale Veyne, w chwili kiedy większość jego dorobku naukowego zostaje zaprzeczona, odkrywa ją na nowo. Widzi więcej i wyraziściej, dostrzegając rzeczy z pozoru oczywiste, a jednak dotychczas kryjące się przed naukowcami. Zauważa, że przede wszystkim miasto nie powinno było zaistnieć w miejscu, w którym było przez wieki zlokalizowane. Pustynna osada – kontrolująca handel pomiędzy Mezopotamią a Morzem Śródziemnym, skutecznie rywalizująca i pokonująca Petrę Nabatejczyków, ochraniająca setki karawan daleko poza swymi murami, popierająca aspiracje władce Zenobii, a w tym wszystkim ogromnie bogata – miała niekorzystne położenie geograficzne. Utrudniony dostęp do wody, oddalenie od tradycyjnych szlaków komunikacyjnych, burze piaskowe i wszędzie daleko. Dzięki badaczom znamy Palmyrę dokładniej, gdy już była częścią świata rzymskiego, nic sobie z tego nie robiąc. Mówiła po aramejsku, rzadziej po grecku, nie przyjęła ni greckich, ni rzymskich bóstw, drwiła z rzymskich urzędów, nie wymieniając ich nigdy w inskrypcjach, tak popularnych w pozostałych częściach cesarstwa. Palmyreńczycy, kiedy tłumaczyli tekst z greki, dostosowywali go do swojego kontekstu kulturowego. Pod imieniem „Zeusa” oddawali swojego boga Bella. Veyne mówi nawet, że „patrzyli na siebie oczyma greckimi i rzymskimi, jakby z zewnątrz”. Cenili sobie wolność, co nie jest typowe czy oczywiste dla człowieka Wschodu. Potrafiliby być tolerancyjni. Uznawali (przynajmniej w czasach przedchrześcijańskich) istnienie bogów innych ludów. Co zatem było powodem, dla którego w sierpniu 2015 roku nakazano wysadzić pogańskie świątynie starożytności Balszamira i Bela? Czyby fakt oddawania czci pogańskim kłamliwym idolom zanim jeszcze na tych terenach nastał islam? Veyne odpowiada – nie. „Wina” spada na mieszkańców Zachodu, na zachodnią cywilizację. Wysadzenie w powietrze zabytków było manifestacją, a być może jednym z elementów toczącej się wojny pomiędzy cywilizacjami. Krążące pogłoski, jakoby turystyka poprzednich lat, przybywanie do Palmyry mieszkańców Zachodu i podziwianie zabytkowych monumentów starożytności miały rozsierdzić członków ISIS, są mało prawdopodobne. Autor zauważa, że barbarzyństwo było krzykiem buntu wobec rozprzestrzeniających się wzorców życia zachodniego, wobec zauważonej przez islamistów postępującej deprawacji części społeczeństw islamskich, która następuje w kontakcie z Zachodem.

Bogdan Bernat

Paul VEYNE, *Palmyra, której już nie ma*, tłum. Paweł Filipczak, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2021.

Kufer emigranta



„Na strychu śpi mój powrót, / Kufer blachą okuty, walizy, / Cała moja ojczyzna, / Paszporty, obywatelstwa, / Emigracyjne wizy. // Kufer, mój wielki majątek, / Którego tutaj mam bronić, / Normalny nieszczęścia początek / I obłąkany koniec”.

Kazimierz Wierzyński, zmarły w 1969 roku w Londynie, tak opisywał w dwóch pierwszych zwrotkach wiersza *Kufer* los emigranta-poety, emigranta-intelektualisty. Muzea polskiej emigracji za granicą – w Wielkiej Brytanii, Francji, Włoszech, Szwajcarii – często robią na mnie

wrażenie kufra, czegoś zawieszono pomiędzy „tu” i „tam”, zdomowionego, a jednocześnie odsyłającego do utraconej ojczyzny. Momentami, jak w dawnej siedzibie paryskiej „Kultury” w Maisons-Laffitte, silne jest odczucie nierealności, jakby to było inne państwo, utkane nie tyle ze wspomnień, co przede wszystkim z marzeń o idealnej ojczyźnie; wywołanej z komunistycznego ucisku, a jednocześnie radykalnie odmiennej od jakiegokolwiek realnej Polski.

Na powojenną polską emigrację można patrzeć tak, jak widziano Wielką Emigrację – przede wszystkim przez pryzmat stronnictw politycznych, ewentualnie ośrodków rozumianych geograficznie (Londyn, Paryż, Nowy Jork, w mniejszym stopniu Rzym). Od razu widać jednak, że w ten schemat nie wpisują się wielkie osobowości. Miłosz mieszkał w USA, ale w Kalifornii, dystansując się od skupionej początkowo głównie na Wschodnim Wybrzeżu i w Chicago Polonii nie tylko pod względem geograficznym. Herling-Grudziński nie bez powodu zamiast Rzymu wybrał Neapol, z rzymskimi Polakami od początku było mu nie po drodze. Zaś Konstancy Jeleński, choć zdomowiony w Paryżu, tylko po części uczestniczył w sporach polskich intelektualistów nad Sekwaną.

Aleksandra Dębska-Kossakowska, skupiając się na tych trzech postaciach, może oderwać się od patrzenia na powojenną emigrację jako na fenomen głównie polityczny. Spory między Miłoszem, Herlingiem i Jeleńskim (ten ostatni raczej komentował, niż jawnie się spierał) dotyczyły nie tego, jak „walczyć z komuną”, ale znacznie bardziej złożonych kwestii światopoglądowych i literackich. Autorka zwięźle i precyzyjnie referuje zarzuty, jakie Herling-Grudziński stawiał *Zniewolonemu umysłowi*, pozwalając czytelnikowi wyrobić sobie zdanie co do tego, czy perspektywa Herlinga (strach jako dominujący powód rzekomej fascynacji pozostałych w kraju intelektualistów komunizmem) nie jest zbyt prosta. W inny sposób można też jednak spojrzeć na książkę Miłosza – przedstawiona w niej koncepcja „Hegłowskiego ukąszenia” zaczyna się jakby odklejać od rzeczywistości, którą ma opisywać: czy jest prawdziwa, czy tylko sugestywna?

Szczególnie cenne jest wielostronne przybliżenie w tej publikacji postaci Konstantego „Kota” Jeleńskiego, najmniej znanego z całej trójki. Jego przeznaczone raczej dla wymagającego czytelnika eseje i niebanalna autobiografia znane są dziś nielicznym. Autorka celnie wskazuje, że życiorys tej postaci najlepiej pokazuje dwoistość losu emigranta. Jeleński wyjechał z Polski jeszcze przed wojną i nigdy nie wrócił. Władął biegle od młodości kilkoma językami, pisał po francusku i włosku, miłością jego życia była ceniona włoska malarka Leonor Fini. Przez wiele lat redagował miesięcznik „Preuves”. Był w pełni wrośnięty w Zachód, mógł promować tam polską kulturę, gdyż wielu jego francuskich i włoskich przyjaciół nie postrzegало go jako emigranta. Jednocześnie przez większość życia pod względem prawnym był uchodźcą. Oficjalnie utrzymywał, że status uchodźcy zachował z rozmysłem, ale jak ustaliła autorka biografii, nie był to romantyczny wybór. Starał się bezskutecznie o paszport brytyjski, włoski, a w końcu o francuski.

Miłosz z pozycji zycziwego, ale sceptycznego widza obserwuje rozwój i wypaczenia amerykańskiej kontrkultury. Herling-Grudziński nocą spisuje dziennik w Neapolu. Jeleński promuje twórczość obydwu wybitnych twórców. Podczas lektury aż tęskni się za takim porozumieniem ponad podziałami.

Marek Misiak

Aleksandra DĘBSKA-KOSSAKOWSKA, *Ludzki wymiar historii. Gustaw Herling-Grudziński, Konstancy A. Jeleński, Czesław Miłosz wobec historii, wspólnoty i sztuki*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2020.

Odtworzyć cudzy głos



„Niełatwo jest cudze pisma przekładać tak, by miejsca, które w obcym języku dobrze wyrażono, zachowały tę samą ozdobność w tłumaczeniu, ponieważ każdy język ma różne właściwości swoich wyrazów” – twierdził Hieronim ze Strydonu, zapoczątkowując tym samym trwającą wciąż w świecie przekładu debatę na temat (nie)przetłumaczalności. Na przestrzeni wieków powstało wiele rozpraw, których autorzy przekonywali o pełnej przekładalności lub, przeciwnie, niemożności przełożenia tekstu w języku A na język B. Kwestia ta stanowi jeden

z podstawowych problemów współczesnej translatoryki, nie dziwi więc fakt, że dostajemy w ręce kolejną pozycję ocierającą się o ów temat. Przemyslenia Umberto Eco ujęte w dziele *Prawie to samo. O doświadczeniu przekładu* ukazują się w Polsce siedemnaście lat po pierwodruku i choć w obecnym kontekście straciły nieco ze swojej świeżości, trudno się nie zgodzić, że – jak zauważają jego tłumaczkę – stały się ważnym punktem odniesienia w kręgach tłumaczeniowych.

Umberto Eco, mówiący w polskim wydaniu głosem dwóch badaczek tematyki przekładoznawczej, Jadwigi Miszalskiej i Moniki Surmy-Gawłowskiej, już we wprowadzeniu na pytanie o definicję tłumaczenia odpowiada, że tłumaczyć, znaczy „próbować powiedzieć *prawie to samo*”. Zrozumienie owego „prawie” i sposobu jego wyrażenia staje się celem rozważań kolejnych rozdziałów publikacji. Wychodząc od niepozornej zabawy algorytmami internetowego translatora, autor zaczyna snuć refleksje nad popularnymi w translatoryce conceptami, jakimi są synonimia, ekwiwalencja czy odwracalność tłumaczenia. Eco szeroko traktuje ten rozległy pod wieloma względami temat, komentując i przytaczając różnorakie problemy tłumaczy mierzących się głównie z literaturą piękną, nie zapominając jednak o mniej oczywistych gatunkach – opatruje komentarzem m.in. utwory literatury eksperymentalnej. Ujmuje również jakobsonowy przekład intersemiotyczny, rozpatrując zasadność nazywania tłumaczeniem filmowych adaptacji książek czy dzieł malarzskich powstałych, no właśnie, na podstawie utworów muzycznych.

Jak każdy szanujący się badacz przekładu Eco nie przechodzi obojętnie wobec odwiecznego dylematu *les belles infidèles* (piękne nie może być wierne), rozpatrując wierność na bardzo wielu jej poziomach – od treści i stylu, poprzez rytm, po układ graficzny i czcionkę tekstu. Dalej zastanawia się, czy należy sprowadzać ją do wątpliwej konieczności wywołania (prawie?) takiego samego wrażenia, jakiego mógł doświadczyć odbiorca oryginału. A stąd już prosta droga do interpretacji i dominanty.

Teoretyczne odwołania w *Prawie to samo*, jak słusznie odnotowują we wstępie tłumaczki, nie będą specjalnie zaskakujące ani przełomowe dla czytelników zainteresowanych teorią przekładu i posiadających pewną wiedzę w obszarze badań przekładowych czy językoznawczych. Jednak niezwykle cenne i pouczające stają się fragmenty zawierające analizę wyniku pracy tłumaczy różnych języków. Obszerne cytaty opatrzone komentarzem odnośnie do zastosowanych rozwiązań czy anegdoty a propos okoliczności dokonania takich a nie innych wyborów stają się inspirującą lekturą nie tylko dla osób parających się tłumaczeniem, ale w moim odczuciu mogą okazać się intrygujące także dla czytelników mniej zorientowanych w owej tematyce. Dodatkową wartością dla polskiego czytelnika są załączone fragmenty tłumaczeń funkcjonujące w polskiej literaturze lub stworzone przez autorki na potrzeby przekładanej publikacji.

Tłumaczenie pozycji traktującej o przekładzie samo w sobie wydaje się interesującym, ale i wymagającym przedsięwzięciem, a dzięki widocznemu zaangażowaniu tłumaczek włoskie opracowanie z powodzeniem odnajduje się na polskim gruncie.

Stanisława Filip

Umberto ECO, *Prawie to samo. O doświadczeniu przekładu*, tłum. Jadwiga Miszalska, Monika Surma-Gawłowska, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2021, seria: Translatio.

Sylwetki kobiet słowa



21 lat. Tyle cieszyła się Polska z odzyskanej niepodległości. Wolność, która nadeszła w 1918 r. stała się początkiem aktywności podejmowanej w wielu różnych obszarach. W generowaniu twórczego poruszenia dużą rolę odegrały rodzime dziennikarki, które z pasją i zaangażowaniem włączyły się w kreowanie przestrzeni otwartej na zróżnicowane poglądy i zaspokajającej rozliczne potrzeby. To właśnie im, nietuzinkowym osobowościom współtworzącym nową rzeczywistość społeczną, poświęciła uwagę Ewa Maj.

W książce *Dziennikarki prasy dla kobiet w Polsce 1918-1939* autorka śledzi dokonania pań odpowiedzialnych za rozwój segmentu rynku wydawniczego obejmującego pisma przeznaczone dla jednoznacznie zdefiniowanych odbiorczyń.

Uwaga badaczki koncentruje się na kategoriach tematycznych, w ramach których analizowane są zagadnienia związane z aktywnością społeczną, wzorcami kobiecości, kontekstami ideologicznymi oraz światopoglądowymi, a także z narodzinami więzi z czytelniczkami. Dokonana z wielką starannością eksploracja poszczególnych obszarów daje możliwość retrospektywnej wędrówki do czasów, kiedy w Polsce dokonywały się istotne i unikatowe przemiany kulturowe oraz cywilizacyjne.

Kiedy przegląda się dysertację Ewy Maj, uwagę zwraca liczba i zróżnicowanie tytułów prasowych przeznaczonych wyłącznie dla kobiet. Taka kumulacja pozwala myśleć, iż w tej konkretnej grupie docelowej widziano wówczas znaczny czytelniczy potencjał. Bogata i zróżnicowana oferta nastawiona była na spełnianie oczekiwań czytelniczek, tak by każda z nich, niezależnie od zainteresowań, mogła znaleźć coś dla siebie. Do wyboru miały panie prasę ogólnotematyczną, gazety specjalistyczne oraz wydawane przez stowarzyszenia społeczne i ugrupowania polityczne. Jak pisze autorka, redaktorki żywo reagowały na bieżącą sytuację w państwie, publikując własne komentarze czy zajmując stanowisko w konkretnej sprawie, nie ukrywając przy tym osobistych przekonań. Dziennikarki owych czasów realizowały zadania obywatelskie, społeczne, edukacyjne oraz informacyjne. Swoją rolę upatrywały w zachęcaniu kobiet do podejmowania nauki i uzyskiwania kwalifikacji zawodowych.

Prasa dla kobiet stała się w pewnym momencie istotnym elementem całego rynku wydawniczego, i to, jak podkreśla autorka, z wielu powodów, prawnych, finansowych, mentalnych i obyczajowych. Jeśli zaś chodzi o samą profesję kobiet dziennikarek, to środowisko owo nie tworzyło jeszcze sformalizowanej grupy, co miało związek z faktem, iż proces organizowania się tegoż gremium na gruncie instytucjonalnym dopiero się rozpoczął. Wśród żurnalistek były więc nauczycielki, lekarki czy urzędniczki. Dwutygodnikiem „Start”, poświęconym kulturze fizycznej kobiet, kierowała np. sportsmenka i mistrzyni olimpijska Halina Konopacka. W medialnym świecie, zdominowanym w owych czasach, jak pisze autorka, przez męski punkt widzenia, udało się polskim dziennikarkom wielka sztuka. Stały się bowiem nie tylko doskonalącymi swoje umiejętności znawczyniami tematu, ale także, jak same mówiły o sobie, przewodniczkami oprowadzającymi kobiety po skomplikowanej rzeczywistości, wymagającej objaśnienia. Ewa Maj przywołuje ich sylwetki, pokazuje warsztat pracy, a także narodziny relacji między dziennikarkami a czytelniczkami. W ten sposób przybliża nas do poznania obszaru, o którym, jak się zdaje, nadal wiemy zbyt mało.

I jest jeszcze coś, co warto zapamiętać z całej książki. To kwestia feminatywów. Dyrektorka, prezeska, inżynierka, ale też techniczka i teoretyczka. Słownictwo identyfikujące płęć egzystowało już w czasach, o których pisze autorka, i to w sposób niebudzący powszechnego zdziwienia. Co ciekawe, jego używanie było niezależne od podziałów ideologicznych. Posługiwały się nim bowiem zarówno modernistki, jak i tradycjonalistki.

Aneta Zawadzka

Ewa MAJ, *Dziennikarki prasy dla kobiet w Polsce 1918-1939. Portret zbiorowy na podstawie publicystycznego samoopisu*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2020.



Piramida wieku to graficzne przedstawienie struktury wiekowej danego społeczeństwa. Nazwa schematu pochodzi od kształtu piramidy. Jej podstawa jest maksymalnie szeroka i zwęża się ku górze. Na samym dole są noworodki, które stanowią największy odsetek populacji, a w kolejnych, wyższych partiach wykresu pokazany jest udział kolejnych, starszych obywateli. Jednak w ostatnich dziesięcioleciach „piramida wieku” pozostaje taką tylko z nazwy, jej kształt diametralnie się zmienił. Społeczeństwa się starzeją, w wielu krajach, w tym w Polsce, jest ujemny przyrost naturalny, nieza-

pewniający prostej zastępowalności pokoleń, a więc mimo że z wiekiem ludzi ubywa, mamy obecnie więcej seniorów niż dzieci. Problematyce szeroko pojętej starości poświęcona jest książka Nancy A. Pachana.

To popularnonaukowa publikacja, która w przystępny sposób zapoznaje czytelnika z podstawowymi wiadomościami związanymi ze starzeniem, ale nie tylko w kontekście socjologicznym czy biologicznym, lecz holistycznie, z perspektywy różnych dyscyplin. Jest zatem zarówno rys historyczny oraz poglądy filozofów i poetów na ten temat, jest pokazane starzenie się od strony fizjologicznej, jest psychologia starzenia się, społeczne i interpersonalne aspekty tego procesu, są w końcu zarysowane przyszłe kierunki badań nad tym zjawiskiem.

W Polsce już od lat siedemdziesiątych działają uniwersytety trzeciego wieku, powstają fundacje dla osób starszych, organizowane są parady seniorów. Percepcja „jesieni życia” bardzo się zmienia. Zmieniają się bowiem sami seniorzy i seniorki. Sprzyja temu coraz większa świadomość wagi ruchu, racjonalnego żywienia i pozytywnych relacji z innymi ludźmi. O tym również pisze Nancy A. Pachana, powołując się na szereg badań. Co ciekawe, więzi społeczne – tak ważne dla szczęśliwej starości – wyglądają inaczej niż w młodszych rocznikach. Autorka pisze, że kluczem jest tu postrzeganie czasu i przywołuje „teorię selektywności społeczno-emocjonalnej”.

Otóż w miarę starzenia się uznajemy, że przeżyliśmy większą część życia, niż pozostało do jego końca i to prowadzi nas do nadania priorytetu relacjom, w których upatrujemy największe znaczenie i satysfakcję. Starsze osoby aktywnie ograniczają sieci społeczne, aby móc skupić się na najważniejszych dla nich relacjach. Mimo więc kurczących się sieci społecznych, starszym osobom, które chcą jak najlepiej wykorzystać czas, jaki im pozostał, udaje się zerpać tak samo duże, jeśli nie większe, korzyści z więzi międzyludzkich. I wcale nie przeszkadza w tym fakt, że ludzie starsi są do siebie mało podobni.

Jak zwraca uwagę autorka, wzajemne oddziaływanie biologii, okoliczności życiowych i jednostkowych wyborów sprawia, że im jesteśmy starsi, tym bardziej różnimy się od siebie nawzajem. Życie osób starszych jest też naturalnie różne w zależności od płci, rasy czy miejsca zamieszkania. W *Starzeniu się* jest uwzględniona ta różnorodność. Autorka, która jest Australijką, przytacza sytuacje i powołuje się na wyniki badań z różnych państw całego świata. Dowiadujemy się więc np. że w Singapurze dzieci, które nie są w stanie wspierać finansowo starzejących się rodziców, muszą złożyć zawstydzające publiczne oświadczenie o tym fakcie, zanim państwo zapewni im pomoc. Dowiadujemy się też, że generalnie na obszarach wiejskich zdecydowana większość seniorów czuje się doceniana w porównaniu z tylko około połową w miastach. Widzimy też, jak zmienia się polityka państw wobec osób starszych ze społeczności rdzennych, z ludności tubylczej, która stanowi ok. 6% światowej populacji. Nie tylko więc czas, ale i przestrzeń wpływają na jakość starzenia się.

Książka jest pigułką o starzeniu się, wydaną w formacie kieszonkowym. Gdyby ktoś chciał poszerzać i pogłębiać wiedzę na ten temat, na końcu znajdzie spis dodatkowych anglojęzycznych lektur i międzynarodowych organizacji.

Anna Jawor

Nancy A. PACHANA, *Starzenie się*, tłum. Paulina Kłos-Wojtczak, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2021.

Katarzyna KRASOŃ, *Padawanika. Przebudzenie mocy w doświadczeniu zaoposredniczonym. Studium o filmie, wychowaniu i wsparciu rozwoju*, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Gustaw Herling-Grudziński, *Między Wschodem a Zachodem*, pod red. Grzegorza PRZEBINDY, Bartosza GOŁĄBKĄ, Wojciecha GRUCHAŁY, Wyd. Humanistyczne Pigionianum, Karpacka Państwowa Uczelnia w Krośnie, Krosno 2020, seria: Bibliotheca Pigioniana. Tom III.

Inga IWASIOŃ, *Odmrażanie. Literatura w potrzebie*, Wyd. Nauk USZ, Szczecin 2020, seria: Studia pisarskie. Tom I.

Feliks TOMASZEWSKI, *Syberia i rosyjska/radziecka Północ. Niekończąca się gra: zakrywanie – odsłanianie*, Wyd. UG, Gdańsk 2020.

Halszka WITKOWSKA, *Samobójstwo w kulturze dzisiejszej. Listy samobójców jako gatunek wypowiedzi i fakt kulturowy*, Wyd. UW, Warszawa 2021.

Maciej SZARGOT, *„Kochany Poeta Ruin...” Studia o Krasińskim*, Wyd. UŁ, Łódź 2020, seria: Literaturoznawstwo. Sylwetki.

Antologia bajek, baśni, legend i opowiadań z zadaniami, wybór i oprac. Anna DUNIN-DUDKOWSKA, Agnieszka TRZEŚNIEWSKA-NOWAK, Wyd. UMCS, Lublin 2020, seria: Człowiek – język – kultura – Polska.

Michał SIKORSKI, Stefan JACKOWSKI, Karolina MATYSIAK, *Przestrzenie uniwersytetu. Trendy, wizje, standardy projektowania*, Wyd. UW, Warszawa 2020.

Kamil Krzysztof PILICHIEWICZ, *Na tym najpiękniejszym ze światów. Proza Michała Głowińskiego*, Temida 2, Białystok 2020.

Mirosława NOWAK-DZIEMIANOWICZ, *Szkoła jako przestrzeń uznania*, PWN, Warszawa 2020.

Józef WÓJCIKIEWICZ, *Piękno przestępstwa. Prolegomena do estetyki sądowej*, Wyd. UJ, Kraków 2020.

Anna SOKOŁOWSKA, *Zjawisko plagiatu a młodzież akademicka. Studium socjopedagogiczne*, Wyd. Nauk. UAM, Poznań 2020, seria: Psychologia i Pedagogika.

Katarzyna SETKOWICZ, *Romans rycerski a początki zawodu pisarza w Hiszpanii. Przypadek Feliciano de Silva (ok. 1489-1554)*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2020, seria: Monografie FNP.

Elżbieta SANECKA, *Ciemna triada osobowości w środowisku pracy. Perspektywa interakcyjna*, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Stanisław PESTKA, *Twórczość liryczna*, oprac. Józef Borzyszkowski, Adela Kuik-Kalinowska, Bożena Ugowska, Instytut Kaszubski, Gdańsk 2020, seria: Biblioteka Pisarzy Kaszubskich.

Wacław A. ZBYSZEWSKI, *Ludzie, których znałem*, wstęp Rafał Habielski, wybór i opracowanie Rafał Habielski i Paweł Kądziała, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2020.

Małgorzata Anna CIOŚMAK, Urszula GIERSZON, *Leon Ulrich 1811-1885. Poeta i patriota*, Petit SK, Lublin 2019.

Treasure Houses of Polish Academic Heritage, ed. Hubert KOWALSKI, Marat PISZCZATOWSKA, Marek BUKOWSKI, Magdalena MUSKAŁA, Joanna ŚLAGA, Marta SZASZKIEWICZ, Wyd. UW, Warszawa 2020.

Wojciech CZAKON, *Krótkowzroczność strategiczna menedżerów*, Wyd. UJ, Kraków 2020.

Aleksandra DĘBSKA-KOSSAKOWSKA, *Ludzki wymiar historii. Gustaw Herling-Grudziński, Konstancy A. Jeleński, Czesław Miłosz wobec historii, wspólnoty i sztuki*, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Teodor PARNICKI, *Ja, Eurypides. Wywiady, wypowiedzi i autokomentarze z lat 1957-1988*, wstęp Tomasz Markiewka, oprac. Piotr GORLIŃSKI-KUCIK, Tomasz Markiewka, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Paweł MAJERSKI, *Nowocześni i nowoczesne. Konstelacje wyobraźni*, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Anna TRZCIONKOWSKA-WIECZOREK, *Edukacja do starości młodzieży szkolnej*, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Kamil ZAJDLER, *Mądrość chińskich aforyzmów. O państwie, prawie, polityce i władzy*, przedm. Edwarda Kajdańskiego, Wyd. UG, Gdańsk 2020.

Marta CEBERA, *Sztuka aktorska Aleksandry Śląskiej*, Wyd. UG, Gdańsk 2021, seria: Dissertationes Laudatissimae Universitas Gedanensis.



Leszek Szaruga

Kosmoteologia

Straszny się zaczyna robić tłok na Marsie, gdzie już także Chińczycy wysyłają swoje obiekty, a wygląda na to, że planeta staje się kierunkiem obowiązkowym dla wszystkich graczy o przyszłość. Nie jest przy tym pozbawiony znaczenia fakt, że do gry wchodzi także prywatni biznesmeni, których stać na próby urzeczywistniania swoich wizji. Gdy przejrzeć literaturę przedmiotu, można się przekonać, że inicjatyw, które można określić zbiorczo mianem projektów marsjańskich, jest już bez liku, i że nie brak wśród ich twórców także Polaków – choćby studentów regularnie i skutecznie biorących udział w konkursach na konstruowanie marsjańskich łazików. Zresztą, by wiedzieć więcej, warto zagłębić się w publikacje powstające pod auspicjami Międzynarodowego Towarzystwa Marsjańskiego. Wiadomo, że misję załogową na Marsa chciałby w roku 2024 zrealizować Elon Musk, człowiek obdarzony zaiste wielką wyobraźnią po równi z wielkimi zasobami finansowymi, a takie połączenie, choć niekoniecznie stanowi gwarancję sukcesu, pozwala jednak traktować taki projekt w kategoriach zdarzeń realnych.

Łążenie po obiektach pozaziemskich nie jest nowością, ale między lądowaniem na Księżycu a próbą kolonizacji Marsa jest jednak spora różnica jakościowa. Jeżeli projekt Muska uda się w terminie zrealizować, mam szansę być, co prawda tylko biernym, ale jednak uczestnikiem tego wydarzenia. A będzie ono – prędzej czy później – o tyle istotne, że może stać się wstępem do powolnej zmiany czy redefinicji ludzkiej tożsamości: wraz z powszednieniem szwendania się poza rodzimym globem Tadzio z małego miasta północy będzie się mógł czuć nie tylko Polakiem, Europejczykiem czy człowiekiem, lecz nadto także kosmitą. Tym bardziej się nim poczuje, jeśli jego współplemieńcy spotkają w kosmosie innego.

Takie spotkanie może mieć skutki najrozmaitsze i przyznam, że najbardziej przemawia do mojej wyobraźni wypowiedź astronoma Watykańskiego Obserwatorium Astronomicznego, jezuita Guya Consolmagno, który powiada: „Każda pozaziemska inteligencja zmieni się przez kontakt z nami i czegoś na pewno się nauczy, tak jak my będziemy się uczyć i zmieniać dzięki kontaktowi. Jest to nieuniknione. I oni także będą chcieli nas ewangelizować”. Nieco bardziej pesymistycznie rzecz widział Stephen W. Hawking: „Spotkanie z cywilizacją bardziej zaawansowaną niż nasza może trochę przypominać spotkanie pierwotnych mieszkańców Ameryki z Kolumbem. Nie sądzę, by tamci na tym skorzystali”. Co prawda trudno się z ostatnim zdaniem nie zgodzić, jednak, zważywszy fakt, że „tamci” za sprawą spotkania z Kolumbem mogli usłyszeć

dobrą nowinę, to z punktu widzenia chrześcijan niewątpliwie „na tym skorzystali”.

Czy wszakże mogliby nas kosmici Consolmagno ewangelizować? Zważywszy, że ewangelie to teksty niosące dobrą nowinę i zdające relację z życia Chrystusa, trzeba by przyjąć, iż owa pozaziemska inteligencja ma jakiś związek z chrześcijaństwem. Relacjonując dyskusję w czasie sponsorowanego przez Templeton Foundation spotkania w 1998 roku, zatytułowanego *Wiele światów. Nowy wszechświat, życie pozaziemskie i implikacje teologiczne*, Steven J. Dick, w nawiązaniu do wypowiedzi duchownego i filozofa z University of Notre Dame, Emany McMullina, konkluduje: „Tak więc odkrycie ETI przyniesie szerokie spektrum odpowiedzi teologów chrześcijańskich w kwestii tego, czy wcielenie Chrystusa nastąpiło też w innym świecie, które będą przebiegać skalę od »na pewno tak« do »na pewno nie«. Odpowiedź McMullina brzmiała »może«”.

Nie wiem, w jakiej mierze kosmoteologia jest dziedziną nauki rozwijaną wyłącznie w przestrzeni teologii chrześcijańskiej, ale nie ulega wątpliwości, że podejmowane są tu próby zrozumienia konsekwencji, jakie dla poznawania życia pozaziemskiego, w szczególności zaś jego form obdarzonych inteligencją, ma fakt boskiej kreacji Wszechświata. Otwartym pozostaje pytanie o to, czy teologia kosmosu winna otwierać się na nowe odkrycia dokonywane przez fizyków i kosmologów, które część teologów, jak węgierski teolog Balázs M. Mezei, uznaje za zbędny balast w próbie rozumienia sensu egzystencji, czy też przeciwnie, jak profesor Michał Heller, laureat Nagrody Templetona, właśnie w oparciu o te odkrycia próbuje wzmocnić rangę poznania teologicznego (warto tu może przypomnieć, że profesor Heller swą nagrodę przekazał na rozwój Centrum Kopernika).

Zważywszy na to, że badania kosmosu ulegają nieustannej intensyfikacji, z uwagą zacząłem przyglądać się temu, co mają w tym kontekście do powiedzenia teologowie, w szczególności zaś ich polska reprezentacja, tym bardziej że ostatnio rola teologii została doceniona także w kręgach polityków, co znalazło odbicie w kolejnym etapie reformy szkolnictwa wyższego i pozwala mieć nadzieję na pozyskanie grantów na rozwój naszej kosmoteologii w ramach prac powołanej w 2014 roku Polskiej Agencji Kosmicznej (POLSA). Wszystkie te badania bowiem – niezależnie od specjalizacji, dowodzą, jak pisze Heller w ostatnich słowach swej książki *Przestrzeń Wszechświata*, że „pozostajemy w służbie Czegoś, co nas obejmuje i ponad nas wykracza”.



Ogród Botaniczny Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie



fot. Bartosz Proll



VII KONFERENCJA LUMEN 2021

Leaders in University Management

23-24 listopada 2021 r., online

Keynote speech pt. *The future role of universities in the post-COVID 19 era*
Phil Baty, Chief Knowledge Officer w Times Higher Education



Prof. Łukasz Sułkowski wraz z nowym Partnerem Strategicznym konferencji **Times Higher Education** oraz Partnerem Merytorycznym Fundacją Rektorów Polskich ma zaszczyt zaprosić Państwa do udziału w **VII Konferencji LUMEN 2021**

Wybrane przez Państwa tematy, w ramach internetowego głosowania stały się tematami dyskusji panelowych LUMEN 2021:

- ✓ Szkolnictwo wyższe i nauka z perspektywy Krajowego Planu Odbudowy, Perspektywy Finansowej UE 2021-27 oraz budżetu państwa 2022
- ✓ Ewaluacja działalności naukowej za okres 2017-2021 – wnioski i rekomendacje na przyszłość
- ✓ Uwarunkowania korzystne dla internacjonalizacji. Jaki model uniwersytetu sprzyja sukcesom w skali międzynarodowej?
- ✓ Zrównoważony rozwój i społeczna odpowiedzialność uczelni w erze kryzysu ekonomicznego i klimatycznego

Program dostępny jest na stronie konferencji.

Zapraszamy Państwa do rejestracji poprzez wypełnienie formularza zgłoszeniowego dostępnego na stronie konferencji www.lumen.edu.pl
Udział w konferencji jest **bezpłatny**.

BIURO PROJEKTU LUMEN

Mail: info@lumen.edu.pl

Tel. +48 722 110 522

Tel. +48 669 917 029

www.lumen.edu.pl